

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 01 (182) Styczeń 2020



Alosza Awdiejew – nasz Rosjanin

Miasto okiem Ryszarda Horowitza

Szmacianka pod samym Wawelem

Nowe opowiadanie Sławomira Shuty'ego



9 771733 045002 01

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

I KONKURS „PORTRET”

– najlepsze polskie dzieło biograficzne AD 2019

Portret. Autoportret. Biografia. Opowieść.

Kogo? Bohatera? Człowieka zwykłego? Społeczności? A może miasta?
Czy tylko książka? Dlaczego nie film? Lub spektakl? Lub obraz najprawdziwszy?

Poniżej dwadzieścia tytułów dzieł, które rozważane są w tej edycji – różnych autorów w różnych gatunkach, ale wszystkie łączy jedna pasja: chęć przedstawienia ciekawej biografii.

1. **Olga Bieniek** (reżyseria), *Kult. Film* (dokument o zakulisowym życiu legendarnego zespołu)

2. **Agnieszka Dauksza**, *Jaremianka. Biografia*, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak” (pierwsza opowieść o jednej z najbardziej fascynujących artystek XX wieku)

3. **Jacek Fedorowicz**, *Mistrz offu*, Wielka Litera (mistrz inteligentnego dowcipu wspomina, jak robił filmy w PRL)

4. **Grzegorz Gauden**, *Lwów. Kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918*, Universitas (ciemna twarz Polaków)

5. **Agnieszka Glišńska** (reżyseria), *Panny z Wilka*, Stary Teatr (kobiet portret zbiorowy)

6. **Piotr Głuchowski, Bożena Aksamit**, *Uzurpator. Podwójne życie prałata Jan-kowskiego*, Agora (... podtytuł mówi wszystko)

7. **Delfina Jałowik** (kurator wystawy wraz z zespołem), *Wiesław Dymny. Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz*, Muzeum Sztuki Współczesnej MO-CAK Kraków (przypomnienie fenomenu niezależnej kultury Krakowa czasów PRL)

8. **Krzysztof Jasiński** (reżyseria), *Cabaret*, Teatr STU Kraków (portret rodzącego się zła)

9. **Eric Karpeles**, *Prawie nic. Józef Czapski. Biografia malarza*, Noir Sur Blanc (Amerykanin o wielkim twórcy – światowo i krakowsko)

10. **Maja Kleczewska** (reżyseria), *Pod presją*, Teatr Śląski (współczesny portret kobiety, która jest „czarnuchem świata”)

11. **Marcin Krzyszałowicz** (reżyseria), *Pan T.* (ciekawa formalnie gra z biografią w filmie fabularnym)

12. **Kazimierz Kutza**, *Autoportret. Będzie skandal*, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak” (książka ukazała się pośmiertnie – ale, jak zawsze u Kutza, wywołała skandal)

13. **Maciej Pieprzycy** (reżyseria), *Ikar. Legenda Mietka Kosza* (kolejny poruszający film fabularny Macieja Pieprzycy i kolejna wielka rola Dawida Ogrodnika)

14. **Jerzy Pilch**, *Trzeci Dziennik*, Wydawnictwo Literackie (ironiczny dystans i szczere wyznania, literatura i futbol, sprawy bieżące i ostateczne)

15. **Zbigniew Preisner**, *Krakowski koncert jubileuszowy* (październikowe widowisko z okazji 40-lecia pracy artystycznej na długo pozostanie w pamięci widzów)

16. **Paula Sawicka** (opr.), *Marek Edelman. Książka do pisania*, Austeria (wielki obywatel utrwalony w mgnieniach, na które pozwala niezwykła formuła książki do pisania)

17. **Monika Sznajderman**, *Pustylas*, Wydawnictwo Czarne (piękna, bardzo osobista, biografia ludzi i miejsc w Bieszczadach, których już nie ma)

18. **Muniek Staszczuk**, *King! Autobiografia* (rozmawiał Rafał Księżyk), Wydawnictwo Literackie (spowiedź legendy rocka)

19. **Katarzyna Wodecka-Stubbs** (produkcja), *Wodecki Twist Festiwal* (to już robi się fantastyczna tradycja muzyczna Krakowa – Wodecki brzmi, brzmi i brzmi...)

20. **Tomasz Wójcik** (projektant wystawy wraz z zespołem), *Wajda*, Muzeum Narodowe w Krakowie (niezapomniana ekspozycja, która w pełni ukazała wielkość artysty, reżysera, twórcy)

Na podstawie powyższej listy użytkownicy sieci bibliotek miejskich w Krakowie, czytelnicy i przyjaciele miesięcznika „Kraków” mogą – do 15 stycznia 2020 roku – udzielać jury sugestii dotyczących powstałych w roku 2019 dzieł, które portretowały ludzi, miejsca czy środowiska.

Na podstawie tych podpowiedzi jury wybierze finałową trójkę, a spośród niej – laureata.

Zwycięzca konkursu otrzyma nagrodę w wysokości 10 tys. złotych.

Wszyscy „podpowiadający” wezmą udział w losowaniu cennych nagród książkowych – warunkiem wpisanie adresu, na który można przesłać nagrodę.

Piszcie do nas na adres: redakcja@biblioteka.krakow.pl

Zaczytaj się w Krakowie – zaczytaj się w biografiach



PORTRETY 2019.
Szeroki finał



Aleksander Gierymski (1850–1901), *Święto Trąbek*, 1884, olej na płótnie, Muzeum Narodowe w Warszawie/domena publiczna, [za:] Wikicommons

Inni. Obcy. Cudzoziemcy

Tekst: Adam Szostkiewicz

„Cudzoziemcy”, podobnie jak „uchodźcy”, powinni być mile widziani w takim kraju jak Polska. Bo to przecież kraj z długą historią wielokulturowości, wieloetniczności i wieloreligijności.

Sami Polacy doświadczali wiele razy losu cudzoziemców i uchodźców. Aż wstyd o tym przypominać. „Cudzoziemiec” brzmi ambiwalentnie. Słowo sygnalizuje „cudzość”, czyli inność, obcość. Ale w XXI wieku najwyższy czas dostrzec, że znów wszyscy możemy być cudzoziemcami, uciekinierami, uchodźcami. Dziś

to doświadczenie globalne, o globalnych skutkach. Nie łądźmy się: w Europie nie da się dziś oddzielić, zamknąć w jakiejś niszy plemiennej.

Po II wojnie światowej Polska była krajem marzeń nacjonalistów na prawicy i na lewicy: jedna dominująca narodowość, jeden język, jedna religia. Supermono. Ale odkąd weszli-

Wystarczy odwiedzić w Polsce cmentarze, aby się przekonać, że mieszkali z nami i wśród nas Żydzi, Niemcy, Austriacy, Francuzi, Włosi, Szwedzi, Szkoci, Niderlandczycy, Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Tatarzy, Ormianie, Gruzini, Grecy. Wszyscy wnosili do polskiej puli jakieś wiano, zostawiali ślad.

ni, Grecy. Dziś mieszkają w Polsce nie tylko Ukraińcy i Białorusini tutaj urodzeni, ale też świeżo przybyli w poszukiwaniu lepszego życia. Mamy rosnącą społeczność wietnamską, po Krupówkach spacerują muzulmańskie rodziny, w Krakowie zaś, w moim sąsiedztwie, wyznawcy islamu gromadzą się w jednej z kamienic na przepisowe modły, a większość z nich pracuje tu od dawna.

Cudzoziemcy i „bieguni” nie zawsze w Polsce zostawali. A wśród tych, którzy zostali, nie wszyscy się polonizowali. Nie wszyscy robili na polskich ziemiach karierę i majątek. Ale wielu się polonizowało i robiło kariery. Wszyscy wnosili do puli jakieś wiano, zostawiali jakiś ślad, choćby demograficzny i genetyczny. O czym przekonują się, czasem ku swemu zaskoczeniu, entuzjaści poszukiwania korzeni swojej rodziny.

Historie rodzinne

Weźmy mój przykład. Moja babka Olga była wiedeńką, Austriaczką, która wyszła za Polaka, cesarsko-królewskiego sędziego w Jaśle, i zamieszkała z nim w tym odległym od stolicy cesarstwa mieście. Gdy dożywała swych lat, pod opieką swego syna, a mojego ojca, w Zabrze, włączonym do powojennej Polski po klęsce nazistowskich Niemiec, wróciła w kontaktach z nim do języka niemieckiego.

Podczas okupacji hitlerowskiej babka nie podpisała żadnej volkslisty, a mój ojciec, żołnierz AK, aresztowany niedługo przed wybuchem powstania warszawskiego, z Pawiaka

wywieziony został przez Niemców do lagru Gross-Rosen, skąd wyzwoliła go Armia Czerwona. Brat ojca, a mój stryj, nazywany w rodzinie „Dzidkiem”, dostał się do niewoli radzieckiej podczas kampanii wrześniowej 1939 roku i z Kozielska został wywieziony na śmierć w lesie katyńskim. Na stopień porucznika WP awansował go pośmiertnie minister obrony narodowej Bogdan Klich. Moi rodzice poznali się w powojennym Krakowie, gdzie mieszkała część mojej rodziny ze strony ojca.

Babka Olga nie była „cudzoziemką”, tylko obywatelką tego samego co jej mąż, Polak, państwa habsburskiego. Kiedy przestało istnieć, pozostała w nowo powstałym państwie polskim wraz ze swoją rodziną. Byłem za młody, by rozmawiać z nią o tym, co dziś nazywamy „tożsamością”, ale zapewne do końca swego długiego życia uważała się za Polkę pochodzenia austriackiego. Podtrzymywała kontakty z wiedeńską częścią swojej rodziny na ile było to możliwe w powojennej Polsce Ludowej. Po upadku PRL moja matka odwiedzała w Wiedniu, gdzie przez dłuższy czas mieszkała, bliskich krewnych babki Olgi.

Wszyscy jesteście cudzoziemcami

Takich rodzinnych historii mamy w Polsce tysiące. Wśród nich opowiedzianą przez Andrzeja Wajdę w jego ostatnim filmie *Powidoki*. To opowieść o Władysławie Strzemińskim, awangardowym artyście i teoretyku sztuki, Polaku służącym podczas I wojny światowej w armii carskiej i odznaczonym za waleczność carskim orderem, studencie rosyjskich uczelni sztuk pięknych. W filmie pojawia się żona Strzemińskiego, rzeźbiarka Katarzyna Kobro, z którą malarz powraca do Polski po wojnie polsko-bolszewickiej. Kobro jest córką Rosjanki i Niemca, urodzoną w Moskwie. Podczas okupacji niemieckiej małżeństwo mieszka w Łodzi. W skrajnie trudnych warunkach życiowych podpisują tak zwaną rosyjską listę, czyli deklarują narodowość rosyjską, co po wojnie spowoduje dla obojga kłopoty sądowe i przyczyni się do rozpadu małżeństwa.

Kobro była wychowana w kulturze rosyjskiej, została pochowana na łódzkim cmentarzu prawosławnym. Wniosła wkład do sztuki polskiej i europejskiej, ale jako Rosjanka czy Polka? Raczej jako artystyczna awangardzistka. Kryterium narodowościowe w świecie sztuki, zwłaszcza nowoczesnej, nie ma takiego znaczenia jak talent, twórczość i artystyczne nowatorstwo.

Z współczesnym Krakowem związani są Rosjanie Ałosza Awdiejew, profesor humanistyki, pieśniarz i aktor, oraz artysta gra-

fik Dmitrij Szewionkow-Kismielow. Jest ich słodką, a może i bolesną tajemnicą, jak się u nich z „cudzoziemskością” wydestylowała ostatecznie ich „polskość”.

Wolno jednak przypuszczać, że nie szło to jak z płatką. Trzeba było budować swoją nową tożsamość w dialogu i napięciu z pierwotną. Stawać się „tutejszym”, „naszym”, współmieszkańcem i współobywatelem, zrzucając, niczym wąż, starą skórę, a zarazem (choć nie zawsze) nie chcieć porzucić własnych korzeni. Mało kto jest gotowy i pragnie być „cudzoziemcem” w kraju swego wieloletniego zamieszkania. A rów nocześnie wielu „cudzoziemców” – piszę w cudzysłowie, bo te określenia mogą być nie tylko uproszczeniem, ale też pretekstem do niecných słów i czynów – nie widzi powodu, aby ukrywać swoje „obce” pochodzenie.

I wspaniale, bo ileż zawdzięczamy „cudzoziemcowi” Normanowi Daviesowi, ożenionemu z Polką, mówiącemu po polsku, mieszkającemu w Krakowie, a identyfikującemu się z Walią Brytyjczykowi! Pisze on w rodzaju autobiografii *Sam o sobie*, że pochodzenie jest obojętne mało komu, a niektórzy, w tym i on, wręcz pasjonują się zgłębianiem rodzinnych drzew genealogicznych. Sam mam w rodzinie i w kręgu przyjaciół takie osoby. I małżeństwa międzynarodowe.

Na przykład polsko-jankeskie, w których ojciec amerykański Żyd i matka Polka spod Krakowa, mieszkający w Kalifornii, mają dzieci mówiące w kilku językach, w tym po polsku, i synową z Krakowa. Zanim młodzi osiedli w Stanach, mieszkali pod Wawelem. Inne małżeństwo tworzą Polka krakowianka i Katalończyk, który w Krakowie nauczył się polskiego, więc i jego partnerka nauczyła się katalońskiego. Ostatecznie zamieszkali w Londynie, gdzie najczęściej mówią po angielsku, a ostatnio, w związku z „brexitem”, zastanawiają się, czy nie wylądują w końcu w Barcelonie, gdzie Polka będzie musiała nauczyć się także hiszpańskiego, bo w rodzinie jej męża mówi się w obu językach. Kto i gdzie jest tu „cudzoziemcem”?

Kto jest dziś „cudzoziemcem”?

I to w Europie otwartych granic? Jaki sens ma dziś tożsamość jednostkowa i narodowa w świecie masowych migracji? Nie twierdząc, że pojęcia te stały się puste, ale że zmieniają swoje znaczenie. I to wydaje mi się znakiem naszego czasu.

Ojcowie założyciele powojennej wspólnoty europejskiej nie chcieli tworzyć jakiegś odgórnie narzucanej „tożsamości europejskiej”, europejskiego narodu ani jednolite-

go państwa europejskiego. Chcieli jednak odejść od państwa narodowego i idei nacjonalistycznej, bo dwie wielkie wojny pokazały, jak straszliwe mogą być jej konsekwencje. Europejscy federaliści odwoływali się do modelu „stanów zjednoczonych” w przekonaniu, że do niego należy przyszłość.

Dziś widzimy, że nie udało się ani sfederalizować Europy kosztem osłabienia suwerennych państw narodowych, ani zdyskredytować i unieważnić „europejskiego marzenia” o pokojowej współpracy państw i narodów opartej na redefinicji interesów narodowych i wspólnocie wartości. Póki napięcie między tymi dwoma projektami – wspólnotowym i narodowym – nie zagraża stabilności i rozwojowi Europy, w tym Polski, stan takiej względnej równowagi jest do przyjęcia. Obserwujemy jednak, że pojawiły się nowe siły, które dążą do poddania wspólnoty grze interesów narodowych jako zasady najważniejszej. W Polsce pod rządami „zjednoczonej prawicy” lansuje się hasło „reformy” Unii Europejskiej, a za premier Beaty Szydło z siedziby rządu usunięto flagi europejskie.

A przecież flaga wspólnoty europejskiej miała być jej widzialnym znakiem w życiu zwykłych obywateli. Jeśli znika z instytucji państwowych w tym czy innym kraju członkowskim, jest to symboliczny komunikat, tak samo, jak jest nim wystawianie flagi europejskiej obok flagi narodowej. W pierwszym przypadku chodzi o to, by wspólnotę uczynić niewidoczną dla obywateli. W drugim, by obywatele widzieli, że przynależność do Unii Europejskiej nie wyklucza umacniania własnej państwowości.

Tak czy inaczej, „opuszczenie flagi europejskiej z lęku przed krytyką oznaczałoby autodestrukcję wspólnoty” (Luuk van Middelaar, *Przejście do Europy*).

A co oznaczałaby „destrukcja wspólnoty”? Strach pomyśleć.



Adam Szostkiewicz jest publicystą i tłumaczem. W czasach PRL działał w opozycji demokratycznej. W latach 1988–1999 pracował w „Tygodniku Powszechnym”. Był również dziennikarzem Polskiej Sekcji BBC World Service. Od 1999 roku związany z „Polityką”. Ostatnio wydał zbiór tekstów publicystycznych *Pogoda dla Polski. Kraj, katolicyzm, kultura*.

TEMAT MIESIĄCA:
INNI. OBCY. CUDZOZIEMCY

Adam Szostkiewicz: **s. 1**
Wystarczy odwiedzić w Polsce cmentarze, aby się przekonać, że mieszkali z nami i wśród nas Żydzi, Niemcy, Austriacy, Francuzi, Włosi, Szwedzi, Szkoci, Niderlandczycy, Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Tatarzy, Ormianie, Gruzini, Grecy. Wszyscy wnosili do polskiej puli jakieś wiano, zostawiali ślad.



KRAKÓW MÓWI

Spowiedź dziecięcia wieku
– z Janem Pieszczachowiczem/Witold Bereś **s. 20**
Szczęśliwy Rosjanin nad Wisłą
– z Aloszą Awdiejewem/Wacław Krupiński **s. 34**

ŁUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Dama z gronostajem – historia modelki
Magda Huzarska-Szumiec **s. 12**
Zagadka lalki z kauczuku Anna Mazela **s. 26**
Uchwycić szal młodości – z Ryszardem Horowitem/
Szymon Piegza, Dominik Jedliński **s. 29**
Czekając na myto Wojciech Machnicki **s. 40**
Manggha: 25 lat Japonii pod Wawelem
Witold Bereś, Krzysztof Burnetko **s. 41**
Rekomendacje:
Pieszczachowicz: podarunek dla Czytelników **s. 51**
Laboratorium NOW **s. 52**
Oni. Dzieci z Dworca Brześć **s. 53**
Minkus: mag obrazów i dźwięków
Ewa Kozakiewiczowa **s. 54**
Kronika kulturalna **s. 87**
Krakowski łącznik **s. 90**
Kraków (Główny) **s. 91**
Linia A–B **s. 92**

OBYWATELE KRAKOW A

Z wdzięczności za życie (Urszula Smok)
Magdalena Oberc **s. 8**

HISTORIA

FOTO-RETRO Krzysztof Jakubowski **s. 10**

KALENDARIUM KRAKOWSKIE

Styczeń 2020 Krzysztof Jakubowski **s. 59**

Sukcesy i nieszczęścia profesora Smolki
Ewa Danowska **s. 62**

TEATR

Mały szeryf Paweł Głowacki **s. 66**

FILM

Wróżby na nowy rok kinowy
Maria Malatyńska **s. 74**

LITERATURA

Prawda was dobije
Sławomir Shuty/Elżbieta Wojnarowska **s. 70**
W Dolinie Muminków Sławomir Shuty **s. 72**
Zadałam Oldze Tokarczuk pytanie...
Katarzyna Lisowska **s. 78**

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka **s. 84**

GALERIA „KRAKOW A”

Beata Pałach Magda Huzarska-Szumiec **s. 48**

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIECIE Ewa Lipska **s. 5**
OKIEM BERESIA Witold Bereś **s. 6**
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko **s. 7**
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **s. 81**
W WARSZAWIE Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**
BEDAKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz **s. 83**
NIE TYLKO O CRACOVII Jerzy Pilch **s. 96**

OKŁADKA

Alosza Awdiejew Fot. Grzegorz Kozakiewicz

2020

Pamiętając, że „dyktatura to państwo, w którym wszyscy boją się jednego, a jeden wszystkich” (A. Moravia), dokonujemy takich wyborów w 2020 roku, aby potem nie było „śmieszno i straszno”.

Z najlepszymi życzeniami!

Ewa Lipska



Małgorzata Markiewicz, *Mapa*, 2013, obiekt, ok. 250 x 250 cm, kolekcja MOCAK-u



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Tylko nie o polityce

Tekst: Witold Beres

Czyż jest lepsza chwila niż pierwsze dni stycznia, aby złożyć sobie solenną obietnicę? Że już, że z Nowym Rokiem – zmieniam się? Ale nie tam takie bzdury, że długie spaceru, że bez papierosa, bez tłustego jedzenia i substancji płynnej przemysłnie łączącej węgiel, wodór i tlen. Nie – ja obiecuję sobie rzucić w diabły mą miłość. Politykę.

Dosyć mam tych rozczerowań politykami, którzy mieli przycwałować na białym koniu, ale wybrali białego trabanta, byle tylko nie ryzykować.

Dosyć mam przewidywalnych opinii wygłaszanych przez każdą stronę politycznego sporu w Polsce.

Dosyć mam chamstwa władzy, która woli popierać zamtuzy na godzinę, bandytów wie-

Więc jeśli jesteśmy w d..., to mamy się tam zacząć wygodnie urządzać? Oportunizm? Po to żyjemy? Mowy nie ma!

szających przeciwników (ich portrety – na razie) i zarznięcie państwa w przyszłości, byle tylko dziś utrzymać się przy władzy.

Dosyć mam lenistwa opozycji, która zrobi wszystko, aby nic nie robiąc, pokazać, jak bardzo się napracowała.

Koniec.

Od 1 stycznia 2020 roku liczy się tylko sztuka. Kreacja. Bliscy. Rodzina. I, powiedzmy elegancko, nuta sybarytyzmu. No i – „Kra-ków”. Miesięcznik.

O, proszę, jak to o swym życiu ciekawie opowiada mi w tym numerze redaktor-senior miesięcznika „Kraków”, osiemdziesięciolatek Jan Pieszczałowicz (a jego urodziny wypadają dokładnie w styczniu, więc tym serdeczniejsze uściski), jakie to pouczające. Ale i tu nagle cios w bok otrzymuję: „Jednak żyliśmy wtedy nad Wisłą. Nikt nie wierzył w kasację Jałty. Nikt. Rozmawiałem kiedyś z Janem Józefem Szczepańskim, a wiadomo, jakie miał poglądy, to mi powiedział: »No słuchaj, ale żyć trzeba«. I zanosił książki do państwowych wydawnictw, gdzie mu je wydawano”.

No nie: więc jeśli jesteśmy w d..., to mamy się tam zacząć wygodnie urządzać? Oportunizm? Po to żyjemy? Mowy nie ma!

Spokojnie, spokojnie... Głęboki oddech i wracam do swych obietnic – żadnej polityki.

Na szczęście barwny Alosza Awdiejew (w tym roku także stuknie mu osiemdziesiątka, jemu wszystkie nagrody świata, nie tylko z tej okazji!) w rozmowie z Wackiem Krupińskim deklaruje, że dla niego nie tylko szklanka jest w połowie pełna, ale i że te drugie pół

sam wypił. O! Super, to dla mnie. Ale potem mówi, jak to w czasie występów zdarzało mu się słyszeć: „Spieprzaj do Ruskich”. I już dawaj, zastanawiam się, kto w Polsce pracuje dla Putina – czy nie ci, którzy najmocniej wrzeszczą przeciwko Rosjanom?

Nic to, milcz duszo, liczy się tylko miłość, renesansowy tryb życia i szukanie pomyślu na film życia. Na szczęście dwie wspa-niałe opowieści – Magdy Husarskiej-Szumiec o Cecylii Gallerani, modelce Leonarda da Vinci, znanej też pod ksywką „Z gronostajem”. Toż to historia godna pióra Jane Austen, a przynajmniej Helen Fielding. A do tego felieton Igi Dzieciuchowicz (kudy Helen Fielding do niej!), brzmiały jak opowiadanie filmowe dla Kieślowskiego („Gdy chcę przejść na drugą stronę ulicy, on pisze, że źle mu z tym, że ją oszukuje. Na środku drogi rozjeżdża mnie dostawczak”).

Tak, to jest to. Skupmy się na literkach, na słowie, na nastroju i emocjach.

Tym się zajmę w roku pańskim 2020.

Uff. Od razu lepiej.

Dlatego na deser spokojnie sięgam po felieton jednej z najwspanialszych poetek polskich, wielkiej mej – nie wstydzmy się tego – fascynacji, Ewy L. Sięgam w nastroju już nostalgicznie-poetyckim i...: „Pamiętaj, że »dyktatura to państwo, w którym wszyscy boją się jednego, a jeden, wszystkich« (A. Moravia), dokonujemy takich wyborów w 2020 roku, aby potem nie było »śmieszno i straszno«”.

I znowu dopadło mnie, dopadło. Znowu wybory, znowu wściekłość. I oby znowu nie bezsilność.

No, dobrze, dopiero w przyszłym roku złożę kolejne ślubowanie prawdziwej noworocznej zmiany.

I pewnie znowu skończy się jak zwykle...



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Giedroyc dla Majchrowskiego (i Krakowa)

Tekst: Krzysztof Burnetko

Za „współczesne odczytanie wspólnego dziedzictwa” Polski i Ukrainy oraz za „kulturowanie tradycji historycznej Galicji” dziennik „Rzeczpospolita” uhonorował nagrodą im. Jerzego Giedroycia lwowskiego dziennikarza Mykołę Kniażyckiego oraz profesora (i prezydenta Krakowa) Jacka Majchrowskiego.

Jerzy Giedroyc byłby zadowolony. Tym, jak zbudować dobre stosunki z Ukrainą i Ukraińcami, zajmował się przecież ponad pół wieku w paryskiej „Kulturze”. Podobnie na sercu leżały mu relacje z Litwinami, Białorusinami i Rosjanami (nie mylić z funkcjonariuszami władzy z Kremļa).

Dowodem dziesiątki artykułów na łamach tego najważniejszego pisma polskiej powojennej emigracji (a także wydawanych również pod okiem Redaktora „Zeszytów Historycznych”), wiele książek Instytutu Literackiego (również przez niego zawiadywanego), wzmianki w bogatej korespondencji Giedroycia z postaciami ówczesnej polityki czy wreszcie inicjatywy w rodzaju szmuglowania do ówczesnych republik ZSRR wolnej prasy.

Znamienny jest i taki drobiazg. Zimą 1997/98 sam stanąłem przed furtką siedziby „Kultury” w podparyskim Maisons-Laffitte. Na polecenie Jerzego Turowicza miałem przeprowadzić z Księciem (bo tak mówiło się o Giedroyciu) rozmowę dla ówczesnego „Tygodnika Powszechnego”. Miałem nadzieję, że Redaktor może mnie kojarzyć – dziesięć lat wcześniej w Instytucie Literackim wydał naszą (z Witkiem Beresiem) książkę *Tylko nie o polityce* – zbiór wywiadów z ludźmi solidarnościowej, podziemnej opozycji (do dziś uważamy to za wielki honor). Na wszelki wypadek wyprowadziłem jednak za ramię buty, bo wieść niosła, że to po ich stanie Książę najpierw ocenia swoich gości.

Teraz miałem podsumować dziesięciolecie polskiej wolności. Ale Giedroyc od razu ukierunkował rozmowę: „Najbardziej pasjonuje mnie i interesuje polska polityka wschodnia i normalizacja stosunków z naszymi wschodnimi sąsiadami. (...) Kiedy stawiałem te kwestie, wszyscy uważali, że to utopia. Tymczasem wystarczyło chłodno prześledzić sytuację Związku Sowieckiego, by dojść do wniosku, że jest to imperium, które musi się rozpaść ze względu na wielonarodowość właśnie. Z drugiej strony, trzeba było przemyśleć doświadczenia marszałka Piłsudskiego. Przecież wtedy koncepcja federacji zbankrutowała z prostej przyczyny: zapomnieliśmy, że przez naszych sąsiadów, Ukraińców czy Litwinów, jest ona odbierana jako dowód polskiego imperializmu. Ciągłe powoływanie się na tradycję jagiellońską było dla nich nie do przyjęcia. Dla nas to były wielkie karty historii, dla nich – czarna karta. A nieufność przełamuje się trudno. Jasne było też, że tego rodzaju polityka wymaga ofiar i ustępstw. Dlatego swego czasu wysunęliśmy w »Kulturze« postulat, by Polacy raz na zawsze zrezygnowali z roszczeń do Wilna i Lwowa. To była ciężka decyzja, bo wiemy, jaką rolę odgrywały te miasta w życiu

Polski. Jednak był to niezbędny warunek normalizacji stosunków z Litwą i Ukrainą. Trzeba było zdać sobie sprawę, że sentymenty nie są najważniejsze. Że niepodległa Ukraina jest dla nas znacznie istotniejsza”.

Książę był wszelako wciąż realistą. Mówił: „Antyukrainizm ciągle jest niesłychanie silny. Stale wypomina się Wołyń itd. Można już mówić o sporej normalizacji nastrojów społecznych w stosunku do Niemiec. Dlaczego proces taki nie dokonał się wobec Ukraińców? Zdawałoby się, że okrucieństwa popełnianie przez Niemców były wielokrotnie większe od ukraińskich. Niemcom zapominamy, Ukraińcom zapomnieć nie możemy”.

*

Związki Krakowa z Kijowem należą dziś do najstarszych partnerstw miast Polski i Ukrainy (trwają od 1993 roku). Zaczyna tradycję ma też współpraca Krakowa z Lwowem.

Wedle oficjalnych szacunków pod Wawelem żyje już około 60 tysięcy Ukraińców. Tak naprawdę może ich być nawet do 100 tysięcy. Stanowią więc aż 10 procent mieszkańców miasta!

Prócz wspólnych przedsięwzięć gospodarczych (często opartych na funduszach europejskich), kulturalnych (choćby Międzynarodowy Festiwal Teatru Ukraińskiego Wschód-Zachód) czy ekologicznych (wymiana pomysłów na walkę ze smogiem) ważne są więc i najprostsze inicjatywy – w rodzaju wydania poradnika dla ukraińskich i białoruskich studentów w Krakowie. Są też i wspólne problemy – zarówno tam, jak i tu władze centralne próbują, na przykład, ograniczyć rolę samorządu.

*

Prócz podejścia do polityki – oraz Ukrainy – jeszcze jedna sprawa łączyła Giedroycia i Majchrowskiego. To dogłębna znajomość dziejów II Rzeczypospolitej. Symbolem może być już to, że Jacek Majchrowski jako historyk doktryn politycznych analizował między innymi publicystykę „Buntu Młodych” i „Polityki” – pism redagowanych przez młodego Jerzego Giedroycia.

Profesorze, gratulujemy! Zwłaszcza że też jesteśmy dumni.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Z wdzięczności za życie

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: Jan Zych

Urszula Smok – drobna, wesoła brunetka od 18 lat prowadzi Fundację Podaruj Życie. Sama dostała to życie po raz drugi, gdy w wieku 21 lat przeszła przeszczep szpiku. – Lekarz rodzinny zignorował pierwsze niepokojące wyniki badań, a choroba nie dawała poważnych objawów, więc nie dociekałam, co to znaczy podniesiony poziom leukocytów – wspomina. – Rok później, kiedy trafiłam do szpitala, białaczka była już zaawansowana.

Leczenie było trudne, wyczerpujące i zabierało jej cztery lata życia rozdartego pomiędzy klinikami w Krakowie i Wrocławiu. Dopiero niedawno dowiedziała się, jak niewielkie szanse dawali jej wówczas lekarze. Allogeniczny (od dawcy) alternatywny przeszczep wykonany we Wrocławiu zakończył się sukcesem, co było ewenementem nawet w skali światowej. – Dzięki pieniądзом zebranym nie tylko w Polsce, ale i za granicą, w decydującym momencie poddano mnie leczeniu bardzo drogim zagranicznym lekiem. Byłam pierwszą pacjentką, która otrzymała go w klinice – opowiada. – To była naturalna decyzja, by po powrocie do zdrowia założyć fundację. Miałam dług wdzięczności wobec ludzi, którzy przekazali pieniądze na moje leczenie.

I tak w 2001 roku powstała Fundacja Urszuli Smok Podaruj Życie. To była jedna z pierwszych fundacji, które wspierały finansowo leczenie osób z chorobą nowotworową. Dziś działalność fundacji nastawiona jest nie tylko na pomoc chorym, ale także ich rodzinom oraz edukację społeczną. We współpracy z Collegium Medicum UJ fundacja organizuje konferencje dla środowiska medycznego, udziela porad psychologicznych, organizuje kampanie zachęcające do wpisania się na listę dawców szpiku. Marsze Nadziei i Życia, podczas których zielone baloniki unoszą do nieba listy z marzeniami chorych, wpisały się już w krajobraz Krakowa.

Urszula Smok energią i optymizmem zjednuje ludzi, dlatego udaje się jej przeprowadzić wiele spektakularnych akcji, takich jak „Torebka i Krawat Naszpikowany Dobrem”. Przedsięwzięciu kibicują między innymi Danuta Wałęsa, Anna Komorowska, Beata Tyszkiewicz, Grażyna Torbicka, Jakub Błaszczkowski, Janusz Gajos, Jerzy Trela i Władysław Kosiniak-Kamysz. Zebrane podczas licytacji

pieniądze przeznaczone są głównie na wyjazdy wakacyjne dla podopiecznych i pacjentów z krakowskich klinik hematologicznych. – Dbam, by był to wyjazd rodzinny: z rodzicami i rodzeństwem, bo choroba nowotworowa to wielka próba dla całej rodziny – wyjaśnia.

Najnowszym jej pomysłem jest akcja „Łyse jest piękne”, która ma na celu oswojenie spo-

Rak nie musi kojarzyć się z cierpieniem i alienacją.

łeczeństwa z kobietami, które straciły włosy na skutek chemioterapii. – Nasze „modelki” mają oryginalne tatuaże na głowie i makijaż, są po prostu piękne, bo rak nie musi kojarzyć się z cierpieniem i alienacją. Chciałabym, by ludzie dostrzegli ich kobiecość – wyjaśnia pani prezes. – Kłopoty, jakie napotkaliśmy przy realizacji tej kampanii, uświadomiły mi, jak trudne jest to dla naszego społeczeństwa. Ale nie zniechęcam się. Jestem zaprawiona w pokonywaniu przeszkód.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiec, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.



Uroki gry w szmacyankę

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcia: NAC 1928 i Krzysztof Jakubowski 2019

Przedstawiona fotografia zmusza do wyłączenia wzroku. Mimo to czytelnicy zaznajomieni z historią i topografią Krakowa zapewne szybko rozpoznają miejsce, gdzie zrobiono to ujęcie. Tak, to widok ul. Podzámce z perspektywy dzisiejszego wału Wisły. Tyle że w październiku 1928 roku.



W głębi kadru widać zakręt, gdzie ul. Podzámce przechodzi w ul. Powiśle (albo na odwrót), z reprezentacyjną kamienicą wzniesioną przy Powiśle 12 w 1908 roku. Na bliższym planie stoi nieistniejąca południowa część tych dwóch sąsiadujących ulic. Dom po lewej (Podzámce 30) stał najbliżej Wisły, a ukazaną tu postać otrzymał po przebudowie przeprowadzonej według planów Stefana Ertela w latach 1885–1886. Oprócz pierwszego piętra zyskał wtedy skrzydło od strony północnej. W latach 90. XIX wieku został wykupiony przez gminę z rąk rodziny Schneiderów, jego długoletnich właścicieli.

Za parkanem po prawej, już niemal na stokach Wawelu, mającą jeszcze dwa domy. Pierwszy, zwany „Pod Kaczką”, składał się z dwóch części: parterowej i jednopiętrowej. Dom ten – podobnie jak opisywany wyżej – gmina odkupiła od ostatnich właścicieli, rodziny Chybińskich. Później mieścił się tam żłobek powierzony opiece św. Jana Chrzyciela. Sąsiadowała z nim (dalszy plan, po prawej) dwupiętrowa kamienica wzniesiona w 1890 dla Wilhelma Krengela według projektu Zygmunta Luksa.

Już w okresie międzywojennym pojawiały się opinie, aby ze względów – nazwijmy to – estetyczno-krajobrazowych usunąć tę grupę domów ze stoków Wawelu. Ostatecznie w 1937 roku wyburzono tylko ten stoją-

cy najbliżej Wisły. Po kolejnej wielkiej powodzi, która nawiedziła Kraków w 1940 roku, okupacyjne władze miasta podjęły decyzję o budowie brakującego odcina wału pomiędzy mostem Dębnickim a Skałką. Było to równoznaczne z wyrokiem na pozostałe dwa domy. Ich rozbiórkę rozpoczęto równocześnie z pracami przy obwałowaniu wiosną 1941 roku.

No i wreszcie plan pierwszy – z czterema gimnazjalistami grającymi w szmacyankę, zastępującą wtedy kosztowną piłkę. Jak widać, mundurki gimnazjalne wzorowane były wtedy na mundurach wojskowych. W Krakowie jako ostatni nosili je, do lat 60. minionego stulecia, uczniowie prywatnego Liceum Piłajów. Trudno oprzeć się refleksji, że dziś ci chłopcy pewnie spacerowaliby ze smartfonami... Zwraca jeszcze uwagę furka jadąca drogą od strony ul. Smoczej. Przejazd tamtędy zlikwidowano dopiero w 1962 roku.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Dama z gronostajem – historia modelki

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Ilustracje: Małgorzata Miklaszewska oraz domena publiczna

Historia życia modelki Leonarda da Vinci, pozującej mu do portretu *Dama z gronostajem*, mogłaby się stać kanwą powieściowego romansu, przy którym niejedna pensjonarka zalewałaby się łzami. My też nieco wzruszyliśmy się jej dziejami, choć bardziej przepełnia nas radość, że słynny obraz kochanki Ludovico il Moro wrócił na swoje miejsce i już możemy go oglądać w Muzeum Książąt Czartoryskich.

1.
Komnatę, w progu której stanęła Cecylia Gallerani, oświeślały mocne promienie słońca wpadające przez okno. Siedemnastoletnia dziewczyna pewnym krokiem weszła w ich krąg, odruchowo mrużąc oczy i zasłaniając je ręką. Siedzący do tej pory na stołku mężczyzna, energicznie zerwał się z miejsca. Odsunął od siebie niewielkich rozmiarów deskę z drzewa orzechowego i ruszył w stronę modelki, która w tym momencie została tak oświetlona, jak mu się zamarzyło. Poprosił ją, żeby opuściła rękę, chcąc dokładnie przyjrzeć się odcieniowi jej jasnej skóry. To właśnie ten subtelny ton chciał uchwycić w swoim dziele.

Cecylia poddała się jego woli bez słowa sprzeciwu. Uśmiechnęła się tylko przelotnie, chowając za siebie pergamin, na którym widniały pięknie wykaligrafowane litery jej najnowszego wiersza. Pragnęła się nim pochwalić przed Leonardem. Uważała go za wszechstronnego artystę, z którego zdaniem bardzo się liczyła. W końcu odkąd księżę Ludovico il Moro zlecił mu namalowanie jej portretu, nieraz dyskutowali o sztuce. Jednak tego dnia malarz zamierzał szybko wziąć się do roboty. Ciągle nie miał bowiem pomysłu, jak ustawić dziewczynę, by oddać najlepiej nie tylko jej urodę, ale też uczucia, które ją przepełniały.

Znał bowiem doskonale jej sytuację na dworze od czasu, kiedy ponad rok wcześniej pojawiła się na nim z braćmi.

2.
Rodzeństwo przybyło do wznoszącego się nad Mediolanem zamku Castello Sforzesco, gdzie panował potężny książę Ludovico il Moro. Przyszli prosić władcę o zwrot dóbr skonfiskowanych im przez państwo. Doszło do tego, gdy zmarł ich ojciec. Odkąd głowę rodu zabrała puchlina wodna, poziom życia rodziny znacznie się obniżył. Mimo to matka Cecylii bardzo dbała o to, by dobrze wykształcić ośmioro swoich dzieci. I to nie tylko chłopców, ale i dziewczynki, które poznawały literaturę, łacinę, grę na różnych instrumentach, a nawet uczyły się pisać po włosku wiersze.

Leonardo wiedział, że Cecylia miała wyjść za mąż w wieku 12 lat, bo jeszcze jej ojciec zatroszczył się o to, by znaleźć jej odpowiedniego narzeczonego. Rodzina chłopaka w dniu podpisania umowy małżeńskiej dostała nawet zaliczkę, ale do ślubu nie doszło, bo Gallerani nie mieli już pieniędzy na dalszą część posagu. Sytuacja pięknej dziewczyny przedstawiała się więc teraz nieciekawie i groziło jej zamknięcie się w klasztorze. Ona sama jednak wiedziała doskonale, że życie zakonne jest nie dla niej. Wrodzony temperament szybko dałby o sobie znać i przebywa-



Leonardo da Vinci (1452–1519), *Dama z gronostajem* (portret Cecylii Gallerani), Muzeum Czartoryskich, Kraków, [za:] Wikipedia

nie za klasztorną bramą doprowadziłoby ją do rozpacz. Postanowiła więc zrobić wszystko, by zapewnić sobie inną przyszłość.

Wspinając się na zamkowe wzgórze, nie przypuszczała jednak, jak sprawy się potoczą. W skrytości ducha liczyła na to, że książę wręczy jej tysiąc dukatów, dzięki którym będzie miała w ręce posag. Kiedy jednak stanęła przed przystojnym, świetnie zbudowanym mężczyzną, o śniadej cerze, przez co poddani nazywali go Maurem, oniemiała. Wrażenie zrobiła na niej nie tylko jego intrygująca twarz i potężna postura, ale i wyszyty perłami, rubinami i diamentami płaszcz, którym książę okrywał się przed zimnem. Miała ochotę przykryć się jego połami i wreszcie poczuć się bezpiecznie.

Kiedy śmiało popatrzyła w oczy Ludovica, nie miała już wątpliwości, że to mężczyzna jej życia. Gdyby posiadała wtedy większe doświadczenie w miłosnych grach, pożądanie, jakie w nim dostrzegła, odpowiedziałoby jej, że suma, po którą przyszła, będzie niczym w porównaniu z majątkiem, jakim niebawem obsypie ją kochanek. Bo o tym, by kiedykolwiek zostać jego żoną, nie mogła nawet śnić. Wiek XV był czasem, gdy ludzie pokroju Sforzy żenili się wyłącznie z kobietami, z którymi związek dawał im szansę na utrzymanie politycznych sojuszy. Ludovico zawarł już taki układ małżeński z księciem Ferrary, ojcem Beatrice d'Este. Stało się to kilka lat wcześniej, kiedy dziewczynka skończyła pięć lat. Ale teraz zbliżała się do wieku, kiedy mogła wreszcie stanąć przed ołtarzem. I książę miał tego pełną świadomość, gdy pierwszego dnia patrzył Cecylii w oczy.

Mimo to zrobił wszystko, by dziewczyna zamieszkała w zamku.

3.

Już pierwszego dnia olśnił ją przepych panujący na zamku, choćby uczy, jakie tam wydawano, wprowadziłyby w zachwyt każdego. Cecylia nie mogła wyjść ze zdumienia, gdy na stół wjeżdżały potrawy przypominające dzieła sztuki. Początkowo szkoda było jej kroić wykonaną z białych piersi kapłona figurę nagiej Andromedy, przywiązaną do skały ze śmietankowego sera. Ale szybko zaczęła pałaszować słodczyce z cedrowych orzechów, smażonych migdałów, wykonanych według rysunków tak znakomitych artystów jak Bra-

mante czy Leonardo da Vinci. Przedstawiały one mitologiczne postaci, wśród których byli między innymi Herkules, Hipolit czy Bachus, i smakowały naprawdę wybornie. Jako księżęca faworyta królowała na dworskich balach, ubrana w długie, powłóczyste suknie, nieraz tak ciężkie, że krępowały ruchy. Lecz szybko nauczyła się w nich tańczyć, towarzysząc ukochanemu mężczyźnie w dworskich piasach.

Kiedyś jednak podczas takiego balu poczuła się słabo. Książę, który – o czym wszyscy wiedzieli – potrafił się nieźle zezłościć, gdy ktoś przerywał mu dobrą zabawę, tym razem zainteresował się tym, co dzieje się z jego kochanką. Osobiście ją podtrzymał i zaprowadził do komnaty mieszczącej się wówczas obok jego własnej sypialni. Gdy zostali sami, Cecylia wyznała mu, że spodziewa się dziecka. Ludovico ta wiadomość wcale nie zaskoczyła. W końcu miał już kilkoro nieślubnych potomków, więc kolejny nie był dla niego niczym szczególnym.

Choć nie do końca. Cecylię darzył jednak prawdziwym uczuciem i to z jej powodu odwlekał ślubne uroczystości z Beatrice d'Este. No cóż, kiedy patrzył na wizerunek swojej przyszłej żony, który przywieźli mu posłowie, i porównywał go z urodą dziewczyny odpoczywającej w jego łóżu, jeszcze mniej spieszyło mu się do małżeństwa. Jednak nie miał wyjścia, bo właśnie zaczęto czynić przygotowania do uroczystości. By nie kłuć w oczy przyszłego teścia obecnością w pobliżu pana młodego pięknej kochanki, zaślubiny miały odbyć się w Pawii, a nie na dworze w Mediolanie. Bo Ludovico nie zamierzał rozstać się z Cecylią, niezależnie od jej reakcji na wiadomość o zbliżającym się ślubie.

Lecz ona przyjęła ją spokojnie. Gdy zakomunikował jej, że się żeni, po prostu wstała i poszła do swojej sypialni, nie pokazując łez, które zaczęły się kręcić w jej oczach. Znała swoją pozycję na dworze i doskonale wiedziała, że kiedyś będzie musiała ustąpić miejsca innej kobiecie. Choć teraz, gdy spodziewała się dziecka, było to naprawdę trudne. Ludovico miał jednak do Cecylii słabość większą niż do swoich dotychczasowych kochanek. Dlatego, by osłodzić przykry czas, postanowił jej ofiarować portret, na którym zostanie uchwyczone jej piękno w całej okazałości.



Giovanni Ambrogio de Predis (1455–1508), *Portret Ludovica Sforzy* (1452–1508), miniatura z *Grammatica Latina* Elio Donato, biblioteka zamku Trivulzio, [za:] Wikipedia

4.

O jego wykonanie poprosił Leonarda da Vinci. Artysta przebywał w Mediolanie od pewnego czasu, ale wcale nie był tu znany jako wybitny malarz. Odkąd przyjechał z Florencji, ciągnęła się za nim opinia sodomity, a na dodatek autora wielu niedokończonych prac. Kiedy postanowił przyjechać na dwór Sforzy, wysłał księciu coś w rodzaju listu motywacyjnego, prosząc go o możliwość budowania dla niego armat i innych urządzeń wojskowych. Ale nie do końca został wysłuchany. Najczęściej zlecano mu bowiem projektowanie scenografii do przedstawień wystawianych na zamku czy rozwiązywanie problemów hydraulicznych, pozwalających księciu kąpać się w większej niż zazwyczaj ilości ciepłej wody.

Teraz jednak czekało go naprawdę poważne zadanie, z którego chciał się jak najlepiej wywiązać. I to nie tylko z powodu księcia, ale także samej Cecylii, do której czuł sympatię. Długo więc myślał, w co ją ubrać. Postanowił zostać przy najnowszej hiszpańskiej modzie, która niedawno opanowała dwór w Mediolanie. Poprosił ją, by nałożyła na siebie suknię z kwadratowym dekoltem, ozdobioną poziomymi taśmami, które nawiązywały do sznurowanych staników ówczesnych sukien katalońskich. Jej długie, proste włosy o odcieniu kasztanu postanowił zebrać na karku i przewiązać cienką, czarną, przechodzącą przez czoło wstążką. Po chwili namysłu poprosił Cecylię, żeby ściągnęła też biżuterię, którą na co dzień nosiła i zmyła z twarzy makijaż. Chciał mieć ją w czystej, jasnej postaci. Dzięki temu mógł pokazać jej dziewczęcą świeżość, mimo stanu, w jakim się znajdowała.

Nieraz robił już różne rzeczy na zamówienie, więc miał świadomość, że w jakiś sposób musi na tym portrecie zaznaczyć obecność księcia. Oczywiście w sposób symboliczny, który będą mogli odczytać tylko wtajemniczeni. Choć pewnie dla postronnych osób szyfr zawarty na obrazie nie był trudny do rozwiązania. W końcu wszyscy wiedzieli, że Ludovico il Moro nazywano *Ermellino bianco*, czyli białym gronostajem. Na dodatek świetnie wykształcony malarz miał świadomość, że grecka nazwa gronostaja to *gale*, co było dość prostą aluzją do nazwiska Gallerani.

Kiedy na to wpadł, zaczął jednak poważnie się zastanawiać, czy młoda żona księcia

błyskawicznie nie zorientuje się w ukrytych na obrazie znaczeniach. Szybko jednak uspokoiła go plotka, która rozeszła się po dworze. Wszyscy, nawet ci, którzy nigdy nie byli na zamku w Ferrarze i nie widzieli księżniczki, przekazywali sobie z ust do ust wiadomość, że nie jest ona zbyt inteligentna i interesuje się wyłącznie strojami oraz dworskimi zabawami. Dzięki tym wieściom Leonardo namalował gronostaja w rękach Cecylii, nie obawiając się już reakcji ani księżnej, ani księcia. Zresztą ten ostatni miał już inne rzeczy na głowie.

5.

Bowiem kiedy książę sprowadził swoją nowo poślubioną małżonkę na zamek, wcale nie oddalił Cecylii poza jego mury. Poprosił ją tylko, żeby przeniosła się do położonej nieco dalej od jego sypialni komnaty, stwarzając jedynie pozory, że nic już ich nie łączy. Co oczywiście nie było prawdą. Dziewczyna doskonale wiedziała, że mimo coraz bardziej zaawansowanej ciąży, kochanek dalej ją pożąda i znacznie częściej odwiedza niż prawowitą małżonkę. Ludovico był dla niej naprawdę czuły, choć wszyscy doskonale wiedzieli, jaki ma porywczy charakter i jak okrutny potrafi być w stosunku do innych. Ale z Cecylią było inaczej. Gdy powiła pięknego syna Cesara, książę przyszedł do jej łóża i z przyjemnością popatrzył na śpiącego przy jej piersi chłopca. A kiedy wydobrzała po położu, wezwał ją do siebie i podarował spory majątek ziemski Saronno, dzięki któremu do końca życia mogła nie martwić się sprawami materialnymi. Cesar też został hojnie wyposażony przez ojca w piękny pałac Carmagnola, znajdujący się w centrum Mediolanu. To właśnie do niego Cecylia z dzieckiem przeniosła się, gdy na dworze wybuchł prawdziwy skandal.

A przecież tego dnia Cecylia naprawdę czuła się szczęśliwa. Ludovico, po wspólnie spędzonej nocy, zjadł z nią i gaworzącym w kołysce Cesarem śniadanie, po którym wezwał służę. Ten przyniósł szczerze zapakowany pakunek. Dziewczyna przypuszczała, że to pewnie jakiś prezent dla niej, więc z dziecięcą radością zaczęła go odpakowywać. W środku znajdowała się suknia, której hafty i obszycia zrobiłyby wrażenie na każdej kobiecie. Uszczęśliwiona, bezwstydnie zrzuciła ubranie i zaczęła przymierzać kra-

wieckie dzieło sztuki. Ludovico uśmiechnął się na ten widok, pogłaskał syna i oddalił do swoich spraw.

Wieczorem mieli się zobaczyć na uczcie, na którą Cecylia oczywiście postanowiła ubrać nową suknię. Gdy weszła w niej do sali jadalnej, wyglądała zjawiskowo. Była tak zadowolona ze swego wyglądu, że nie zwróciła uwagi na szepty dam dworu. Dopiero gdy spojrzała na siedzącą u boku Ludovica Beatrycze, straciła kompletnie rezon. Otóż jej rywalka miała na sobie dokładnie taką samą suknię, jaką tego ranka podarował jej kochanek. Mina księżnej, która oczywiście błyskawicznie zorientowała się w sytuacji, nie wróżyła niczego dobrego. Tym bardziej że Beatrycze wstała od stołu i z obrażoną śmiertelnie miną opuściła zebranych. Cecylia zrobiła dokładnie to samo, że łzami w oczach udając się do swojej komnaty. Tylko Ludovico nie mógł pojąć, o co chodzi. Kompletnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co złego zrobił, kupując im identyczne suknie.

Zrozumiał to, gdy znalazł się już w małżeńskim sypialni. Wściekła Beatrycze oświadczyła mu, że natychmiast ma oddalić faworytę. Dodała jeszcze, że ma zrobić to jutro, bo inaczej wsiądzie w powóz i wróci do swojego ojca.

6.

Ludovico, do którego wciąż z trudem docierało, o co ta cała histeria, nie miał już wyjścia.

Całą noc przewracał się z boku na bok, zastanawiając, jak ma to powiedzieć kochance. Na wszelki wypadek kazał słudze z samego rana wezwać do siebie hrabiego Ludovica Carminatiego de Brambille, zwanego Berga-

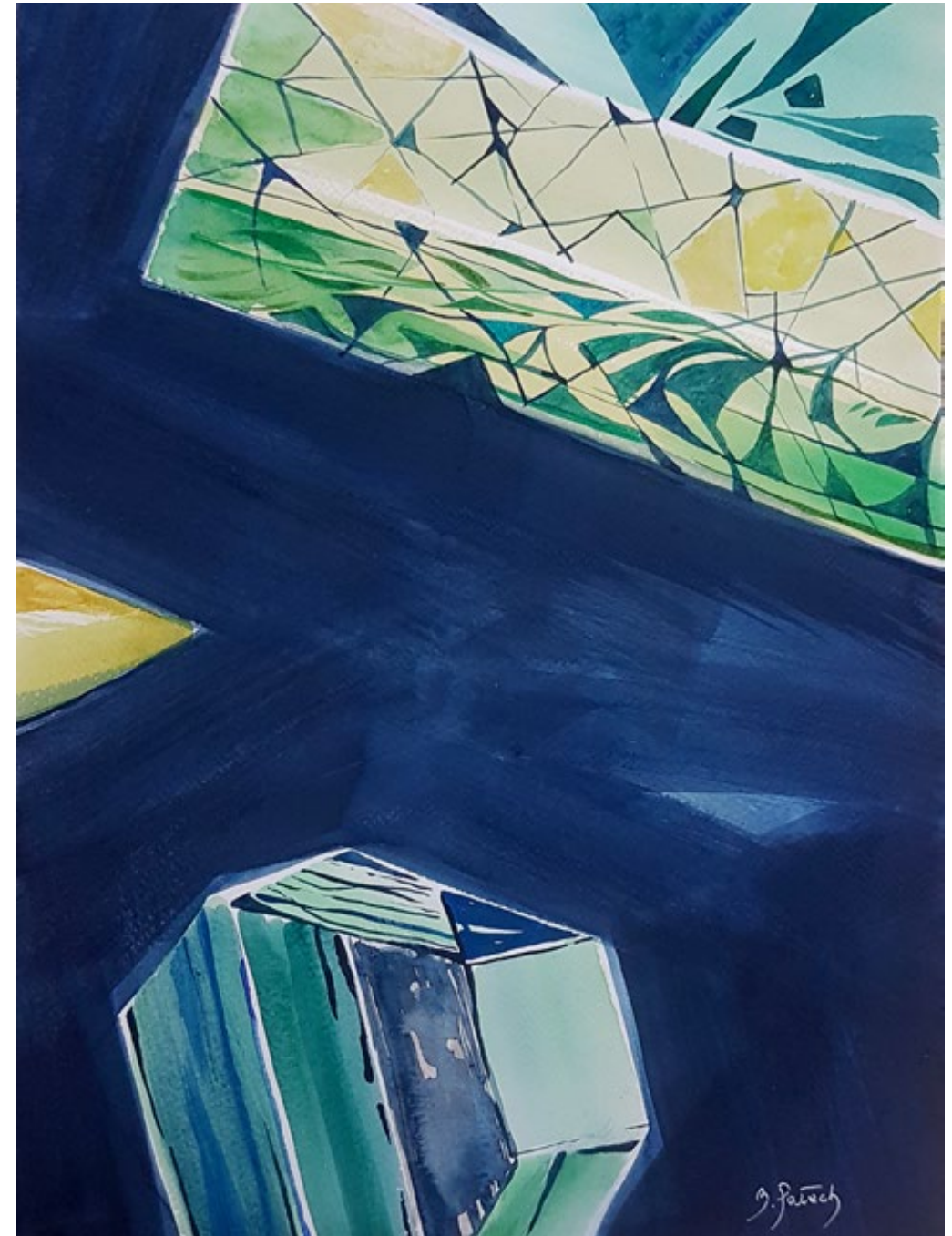
minem, któremu zaproponował rękę Cecylii. Księciu się takich rzeczy nie odmawiało, więc hrabia – chcąc, nie chcąc – rozpoczął przygotowania do ślubu. Chyba jednak bardziej chciał, bo znał Cecylię i od dłuższego czasu podziwiał jej mądrość i urodę. Żyli zresztą zgodnie i w dostatku przez wiele lat, wychowując oprócz Cesara całkiem sporą gromadkę dzieci z prawego już łóża.

Ale z tego, jak potoczą się jej losy, Cecylia jeszcze nie zdawała sobie sprawy, kiedy pozowała Leonardowi do portretu. Tego dnia, gdy malarz wciąż zastanawiał się, jak uchwycić jej sylwetkę, usiadła przed nim w zamyśleniu, wpatrując się w promienie słońca, padające na podłogę komnaty. Wiedziała, że rosnące w jej brzuchu dziecko wiele zmieni w jej życiu. Ale nie tylko ono. Myślała też o Beatrice, która niebawem zajmie jej miejsce przy boku ukochanego mężczyzny. Nagle te rozmyślenia przerwał odgłos otwieranych drzwi. Cecylia nieznacznie odwróciła się w ich stronę, nie zważając na to, że obiecała malarzowi, iż nie będzie się ruszać. Domyśliła się, że w drzwiach stoi Ludovico. Leonardo da Vinci też go dostrzegł. Ale nie zwrócił na niego większej uwagi. Był skupiony na modelce, bo teraz miał już stuprocentową pewność, że uczucia Cecylii Gallerani odda dzięki temu jednemu ruchowi głowy i spojrzeniu w bok, w którym czaiła się niepewność połączona z miłością.

Korzystałam z książek Katarzyny Bik *Najdroższa. Portret damy z gronostajem*, Mike’a Lankforda *Stać się Leonardem. Słabości i geniusz Leonarda da Vinci* i Dimitra Merezkowskiego *Leonardo da Vinci. Zmartwychwstanie bogów*.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mar-ki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Beata Pałach, *Światy II*, akwarela



Spowiedź dziecięcia wieku

Rozmawiał Witold Bereś Zdjęcia: Jan Zych

Jan Pieszczachowicz: Należałem do pokolenia, które na swój sposób próbowało się ułożyć z rzeczywistością. Wiesz, jak walczyliśmy z oficjalną ideologią? Cytując w „Studencie” młodego Marksa, który w pierwszym swym okresie pisał krytycznie o rozwoju ideologii komunizmu. I jak cenzura nam cokolwiek zdejmowała, to w zamian dawaliśmy fragment Marksa. To było już w naszej redakcji niemal przysłowiowe: „Jakby co, idziemy w młodego Marksa”.

Witold Bereś: Janku, urodziłeś się osiemdziesiąt lat temu, w styczniu roku 1940. To czas specyficzny – bo okupacja. Z kolei świadome dzieciństwa trafiło ci się już w Polsce stalinowskiej. A jednocześnie wiem, że twoje środowisko to socjaliści... Jakbyś je pełniej określił?

Jan Pieszczachowicz: To proste – ojciec do PPS-u zapisał się jeszcze przed wojną i tradycja rodzinna to PPS. Pamiętam okres 1947–48, kiedy u nas w mieszkaniu zbierali się miejscowi i przyjezdni PPS-owscy działacze. I te gorączkowe debaty, czy w referendum głosować 3 x TAK czy 3 x NIE, czy jeszcze inaczej. Ja włożyłem pod stół i podsłuchiwałem, a miałem 7–8 lat. Pamiętam to niedokładnie, ale te emocje – doskonale.

Staram się być wierny lewicowej tradycji. Uważam, że dyskryminowanie PPS-u, czyli jakiegokolwiek lewicowości, jest bezmyślne i niesprawiedliwe. Tata pochodził z chłopów, mama była chłopką, ale on jeszcze przed wojną został technikiem wodno-melioracyjnym i dostał pracę w mieście, w Sandomierzu, gdzie pracował przy obwałowaniu Wisły. To była sprawa ważna, bo miasto nawiedzały katastrofalne powodzie – pamiętam, jak zaraz po wojnie do drzwi naszego domku podpływaliśmy na wrotach ze sto doły. Na szczęście nasz domek stał na podmurowaniu, to się do środka nie wlewało.

A jaki był ten Sandomierz lat dziecińczych?

Wychowywałem się w mieście dość klerykalnym, ale i niepozbawionym starej inteligencji, częściowo lewicowej. Ci lewicowcy, ale na poziomie PPS-owskim, byli tolerowani. Ludzie się lubili w Sandomierzu, szanowali się, niezależnie od tego, jakie kto miał poglądy. To było miasto, w którym razem z innymi dziećmi biegałem za biskupem Janem Kantym Lorkiem, który chodził na spacer w sutannie z kieszeniami wypełnionymi cukierkami. Jak się podbiegło i powiedziało „Niech będzie pochwalony”, to się dostawało cukierka albo i cukierków parę. Szacunek, jaki tam wzajemnie panował, a który zepsuła dopiero stalinowska komuna, i to w sposób jaskrawy, polegał na tym, że w niedzielę mieszczaństwo sandomierskie udawało się nad Wisłę, gdzie czekał parowiec z przyczepioną barką. Całe towarzystwo udawało się Wisłą w stronę Tarnobrzegu albo Zawichostu, bawiąc się, pijąc i świadcząc sobie duszery. Nie pamiętam, żeby podczas takich wypraw, a dość często jeździliśmy, ktokolwiek dał komuś po pysku czy coś w tym rodzaju. Ludzie mieli światopogląd, może i mieszczański, wyrażający się prostym zdaniem: żyj i pozwól żyć innym. Czy jesteś katolik czy bezbożnik – bezbożników akurat było niewiele – nieważne. Ważne, czy jesteś dobrym człowiekiem. Dobroć polegała na tym, że się

Jan Wacław Pieszczachowicz urodził się w 1940 roku w Koprzywnicy koło Sandomierza. Krytyk literacki, historyk literatury, redaktor, wydawca, publicysta. Absolwent filologii polskiej na UJ, współtwórca czasopisma „Student” w latach 60., miesięcznika „Pismo” (zlikwidowanego w stanie wojennym) oraz w latach 80. miesięcznika „Kraków”, któremu będzie szefował przez wiele lat.

Inicjator nagród im. Kazimierza Wyki, Krakowskiej Książki Miesiąca, medalu „Za Mą-

drość Obywatelską”. W latach 1976–83 prezes krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Wielokrotnie odznaczany i nagradzany, między innymi Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, srebrnym medalem *Gloria Artis*; laureat nagrody miasta Krakowa.

Autor wielu esejów, artykułów i książek, między innymi *Na widnokręgu historii*, *Pegaz na rozdrożu*, *Smutek międzyepoki*, *Pisarze i dzieła*.

innych rozumiało, w miarę możności pomagało i uznawało, że każdy ma prawo, w pewnych granicach obyczajowych, żyć jak chce.

Do tego się przyzwyczaiłem od dziecka: nieważne członkiem jakiego stronnictwa czy partii jesteś. Ważne, czy jesteś dobrym człowiekiem.

A jak pamiętasz wojnę? Bo trochę pewnie pamiętasz.

Z wojny niestety pamiętam za dużo, choć kiedy się kończyła, miałem skończone ledwie pięć lat. Ponieważ ojciec się zadawał z partyzantami zwanymi „Jędrusiami”, którzy działali w okolicach Tarnobrzega i zjawiał się w domu – to wiem tylko z opowieści – przeważnie nocą, żeby odwiedzić żonę

Do tego się przyzwyczaiłem od dziecka: nieważne członkiem jakiego stronnictwa, partii jesteś. Ważne, czy jesteś dobrym człowiekiem.

i dziecko, więc najpierw rodzice wywieźli mnie na Rzeszowszczyznę, do ciotki (została wdową w 1939 roku). Tam jednak miałem pecha, bo gdy ruszyli Rosjanie, okazało się, że mieszkamy w strefie międzyfrontowej, gdzie nad głowami latały z obu stron pociski. Ciotka z sąsiadami wykopali więc obszerny schron w lesie, którego całymi dniami nie opuszczaliśmy, a na siusiu wolno było wychodzić tylko w nocy.

To wtedy ja, niespełna pięciolatek, widziałem trupy, dużo trupów. Po stronie oddziałów hitlerowskich walczyli ukraińscy faszysty z dywizji Waffen SS-Galizien, więc na wschodzie nie oszczędzali nikogo.

Miałem przyjaciela, nastolatka, po sąsiedzku. I on jakoś tam współpracował z partyzantami. Pewnego razu szedłem do niego i zza stodoły zobaczyłem, jak ukraińscy faszysty go torturują, by wydał swe kontakty. Po prostu upuszczali na niego belką owiniętą drutem kolczastym, a on tak strasznie krzyczał.

W końcu Niemcy uciekli. W chacie ciotki świętowano to bimbrem, a ja poszedłem w pole. Pole było pełne porzuconej broni – karabinów, granatów, wszystkiego. I wtedy zobaczyłem mały wózeczek. Bardzo mi się spodobał, więc przeciągnąłem go pod okno. Jak go zobaczyli biesiadnicy, to uciekali na złamanie karku z chałupy.

Okazało się, że to była mina przeciwczołgowa, a nie wózeczek.

Dopiero gdy wózeczek nie wybuchł, to mi go zabrali i dostałem tego w tyłek.

Więc dla mnie, cztero-, pięciolatka, trupy to była rzecz zwyczajna. I musiało to chyba oddziaływać na moją psychikę. Już wtedy instynktownie, jako dziecko zacząłem rozumieć skalę zła.

Taka była ta moja okupacja. Nie przeceniałem tego, bo cóż tu przeceniać? Ale dużo wiem o wojnie i o złu wynikającym z wojny. Dlatego może taką przywiązywałem wagę do spotykania ludzi dobrych.

I choć z ideologii wiele nie rozumiałem, to wiedziałem, że ojciec jest pepeesiak, a zatem to pepeesiacy są dobrzy.

Jakie były tego konsekwencje? Kiedy nastąpiło przymusowe zjednoczenie partii, PPR i PPS, od razu ojciec wyleciał z pracy. Potem jeszcze dwa razy wylatywał. Na szczęście matka była nauczycielką i nie wylatywała, i jakoś tę biedę udawało się przeżyć. Wtedy zacząłem rozumieć, co się w Polsce zmienia i że to nie jest dobry kierunek.

Później, to już pamiętam dobrze, Sandomierz podzielił się na ludzi w miarę przyzwyczajonych, w tym także partyjnych. Ale byli i nieprzyzwyczajeni działacze partyjni, którzy zachowywali się jak świnie, wyrzucali ludzi, dręczyli ich itd. Pamiętam też grozę, jaka zaczęła panować w mieście z powodu milicji i istnienia Urzędu Bezpieczeństwa.

Chodziłem do klasy z kolegą, którego ojciec był ubecką figurą w Sandomierzu. Pamiętam, jak raz mówi: „Chodź, odwiedzimy starego”. Nie zdawałem sobie zbytnio sprawy, co to za odwiedziny, więc poszliśmy.

Idziemy, a tu dawny internat seminarium duchownego ogrodzono drutem kolczastym, a mój przewodnik mówi do strażnika: „To kolega”. Ten wydarł się, że jaki kolega, po co kolega, ale chłopak zadzwonił do ojca i ten nas kazał wpuścić. A tam atmosfera taka, że ja, niewiele rozumiejąc, od razu pomyślałem: „Jestem w więzieniu”. I to dość surowym.

To był jeszcze stalinizm?

Tak. Chodziłem do szkoły TPD – Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. To była wzorcowa szkoła socjalizmu i oczywiście religii w niej nie było. A jak umarł Stalin, to wszystkie klasy stawały na baczność w sali gimnastycznej, by wysłuchać transmisji radiowej z pogrzebu. Później była transmisja z pogrzebu Bieruta – to samo.

A jeszcze później zostałem ze szkoły wydalony za bunt.

O co poszło?

Wtedy moja szkoła się przepoczwarziała z męskiej na koedukacyjną. I zdarzyło się tak, że zostałem jedynym chłopakiem w klasie. Jesienią 1956 roku przyszedł czas październikowego przesilenia i ja – to było jedno z większych przeżyć w moim życiu – z kaszkietem w dłoni obchodziłem klasę, a koleżanki wrzucały tam ZMP-owskie legitymacje.

Ale to jeszcze nic, bo przyszły ćwiczenia wojskowe. Mieliśmy karabiny bez zamków. Kazano nam te karabiny po zajęciach odnieść na milicję. Dziewczyny i ja uformowaliśmy oddział i ostentacyjnie maszerowaliśmy ulicami z tymi karabinami na ramionach. Czuli-

śmy się właściwie rewolucyjnie. To wystarczyło, żeby zaraz nas chcieli oskarżyć UB.

Od tego czasu patrzyłem na świat podwójnie. Nie ukrywam tego. Nigdy się nie wyrzekłem PPS-owskiej lewicowości. Przyjaźniłem się z Janem Józefem Lipskim, który opowiadał się demonstracyjnie za PPS-em. Tym z tradycji przedwojennych.

Skupmy się na latach 1956–58. Zbierasz legitymacje do ZMP-ówek w klasie. Masz tatę lewicowca. Przychodzi odwiliż. W prasie są już opisy najgorszego stalinizmu. Są czytane relacje Świątły, jest tajny referat Chruszczowa O kulcie jednostki i jego następstwach itd. Zachodzi w Polsce fundamentalna zmiana. Ty masz 18 lat, piszesz maturę. To jest taki wiek, że już się myśli. Czy wierzysz wtedy w Gomułkę?

Myśmy, mówię o moich rówieśnikach, poważnie emocjonalnie wierzyli w Gomułkę. Ale nie bez zastrzeżeń i dość szybko zrozumieliśmy, że to jest wiara na wiarę. Potem się pogarszało. Lata 60. już były dramatyczne. Obserwowało się rosnący podział społeczeństwa – tych, którzy usiłowali nadal wierzyć w Gomułkę, żeby w coś wierzyć. I sceptyków. Jednak żyliśmy wtedy nad Wisłą. Nikt nie wierzył w kasację Jałty. Nikt. Rozmawiałem kiedyś z Janem Józefem Szczepańskim, a wiadomo, jakie miał poglądy, to mi powiedział: „No słuchaj, ale żyć trzeba”. I zanosił książki do państwowych wydawnictw, gdzie mu je wydawano.

Między innymi wydawał mu te książki partyjny prominent w kulturze Andrzej Kurz, a ja czas jakiś byłem jego zastępcą. Więc panował swojego rodzaju pragmatyzm: nie lubimy tych sukinsynów, ale skoro tu żyjemy i nic nie zapowiada, żebyśmy przestali, to trzeba jakoś żyć.

I tak myślało wielu ludzi, partyjnych i bezpartyjnych. Dzięki nim – mimo wszystko – sporo dobrego się w Polsce dokonało.

Przejdźmy do połowy lat 60. Masz wtedy dwadzieścia parę lat. Zakładasz „Studenta”. Ciekawe pismo, bez dwóch zdań. Rządzi Gomułka. Ty go osobiście poznajesz. Pamiętam twoją anegdotę, jak Gomułka radził, że gdyby studenci tyle nie palili, to starczyłoby im pieniędzy na jedzenie. Ale ten czas, za chwilę będzie marzec '68, to apogeum nie tylko nagonki antyżydowskiej, ale antyinteligenckiej. Jak się z tym czujesz?

Nie mam nic do ukrycia. Grupa młodych ludzi pozwoliła sobie wmówić, że coś będą mogli zrobić. Choćby Staszek Barańczak, który przecież też był członkiem partii.

Mieliśmy złudzenie, że pozwolą nam powalczyć o złagodzenie tego wszystkiego. Mówiliśmy sobie: na likwidację Jałty nie ma szans, wobec tego próbujemy przynajmniej trochę polepszyć bieżącą sytuację. To naprawdę było ciekawe pismo.

Żartuję, że gdybym później chciał zostać premierem, to miałem gotowy rząd spośród

współpracowników. Balcerowicza na przykład. U mnie zaczynał Andrzej Mleczek. Miał swoją rubrykę właśnie Barańczak. Rubryka była poświęcona grafomanom, w tym również grafomanom partyjnym.

To się nazywało „Książki najgorsze”. Ale mnie interesują twoje odczucia. Ty, Janek Pieszcachowicz, masz dwadzieścia parę lat, widzisz, co się dzieje, jesteś z inteligencji rodziny PPS-owskiej. I słyszysz najgorsze antyinteligenckie wyzwiska w mediach. Podobne zafundowała nam dopiero IV RP. Jak się z tym czujesz?

Niedobrze. Natomiast myśmy mieli taki punkt widzenia, który jest widoczny na łamach „Studenta”. Mianowicie, że w pewnym momencie przynajmniej niektóre czynniki partyjne, postanowiły poluzować. Z premedytacją oddały głos części młodego pokolenia, czyli nam. Myśmy uprawiali ideologię, nazwijmy to, pragmatyczną. To znaczy dostaliśmy jednak pozwolenie na atakowanie kadr. „Student” ostro krytykował kadry, wśród których były oczywiście kadry partyjne.

Zresztą w marcu 1968 udało się nam zachować przyzwoicie – wtedy ukazał się bezprecedensowy numer „Studenta” z białymi plamami po tekstach wyrzuconych przez

Chcieliśmy mieć nadzieję. Nawet jej resztki. Zwłaszcza w takim wieku żyć bez nadziei jest ciężko.

cenzurę. Nikt wtedy nie znaczył takich cięć, nikt!

I zostaliśmy wezwani na dywanik przez szefa Zrzeszenia Studentów Polskich Stanisława Cioska. Wrzeszczał: „Co wy sobie myślicie? Że to przed wojną, białe plamy!”. A następnie wydaliśmy numer, który jest historyczny i powinien być przez historyków zauważony. Zaprośiliśmy wybitnych uczonych, żeby się wypowiedzieli na temat sytuacji w szkolnictwie i wśród młodzieży. I już wtedy przypilnowano, żebyśmy nie uzewnętrzniili ingerencji cenzury. A cenzura wyrzucała ogromne fragmenty tekstów – z eseju Kazimierza Wyki wyleciało bodaj dwie trzecie. Ale nawet to, co zostało, świadczy o tym, że myśmy próbowali problem uczciwie zasygnalizować.

A przecież mogliśmy złapać wiatr. Zgłosili się do nas specjaliści wysłannicy generała Moczara z sugestią, żeby „Student” go wsparł. (Ten sam Moczar zresztą kiedyś mówił do mnie tak: „Proszę pana, pan zdaje się, przyjaźni się ze Szczepańskim. Przecież to jest kombatan, on by nie wpadł do mnie?”). Oczywiście nawet Janowi Józefowi o tym nie wspomniałem...).

Wtedy, w 1968, odmówiliśmy pójścia w kierunku nacjonalistyczno-antysemickim.

Zrobiliśmy tę demonstrację z białymi plamami. Wydrukowaliśmy wypowiedzi czołowych polskich intelektualistów nawiązujące do tego kryzysu. Kto w prasie polskiej zrobił coś podobnego? Nikt.

**No, „Polityka” miała swoje zasługi, odma-
wiając druku żadanego przez władze tek-
stu, a i „Tygodnik Powszechny” również.
Ale oczywiście nie odbieram zasług „Stu-
dentowi”.**

Nikt jednak nie dał tak jak my białych plam. **Po roku 1968 jest wstrząs grudniowy roku 1970. Miałem wtedy 10 lat i pamiętam, że z przerażeniem czytałem oficjalne donie-
sienia prasy, że chuligani demolowali skle-
py na Wybrzeżu, siły porządkowe musia-
ły otworzyć ogień i zginęło siedem osób.
I to kłamstwo, choć pomniejszające skalę
zbrodni, mnie małego brzdąca, przeraziło.
Jak to? Ludzie giną na ulicach? Co wtedy?
To są kluczowe czasy dla was. Masz 30 lat,
młodą żonę, pracę.**

Myśmy przeważnie emocjonalnie wierzyli
w Gomułkę. Potem się pogarszało. Lata 60.
już były dramatyczne. Obserwowało
się rosnący podział społeczeństwa –
tych, którzy usiłowali nadal wierzyć
w Gomułkę, żeby w coś wierzyć.
I sceptyków. Jednak żyliśmy wtedy nad
Wisłą. Nikt nie wierzył w kasację Jąty.

Chcieliśmy mieć nadzieję. Nawet jej reszt-
ki. Zwłaszcza w takim wieku żyć bez na-
dziei jest ciężko. Należałem do pokolenia,
które na swój sposób do czasu próbowa-
ło się ułożyć z rzeczywistością. Wiesz, jak
walczyliśmy z obowiązującą linią? Cytu-
jąc w „Studencie” młodego Marksa, który
w pierwszym swym okresie pisał krytycznie
o rozwoju komunizmu. I jak cenzura nam coś
zdejmowała, to w zamian dawaliśmy frag-
ment młodego Marksa. To było już w naszej
redakcji przysłowiowe: „Jakby co, idziemy
w młodego Marksa”.

Potem cię ze „Studenta” wyrzucono.

W 1978 roku. Wśród zarzutów był i taki, że
atakowaliśmy towarzysza Machejka, redak-
tora naczelnego „Życia Literackiego”. Bo Za-
gajewski napisał wiersz o czarnej wołdze
Machejka.

Po latach, gdy uciekł z Polski krakowski
cenzor Tomasz Strzyżewski i wywiózł tak
zwaną *Czarną księgę cenzury*, czyli po pro-
stu listę zaleceń, czego nie wolno pisać
i komu dawać łamy pism, cenzura sporzą-
dziła w mojej sprawie raport i obłożyła mnie
zakazem druku na trzy tygodnie. Wtedy cen-
zorem był niejaki Leśniak, który był mi zycz-

liwy i mówi: „Czy oni zwariowali? Dostałem
z centrali absolutny zakaz na twoje nazwi-
sko”.

Ale jak te dokumenty zostały opubliko-
wane w Londynie, to dla wielu ten mój ab-
solutny zakaz druku był dowodem prawie
politycznej świętości. Zabawne.

**W 1981 roku współtworzysz „Pismo”, mie-
sięcznik, który nie tylko w Krakowie był
wielkim wydarzeniem literackim. „Pismo”
zawieszono w stanie wojennym i ostatecz-
nie zlikwidowano w 1983 roku, a zebrało
twórców naprawdę pierwszoligowych.**

W 1981 roku zawierzili mi ludzie, którzy
może i nie mieli powodów do tego. No, ale
mi zawierzili. I to było moje zobowiązanie.

Ile dobrego dla „Pisma” robiła Wisława
Szymborska wspólnie z Kornelem Filipo-
wiczem! Wtedy mnie też wsparli Ewa Lip-
ska i Julian Kornhauser. A Filipowicz nawet
wiersz dla mnie napisał: o takim jednym,
co działał, choć nic z tego nie miał.

Ale gdy „Pismo” zlikwidowano, to zosta-
łem bez pracy. I znowu miałem zakaz pra-
cy w Krakowie. Mietek Czuma chciał mnie
przyjąć na ćwierć etatu do „Przekroju” – ale
mu zabroniono.

Nie wiedziałem, co robić. Po prostu nie
mieliśmy z czego żyć.

Żyliśmy więc, jakby to powiedzieć, z rosy
niebieskiej i z Putramenta. Bo jak już było źle,
zdecydowałem się napisać do Jerzego Putra-
menta, który został redaktorem naczelnym
miesięcznika „Literatura”.

I to on mi zaoferował, podobnie jak Drew-
nowskiemu, Mętrakowi i paru innym, którzy
się skonfliktowali z partią, etacik. Skromny,
bo skromny, ale etacik. A to pozwalało mieć
choćby prawo do kartek na mięso.

Więc dojeżdżałem do Warszawy nieregul-
larnie, coś tam pisałem.

Wtedy Witold Nawrocki, który był kie-
rownikiem wydziału kultury Komitetu Cen-
tralnego PZPR, władz partii, zaatakował
za to Putramenta. A jak odpowiedział cwa-
ny Putrament? Napisał taki, nazwijmy to, list
społeczno-polityczny, do Jaruzelskiego. Na-
pisał do generała, podpisał się jako pułkow-
nik. A tam, gdzie pułkownik koresponduje
z generałem, to kategoria D (tę miał Nawroc-
ki) nie ma nic do powiedzenia. I odczepił się.

Kiedys zapytałem Putramenta: „Panie Je-
rzy, dlaczego pan to robi?”. A on żartobli-
wie: „Bo ja bym chciał umrzeć jako czcigod-
ny starzec”.

I dlatego mam przekonanie, że Putrament
nie zawsze był skurczybykiem – choć bywał.
Przy tym zostaną do końca życia.

**Koniec PRL-u, czyli druga połowa lat 80.
Wielki kryzys. Masz nadzieję, że Polska sta-
nie na nogi? Wierzyłeś, że będzie coś ta-
kiego jak Okrągły Stół, że obie strony się
dogadają?**

Nie wierzyłem, że się w Polsce uda coś zmie-
nić. Trudno, żebym w coś takiego wierzył:

najpierw wyrzucony ze „Studenta”, a potem
z „Pisma”. Podejrzewałem zresztą, że w Pol-
sce nigdy nie dojdziemy do jakiegoś trwa-
łego ładu.

Nie sądzę, żebyśmy byli narodem obcią-
żonym trwale, ale pewne doświadczenia
polskie, pewna głupota uparta, nawracają-
ca, powoduje, że i dziś nie jestem pewien,
czy nasza demokracja się utrwali. Kłótl-
wość, awanturnictwo, to, co Żeromski na-
zywał „partyjnictwem” – trafne określenie...
Wszystko to razem powoduje, że usiłuję wie-
rzyć, ale nie do końca wierzę.

**Ale właściwie czemu nie rzuciłeś legity-
macji partyjnej w grudniu 1981 roku, gdy
wprowadzono stan wojenny?**

Zważ, że jedyna instytucja w PRL, która zo-
stała początkowo oszczędzona po wprowa-
dzeniu stanu wojennego, to był Związek Li-
teratów Polskich. ZLP został zawieszony
dopiero bodaj w tydzień po innych insty-
tucjach, po prasie itp. Niektórzy koledzy
ze strony ZLP, a i ówczesny wicepremier
Rakowski, mówili mi, że osobą, która może
próbować ratować sytuację w Krakowie
i w ogóle w środowisku pisarskim jestem ja,
bo jakoś byłem akceptowany. Jako jedyny
po wojnie prezes pisarzy w Krakowie i chy-
ba jedyny w Polsce zostałem wybrany stoma
procentami głosów – minus jeden (ten jeden
to był głos prof. Maciąga, potem sobie po-
rozmawialiśmy przyjaźnie o tym). Perswa-
dowałem kolegom z ZLP, że może lepiej pójść
na ustępstwa, niezbyt wielkie, aby uratować
ZLP, a potem się zobaczy. Rakowski mówił,
że jest gotów porozmawiać z Jaruzelskim.
Wahali się cały czas.

Jednak się okazało, że pertraktacje nie są
możliwe z racji stanowczego oporu strony
partyjnej. To był powód, dla którego nie rzu-
ciłem od razu legitymacją: żeby rozmawiać
z dwoma stronami.

A później?

Szczerze? Później to był już trochę oportu-
nizm. Pomyślałem sobie – partia się rozłazi,
po co ja będę demonstrował, rzucał legity-
macją? Wtedy wydawało mi się, że może gra
jest warta świeczki. Nie była warta.

I w ten sposób zostałem w partii do jej
rozwiązania w roku 1990. Ale nie powie-
działbym, żeby dało mi to okazję do zrobie-
nia kariery.

**Fascynuje mnie psychiczna strona sytu-
acji, w której co krok w twoim życiu na ze-
wnątrz dzieje się coś strasznego. Grudzień
70 roku. Czerwiec 1976 i Radom. Grudzień
81 i stan wojenny. Przecież ty musisz rozu-
mieć grozę sytuacji, jesteś jednak humani-
stą. Próbuje odtworzyć, co myślisz.**

Złość, wściekłość, nadzieja, nienawiść, bez-
radność...Wszystko razem pomieszane. Pew-
nego rodzaju wstyd, że żyję w takim kraju.
Jednocześnie chęć złagodzenia na tyle, na ile
się da. Dopiero z czasem zrozumiałem, że
to nie jest możliwe.

Wtedy się inaczej na to patrzyło. Prze-
cież przeszło dwa miliony Polaków należały
do partii. To byli przeważnie uczciwi ludzie,
pracowici itd. Wtedy być członkiem partii
nie było czymś nadzwyczajnym, jak potem
i jak dzisiaj nawet. Było zupełnie nienadzw-
yczajne. Trzeba zrozumieć – żyło się w kraju,
w którym się działo, tak jak się działo. Wie-
lu członków partii, ja, skromnie mówiąc,
troszeczkę też, to byli ludzie, którzy trak-
towali bezpartyjnych jako współobywateli
i mało chętnie brali udział w tym wszystkim
od strony oficjalnie partyjnej.

Starałem się patrzeć na rzeczywistość
w pewnym sensie państwowotwórczo.
To znaczy, że skoro tu żyję, to może by się
choć trochę dało coś ulepszyć? Był to swo-
jego rodzaju minimalizm. Ale, czego dowo-
dem fakt, że byłem wyrzucany z pracy, nie-
zupełnie minimalizm.

**Gdy patrzysz na swoje życie polityczne,
to co byś nazwał błędem, a co sukcesem?**

Na dwoje babka wróżyła. Sukces to było
chyba to, że środowisko literackie wybra-
ło mnie, partyjnego, trzykrotnie na prezesa
związku literatów w Krakowie. Więc chyba
zyskałem zaufanie różnych środowisk. Lu-
dzie po prostu wiedzieli, że nie jestem skur....
Natomiast błędem, ale i pewną konieczno-
ścią była przynależność partyjna, ponieważ
gdyby nie przynależność partyjna nie mógł-
bym choćby założyć „Pisma”.

W sumie: nie przypominam sobie, bym
komuś zrobił świństwo.

A w każdym razie – świadomego, więk-
szego świństwa.

**W twoim przypadku *per saldo* przynależ-
ność partyjna nie była taka zła: nie byłbyś
przewodniczącym ZLP w Krakowie, bo trze-
ba było wtedy mieć poparcie partii. Nie był-
byś szefem ZLP, to nie powstałby miesięcz-
nik „Pismo”. I tak dalej.**

Może nie była zła, ale co pięć lat byłem wy-
rzucany w pracy. A żona wtedy płakała:
„Znowu cię wyrzucili? Matko, z czego bę-
dziemy żyć?”. Bo ona nie pracowała.

**Już się tak nie użalaj. W sumie ciekawe ży-
cie za tobą. No i przed tobą.**

Najbardziej w życiu cenię to, że ludzie –
może czasami na kredyt – mnie tak wspar-
li i mi zaufali. To moje największe życiowe
zwycięstwo.

**Janku, wszystkiego najlepszego z okazji
osiemdziesiątych urodzin.**



Witold Bereś – producent filmo-
wy, scenarzysta, publicysta, pisarz.
Redaktor naczelny miesięcznika
„Kraków”.

Zagadka lalki z kauczuku

Tekst i zdjęcia: Anna Mazela

Była przerażająca dla większości znajomych, którzy odwiedzali mój pokój. Lśniąca i nieruchoma, z wyłupiastymi oczami i białymi ząbkami w rozchylonych ustach o krwistoczerwonych wargach siedziała na segmencie i z góry obserwowała całe pomieszczenie.

Alę gdy byłam już dorosła, nie potrzebowałam jej, nie mogłam jej jednak wyrzucić ani nawet schować – lalka mojej matki stanowiła dla mnie magiczny artefakt, symbol dzieciństwa i międzypokoleniowych więzi. W pewnym momencie zaczęłam wręcz zadawać w jej imieniu pytania, które od wieków człowiek zadaje w odniesieniu do samego siebie: skąd się wzięła, jak i gdzie powstała, jaki był jej los, zanim trafiła w ręce mojej mamy, wtedy już dorosłej?

Lalka jako przedmiot

Przedmioty również mają swój los, co więcej, one z pewnością mają swoje przeznaczenie, w które jednak nie wierzą. Lalka jest przedmiotem szczególnym, gdyż stworzonym do imitowania ludzkiego ciała. W przeciwieństwie do ludzi jest autoreferencyjna, co oznacza, że „jako jeden z nielicznych artefaktów kultury jej warstwa formalno-materiałna jest tożsama z obrazową i *vice versa*”. W sposób bardziej przystępny wyraziła

Lalka jest przedmiotem szczególnym, gdyż stworzonym do imitowania ludzkiego ciała.

to sama lalka w niedawno wydanej w Polsce powieści R.M. Romero *Lalkarz z Krakowa*: „To, jak wygląda jakaś osoba, nie powie ci nic o tym, jaka jest, ale wygląd lalki mówi o niej wszystko”. Co ciekawe, książka opisuje losy Żydów na krakowskim Kazimierzu podczas wojny, a moja mama urodziła się i wychowała na Miodowej. Także Żyd, Adam Szrajber, był swego czasu właścicielem najstarszej i największej fabryki zabawek w Polsce, znajdującej się w Kaliszu.

Czy esencją lalki mojej mamy i wszystkim, co można o niej powiedzieć, jest to, że przeraża? Przecież tego typu lalki tworzone jako towarzyszy dziecięcych zabaw! Dziewczynki w książce Romero nie tyle bawią się lalkami, co z lalkami. Czy właśnie to napawa nas niepokojem? Zbytne podobieństwo lalek do ludzi i dziecięca skłonność, by traktować je jak żywe istoty? Lalki, jak pisze Radosław Filip Muniak, nie są jak obrazy – one nie odwzorowują, nie przywołują obecności człowieka, ale dosłownie i fizycznie są przy nas obecne. Z drugiej strony Muniak pisze o uobecnianiu nieobecności i szczególnym odczuciu bycia

świadkiem własnej śmierci, jakie towarzyszy obcowaniu z lalkami. Czy samo podobieństwo lalki do istoty ludzkiej czyni ją przedmiotem podejrzanym? A może wciąż podświadomie budzi ona w nas skojarzenia z magicznymi rytuałami, w których brała udział u swoich początków?

Lalkami, które stają się ożywionymi bohaterami filmowych horrorów, zdają się najczęściej kukiełki i marionetki. Lalka z plakatu filmu *Głęboka czerwień* z 1975 roku wyraźnie przypomina lalkę matki, ale już ta pojawiająca się w samym filmie nie bardzo. W stylu dawnych lalek dla dziewcząt jest również lalka z filmu *Ukochana laleczka* z 1991 roku, jednak jej rysy twarzy są doroślejsze i bardziej naturalne, zbliżone do ludzkich. Nie można również zapomnieć o słynnej *Laleczce Chucky*. Tutaj nie tyle lalka ożywa, ile wstępuje w nią duch zmarłego mordercy. Czy ożywianie (animowanie) lalek przez człowieka zawsze musi się kończyć stworzeniem myślącego, lecz bezdusznego potwora?

Istnieje jeszcze inne wyjaśnienie, najprostsze. Lalki starzeją się podobnie jak ludzie, a lalka mamy jest już zdecydowanie zniszczona. Jej twarz jest spękana, końce palców utłuczone. Przydałaby się kolejna konserwacja. Może to właśnie w niej przeraża, że przypomina nam o naszej własnej śmiertelności i brzydkim starzeniu się?

Maria Ozierańska, właścicielka największego w Polsce Muzeum Zabawek w Kudowie-Zdroju, w filmiku reklamującym instytucję zwraca uwagę na fakt, iż niektóre eksponaty są przerażające dla zwiedzających to miejsce dzieci. Współcześnie dzieci przyzwyczajone są do innych zabawek, choć wydaje mi się prawdopodobne, że za jakiś czas to dzisiejsze lalki będą napełniać dzieci podobnym uczuciem. Nietrudno wyobrazić sobie taką reakcję wobec produkowanych nieprzerwanie już od 1959 roku przez firmę Mattel lalek Barbie, z ich nienaturalnymi proporcjami. Według badań już dziś lalki te wywołują gniew i frustrację ich użytkowniczek, które potrafią je nawet torturować! Przerażać mogą również naprawdę niesamowite kolekcjonerskie lalki BJD, produkowane przez japońską firmę Volks z żywicy przypominającej w dotyku porcelanę. Udowodniła to nie tak dawno (podczas „Nocy Poezji”) Monika Mostowik, prezentując tworzone przez siebie lalki w niezwykle mrocznych aranżacjach,



a także na wyjątkowo sugestywnych fotografiach w krakowskim Muzeum Manggha. Lalki na zdjęciach Mostowik są zimne i dosłownie trupioblade. Ubrane w czarne lub białe koronki, z długimi, wyeksponowanymi włosami natychmiast kojarzą się z estetyką epoki wiktoriańskiej, w której śmierć odgrywała niebagatelną rolę. Lalki BJD można stworzyć samodzielnie w domu lub zmieniać im dowolnie głowy, peruki czy oczy. Można je stwarzać wielokrotnie na nowo, a czy nie jest to wizja przerażająco nieautentyczna dla istoty o naturze tak dogłębnie śmiertelnej i, w gruncie rzeczy, niezmiennej jak człowiek?

Lalki starzeją się podobnie jak ludzie, a lalka mamy jest już zdecydowanie zniszczona. Jej twarz jest spękana, końce palców utłuczone. Może to właśnie w niej przeraża, że przypomina nam o naszej własnej śmiertelności i brzydkim starzeniu się?

Lalka w teatrze życia codziennego

Tym tytułem nawiązuję tutaj oczywiście do książki Ervinga Goffmana z 1959 roku *Człowiek w teatrze życia codziennego*, w której autor porównuje człowieka do aktora, a świat do teatru. Co ciekawe, ukazała się ona w tym samym roku, w którym firma Mattel wyprodukowała swoją znaną na całym świecie lalkę Barbie.

A ja jako dziecko chętnie bawiłam się lalką mojej mamy, chociaż w porównaniu z nowymi lalkami była ciężka i nieporęczna. Jej starość (ucieleśniając dziecko, mogła równie dobrze symbolizować śmierć) i niesamowitość stanowiły doskonałą rekompensatę. W dodatku potrafiła płakać! Jej płacz stanowił swego rodzaju wyzwanie – długo próbowałam przechylać ją pod odpowiednim kątem, aby kwilący dźwięk wydobył się z jej bladej, śliskiej i twardego ciała. Nie miała imienia, nazywaliśmy ją „lalką z kauczuku”, choć, jak się znacznie później okazało, niesłusznie.

Mama otrzymała lalkę, kiedy była już na studiach i mieszkała w Nowej Hucie. Jej ciocia wiedziała jednak, że mama nigdy nie spełniła swego marzenia o posiadaniu płaczącej lalki. Nic dziwnego, że kiedy jej współpracownica pochwaliła się pewnego dnia zdjęciami takiej lalki – starej, ale odnowionej – ciocia męczyła ją tak długo, aż ta zgodziła się ją sprzedać. Ciocia uszyła lalce kilka sukienek, w które ubieramy ją do dziś. Nigdy jednak mama nie nadała lalce imienia. A może lalka już dawno miała własne imię, tylko my go nigdy nie poznaliśmy?

Moje wątpliwości dotyczące pochodzenia i walorów lalki udaje się rozwiać dzięki korespondencji z Urszulą Ozierańską, córką

właścicielki kudowskiego Muzeum Zabawek. Pani Ozierańska wyjaśnia mi, że muzeum nigdy nie spotkało się w żadnych publikacjach ani kolekcjach z lalkami wykonanymi z kauczuku. Istnieją wprawdzie lalki, wykonane z różnych gumowych mieszanek, a więc możliwe, że w składzie znajduje się też kauczuk, ale co do tego nie ma pewności. Na wystawie w Muzeum w Kudowie można oglądać lalki wykonane z drewna, terakoty, porcelany szklwionej, porcelany białej, z biskwitu, z masy papierowej, blachy, z celuloitu, tortu-lonu, tkanin, filcu, gumowe, plastikowe, a nawet z wosku i mydła. Nie ma tam jednak lalek kauczukowych. Skąd więc pomysł, że lalka mojej mamy wykonana jest właśnie z tego tworzywa?

Z maili od pani Ozierańskiej dowiaduję się, iż lalka matki bardzo przypomina wyroby niemieckiej firmy König & Wernicke i prawdopodobnie wykonana jest z masy papierowej. Pani Ozierańska poleca mi sprawdzić, czy na szyi bądź karku lalki nie znajdę sygnatury firmy, która ją wykonała. Tak też czynię i rzeczywiście: jest! Wyraźna sygnatura „K & W”. Dla pewności szperam po internecie i trafiam na blog z fotografiami sygnatur najróżniejszych lalek, co pomaga mi jednoznacznie odszyfrować znak, który znajduję na maminej lalce. Zgadza się! Sygnatura „K & W” oznacza wskazaną firmę König & Wernicke. Trafiam również na grupę na Facebooku o nazwie „Stare lalki”. Od osób kolekcjonujących takie zabawki dowiaduję się, że firma König & Wernicke zaczęła produkcję lalek w 1926 roku, a rok później udoskonaliła lalki podkładami refleksowymi, które sprawiały, że niezależnie od tego, z której strony patrzyło się na lalkę, jej oczy zawsze były zwrócone w stronę człowieka, który ją trzymał. Dwa lata później odbyła się instalacja głosów lalek. Co ciekawe, dowiaduję się, że firma z początku produkowała lalki z kauczukowymi głowami! Tworzyłem lalki mojej matki jest jednak w całości masa papierowa – tego mogę być pewna dzięki innej członkini grupy, która posiada identyczną lalkę. Dokładnej historii lalki nie poznamy pewnie nigdy, ale najważniejsze sprawy się wyjaśniają. Zagadka „lalki z kauczuku” zostaje rozwiązana czterdzieści lat po tym, gdy zabawka trafia do naszej rodziny.



Anna Mazela – doktor nauk humanistycznych kulturoznawstwa, zafascynowana fotografią jako fenomenem kulturowym. Miłośniczka baśni. Animatora kultury i bibliotekarka. Poetka, wiersze publikowała w „Magazynie Materiałów Literackich CEGŁA”, w miesięczniku „Kraków”, „2Miesięczniku”, kwartalniku „Inter-Literatura-Krytyka-Kultura”, „Helikopterze”.

Uchwycić szal młodości

Rozmawiali Szymon Piegza, Dominik Jedliński Zdjęcia: Ryszard Horowitz

Portret Ryszarda Horowitza: Grzegorz Kozakiewicz

Ryszard Horowitz: Kraków to wspomnienia szaleństwa, zwariowanego czasu. To miasto najbardziej łączy mi się z ludźmi, których dziś już nie ma. Ten okres był magiczny właśnie dzięki nim.



Szymon Piegza, Dominik Jedliński: Pana ostatnia polska wystawa nieprzypadkowo zatytułowana została *Fantazje krakowskie Ryszarda Horowitza*. Jak doszło do jej stworzenia? Skąd czerpał Pan inspiracje?

Ryszard Horowitz: Mój przyjaciel, który mieszka w Poznaniu, wyszedł z pomysłem, żebym stworzył serię zdjęć dotyczącą Krakowa. Do tej pory nie było odpowiedniej okazji, aby się do tego zabrać. Podało mi się jednak, że zostawiono mnie w spokoju, zupełnie nie ingerowano w to, co robię. Zdjęcia były robione różnym sprzętem. Co ciekawe, po raz pierwszy w życiu skorzystałem z pomocy drona. To naprawdę świetna zabawa!

Czy Kraków to wciąż Pana miasto?

Minęło właśnie 60 lat, od kiedy opuściłem Polskę i wyjechałem do Nowego Jorku. W Krakowie spędziłem pierwsze 19 lat życia. Ta wczesna młodość była dla mnie bardzo szczęśliwa, bo miałem rodzi-

ców, miałem dziadków, co było wtedy rzeczą absolutnie nietypową. Wspomnienia związane z tym okresem są bardzo żywotne i jaskrawe.

Muszę przypomnieć, bo nie każdy wie, że Kraków w tym czasie był absolutnym centrum artystycznym nie tylko Polski, ale również Europy. Otoczony wspaniałymi muzykami, aktorami, dramaturgami, malarzami, był pępkiem artystycznego świata. W Krakowie urodzili się wspaniali jazzmani, jak na przykład Wojtek Karolak, z którym do teraz się przyjażnię. Prawie cały jazz polski powstał w Krakowie. To wspomnienia szaleństwa, zwariowanego czasu. Była też wspaniała Piwnica pod Baranami...

Jednak na Pana najnowszych zdjęciach Piwnicy pod Baranami nie ma. Dlaczego?



Dziś to już nie ta sama Piwnica... Nie umieściłem jej na fotografiach, ponieważ nie chciałem się rozpłakać, widząc, jak bardzo się zmieniła.

Mieszkaliśmy przy Rynku Głównym, dwa kroki od Pałacu Potockich. Łatwo mi było zniknąć z domu, ponieważ moja mama uważała, że jestem w dobrych rękach, więc na wiele mi zezwalała. Poza tym rodzice mieli szacunek do moich zainteresowań. Dla mnie najważniejsze były sztuka i studia. Mielśmy wspaniałych profesorów, z którymi się przyjaźniliśmy.

Dodatkowo Piwnica pod Baranami i koncerty jazzowe były wtedy jedyną ucieczką od szarości tamtego ustroju. Dzięki temu mogliśmy przeżyć komunę, nie zwracając właściwie w ogóle na nią uwagi.

Komuna zwracała jednak uwagę na artystów, szczególnie tych bardziej kontrowersyjnych. Tak też było w Pana przypadku.

To prawda. Jedna z moich pierwszych wystaw odbyła się w teatrze w Nowej Hucie. Wśród zdjęć znalazł się także akt. Pamiętam, że pani dyrektor Krystyna Skuszanka była tak zszokowana, że kazała natychmiast zdjąć wystawę, ponieważ do tego teatru „przychodziły także dzieci”. Co ciekawe, kilka lat temu nowa dyrekcja teatru kazała powiększyć to zdjęcie sprzed kilkudziesięciu lat i wystawiła je centralnym miejscu przy wejściu! (śmiech)

Wychowanie w tych czasach i w tym miejscu wpłynęło na Pana późniejszą twórczość. Pytamy, czym jest Pana sztuka, Andrzej Wajda określił ją jako połączenie galicyjskiego surrealizmu i amerykańskiego szaleństwa.

Cała komuna była pewnego rodzaju surrealistem. Do tego również dochodzi fakt, że pomimo presji politycznej i artystycznej w Polsce odbywały się premiery światowe wybitnych dramaturgów. Można było spod lady kupić książki Gombrowicza, wystawiano Becketta i Geneta. Nam to wtedy bardzo imponowało. A mnie zawsze interesowała własna wizja i przedstawianie jej publiczności. Do dziś w moich rysunkach czy obrazach można zaobserwować ciągłość tej atmosfery.

Poza tym, z tamtego okresu wspominam bardzo dużo przyjacieli, ludzi, których dziś już nie ma, ale po których zostały wspomnienia. Żyliśmy w świecie opresji politycznej, więc trzeba było gdzieś

Nigdy nie bazowałem mocno na przeszłości. Nie chciałem, żeby patrzono na mnie z litością; by kochano mnie wyłącznie dlatego, że jako małe dziecko cierpiełem i – w zasadzie – cudem przeżyłem.

przed nią uciekać. Przenosiliśmy się w świat wyobraźni. Przez te zdjęcia chciałem w jakimś sensie uchwycić szat naszej młodości. Ten okres był magiczny właśnie dzięki nim.

Czy podczas wykonywania tych zdjęć napotkał Pan na jakieś trudności?

Nie była to prosta praca, nie tylko ze względów technicznych, ale przede wszystkim dlatego, że nie wszędzie mieliśmy pozwolenie na fotografowanie, co mnie osobiście zaskoczyło. Tak było w przypadku bazyliki Mariackiej, ale również Wawelu, gdzie otrzymaliśmy pozwolenie na zaledwie godzinną pracę. Zapragnąłem sfotografować grobowiec Kazimierza Wielkiego, samo instalowanie aparatów i ustawienie światła zajęło nam 50 minut. Nie było szansy, by wynegocjować więcej czasu. W końcu, kierując się własną wyobraźnią, postanowiłem umieścić króla na zewnątrz Wawelu.

Z drugiej strony, ta robota była dla mnie bardzo odświeżająca, ponieważ nigdy tak mozolnie nie pracowałem nad elementami miasta, które wydawało mi się tak dobrze znane.

Odświeżająca, ale też sentymalna?

Tak, choć proszę zauważyć, że ja w swojej pracy stale konfrontuję się ze wspomnieniami z przeszłości. A te niejednokrotnie są przerażające. Bardzo często dostrzegam to w swojej pracy – kiedy ludzie patrzą na moje zdjęcia i widzą koszmary, a ja staram się być po prostu dowcipny. W *Fantazjach krakowskich* nie ma żadnej makabry, żadnych łez. Właściwie wszystko, poza cmentarzem żydowskim, jest pokazane w przyjemnym nastroju.

W przyjemny, ale bardzo nietypowy sposób została przedstawiona też krakowska dorożka. Jeszcze ciekawsza jest historia powstania tego zdjęcia.

Zdjęcie z dorożką zostało zrealizowane nie w Krakowie, a... w Warszawie. W naszym mieście nie mogliśmy znaleźć klasycznej, starej dorożki, czyli z odsłoniętym, jednoosobowym wozem. Udało się taką wypożyczyć dopiero w Warszawie, gdzie w profesjonalnym studiu i z profesjonalnym koniem urządziliśmy sesję zdjęciową. W zupełnie innych warunkach sfotografowałem księżyc, który pojawił się nad Krakowem. Pomyślałem, że ciekawym zabiegiem będzie umieszczenie tego księżycyca w dorożce. I tak powstała ta fotografia.

Dziś wspomnienie Krakowa to dla Pana coś radośnego?

Oczywiście, że tak. Nie będę przecież wspominał wyłącznie obozu w Płaszowie czy Fabryki Schindlera. Wolę myśleć w sposób pozytywny, nie tracąc kontekstu.

W jednym z wywiadów powiedział Pan, że większość swojego życia spędził w USA, ale zawsze ten Kraków wraca i bardziej Pan za nim tęskni. Wciąż tak jest?



Prawda jest taka, że gdy jestem w Krakowie, to tęsknię za USA i na odwrót (śmiej). To są dwa całkowicie różne uczucia. Ja w Stanach żyję trzy razy dłużej niż w Polsce. Tutaj nawiązałem wspaniałe kontakty, miałem tutaj więcej szczęścia niż rozumu. Życie takie jest. Jest rzeczą absolutnie naturalną, że ciągnie mnie do Krakowa. Każdego ciągnie do dzieciństwa, o ile to dzieciństwo było sympatyczne.

Rozmawia Pan ze swoimi dziećmi o własnym dzieciństwie?

Owszem, rozmawiamy na te tematy. O naszej historii dowiedziały się z filmu *Lista Schindlera*. Nigdy nie bazowałem mocno na przeszłości. Nie chciałem, żeby patrzono na mnie z litością; by kochano mnie wyłącznie dlatego, że jako małe dziecko cierpiełem i – w zasadzie – cudem przeżyłem.

Co Pan zrozumiał podczas tej wycieczki do własnej przeszłości?

Praca nad tymi impresjami dała mi wiele dobrego. Odkryłem na nowo miejsca, zakątki, które pamiętam z dzieciństwa. To wspaniałe, że można dziś

Gdy jestem w Krakowie, to tęsknię za USA i na odwrót.

do tych miejsc znowu powrócić. Zawsze mile wspominam Kraków i – gdy tutaj jestem – lubię się włóczyć po okolicach Rynku czy Kazimierza. To jest bardzo fajne.

A czy podczas tej wycieczki w głąb siebie dowiedział się Pan czegoś o samym sobie?

Nie lubię zbyt częstych powrotów do przeszłości, ale trzeba się czasem z nią konfrontować.

Myśli Pan o powrocie do Krakowa?

Przenoszenie się z miejsca na miejsce to bardzo skomplikowana sprawa. W Krakowie jest wspaniale, ale jak się przyjeżdża na pewien czas – można spotkać kumpli, porozmawiać, pobawić się. Dziś jednak Kraków to zupełnie inne miejsce, nie ma już tej atmosfery, nie mówiąc już o ludziach, z którymi się wychowywałem...



Ryszard Horowitz – nazywany surrealistą fotografii i sztukmistrzem obiektywu, sam siebie określa fotokompozytorem. Prekursor cyfrowego przetwarzania zdjęć, ojciec współczesnej reklamy wizualnej. Urodził się w Krakowie 5 maja 1939 roku, cztery miesiące później Polska znalazła się pod okupacją hitlerowskich Niemiec. Znalazł się na słynnej „li-

ście Schindlera”, należy do najmłodszych ocalałych z KL Auschwitz. Po wojnie odnaleziony przez matkę, która rozpoznała go na jednym z kadrów rosyjskiego filmu propagandowego. Laureat najważniejszych nagród w dziedzinie fotografii i reklamy. Jego prace były wystawiane na całym świecie. Mieszka w Nowym Jorku.



Szczęśliwy Rosjanin nad Wisłą

Rozmawiał Wacław Krupiński Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Alosza Awdiejew, artysta Piwnicy pod Baranami, aktor, naukowiec: Jestem dumny, że jestem częścią Krakowa.

Wacław Krupiński: W 1967 roku przyjechałeś do Krakowa, zobaczyłeś przed dworcem rosnące na klombach róże...

Alosza Awdiejew: ... i pomyślałem, że skoro nikt ich nie kradnie, choć nie pilnują ich milicjanci, to w tym kraju można żyć.

I nadal tak uważasz?

Teraz, gdy jestem Polakiem z wyboru, to mam nawet obowiązek tu żyć. I chcę, podobnie jak moich dwóch dorosłych już synów, wychowanych na polskich patriotów.

Skąd w ogóle pomysł, by studiować w Krakowie?

Opowiadałem to z tysiąc razy, w kilku wersjach...

Ta najbardziej atrakcyjna...

... mówi o tym, że jechałem na czołgu do Czechosłowacji i wysiadłem w Krakowie.

Z Twojej wydanej ostatnio autobiografii wiemy, że do wojska nie trafiłeś; uratowała Cię lekka wada serca.

I studiując na I roku anglistykę, dostałem propozycję z Radia Moskwa, które przygotowywało audycje dla słuchaczy z tzw. bratnich krajów, podjęcia, w którychś z nich studiów. Wiązało się to oczywiście z późniejszą pracą w tymże radiu. Pocieszałem się jednak opowieścią o hodży, który przekonał emira, że nauczy ośa mówić, za co wziął z góry zapłatę. „Zabijaj cię, przecież go nie nauczysz” – usły-

szał od żony. „Spokojnie, będę go uczył tak długo, że albo emir zdechnie, albo osioł”. I też popatrzyłem w przyszłość z nadzieją.

Wybrałeś Polskę.

W której już byłem zakochany. Czytałem czasopismo „Polsza”, ale też „Szpilki”, wiersze Różewicza, oglądałem filmy Wajdy, Hasa... I stopniowo, również przy pomocy samouczka, uczyłem się polskiego. Kolejka na kurs tego języka wynosiła aż trzy lata. Polska była dla Rosjan oknem na świat. A dla władz była niebezpieczna. Dlatego nie uczono nas ani historii Polski, ani kultury... Słyszeliśmy więc, że rosyjski jest z języków słowiańskich najstarszy.

Przyjechałeś na UJ...

... o którym wiedziałem wystarczająco dużo, by to na nim chcieć zgłębiać tajniki filologii polskiej. Już wtedy interesowałem się językoznawstwem i chciałem w przyszłości zajmować się nauką.

W Krakowie, z ponadroczną przerwą, bo jednak musiałeś jechać do Moskwy, żyjesz do dzisiaj. Przywołaj pierwsze miejsce, które Cię urzekło.

Szokiem było Stare Miasto – z zabytkami z czasów renesansu, i księża chodzący spokojnie po ulicach, i piękne kościoły, choć nie zawsze urządzone z gustem, ale na przykład dominikanów – mnie zachwycił. Działała tam

Aleksy Awdiejew (ur. 18.07.1940 w Woroszyłowsku), aktor filmowy, piosenkarz, językoznawca. Do Polski przyjechał w 1967 roku, a obywatelstwo polskie otrzymał w 1993. Ukończył filologię polską na UJ, gdzie później był w latach 1974–2001 m.in. wicedyrektorem ds. studenckich Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej oraz kierownikiem Zakładu Języka Rosyjskiego. Od 2001 pracuje w Instytucie Rosji i Europy Wschodniej UJ, gdzie zajmuje się głównie gramatyką komunikacyjną. Członek Polskiego Towarzystwa Językoznawczego. W 1978 roku – doktor nauk humanistycznych, od 2005 – profesor nauk humanistycznych.

Od połowy lat 70. związany z Piwnicą pod Baranami, gdzie występuje w trio z Kazimierzem Adamczykiem (kontrabas) oraz Michałem Kaniewskim (gitara), śpiewając romanse rosyjskie i cygańskie oraz piosenki odeskie

i żydowskie; współpracował także jako pianista z zespołami jazzowymi Beale Street Band i Playing Family. Jest stałym felietonistą miesięcznika psychologicznego „Charaktery” i członkiem Rady Naukowej tego magazynu.

Grał m.in. w filmach *Europa, Europa* (1990) – w roli radzieckiego majora), w serialu *Ekstradycja* (1995) jako Zajcew, rezydent mafii rosyjskiej w Polsce, czy w *Tajemnica twierdzy szyfrów* (2007) jako marszałek Iwan Koniew.

Jego najbardziej znane płyty to *Chłopcy zli. Piosenki z Odessy i nie tylko* (1999), *Słowiańska dusza* (2006), *Najpiękniejsze piosenki rosyjskie* (2008) czy *Alosza na Bis* (2010) i *Koncerty w Trójce vol. 12 – Alosza Awdiejew* (2014).

Jego książka *Polak z wyboru, czyli szczęśliwy Rosjanin nad Wisłą* została we wrześniu 2019 roku Krakowską Książką Miesiąca.

Mieszka pod Krakowem.

tzw. Beczka, w której odbywały się wspaniałe spotkania, także z osobami spoza Kościoła. Chłonałem to bardziej, niż ówczesne krakowskie powietrze, wtedy jeszcze bardziej zatrute niż obecnie. I atmosferę spotkań w kawiarniach... I Kazimierz, który był ruiną, ale z zachowanymi napisami w alfabecie hebrajskim, co przywoływało wspomnienia kolegów, miałem bowiem wielu kolegów Żydów, zwłaszcza muzyków. Przesiadywałem w Synagodze Starej, by choć trochę poznać ślady świata, który minął, a zarazem zachował się w pamięci inteligencji krakowskiej, choćby w postaci humoru żydowskiego, w myśleniu paradoksalnym, zapożyczonym od talmudystów, czy w muzyce.

Niczego nie zmieniać. Żyć, jak żyję. Utrzymać kondycję mentalną, czemu sprzyjają książki filozoficzne, a kupowałem je całe życie i mam taką bibliotekę, że mógłbym wreszcie zacząć studiować filozofię, o której myślałem jeszcze w Moskwie.

Twoje ulubione miejsca w Krakowie to...

Na pewno Piwnica pod Baranami, w której przeżyłem wspaniałe lata, poznając równie wspaniałych ludzi. Drugie miejsce to Kazimierz, trzecie – Biblioteka Jagiellońska, w której spędziłem pół życia. Bo ja jestem mnichem naukowym. No i Rynek Główny, dziś jakże odmieniony, bez pięknych akacji, które go otaczały...

We wspomnieniach Polak z wyboru, czyli szczęśliwy Rosjanin nad Wisłą pisziesz, że Polacy imponowali Ci zawsze walką o wolność, tym, że są narodem, który nie dał się zniewolić...

I zawsze walczył o swą godność. A teraz mogłem to obserwować z bliska. Zwłaszcza gdy znalazłem się w Piwnicy pod Baranami, która była oazą wolności. A we mnie, jak w każdym niewolniku, tkwiło dążenie do wolności. Tu spotkałem ludzi wolnych, z Piotrem Skrzyneckim na czele, wspaniałym myślicielem. I artystą.

Gdy na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku spędziłaś rok w Irlandii...

Chciałem zarobić na malucha, a przy okazji podszkolić angielski.

... pisałeś, że bardzo tęsknisz za Polską.

Tęskniłem ogromnie. Do tego dochodziła fascynacja powstałą właśnie „Solidarnością”. Zapiisałem się do niej od razu, będąc jednak obywatelem ZSRR, nie mogłem się wychylać, gdyż groziło to odstawieniem do Moskwy.

W 1993 roku dostałeś polskie obywatelstwo...

To było ukoronowanie moich marzeń, by się zasymilować z Polakami. Byłem naukowcem,

a myślenie jako takie nie ma narodowości. Tak więc zostałem Polakiem i zacząłem czuć się jak Polak, ale wcale nie wywyższony przez to ponad inne narody. A niektórzy Polacy są przekonani, że lepiej myślą, czują, że są lepsi. A przecież już Chrystus nauczał, że wszyscy są równi.

W książce pisziesz: „Mówienie, że »my jesteśmy inni, lepsi«, jest szkodliwą propagandą rządzących, którzy komplementując swoich obywateli, pozbawiają ich normalnych szans rozwoju i lepszej przyszłości. Już z nauki Jezusa wynika, że »lepszycy« nie ma, a najgorsi są właśnie ci, którzy uważają siebie za »lepszycy«”.

Zawsze tak myślałem. Choć wyrastałem jako *homo sovieticus*. W kraju, w którym obowiązywało dwójmyślenie, w którym mówiło się to, czego oczekiwała władza, a nie to, co myśleli się naprawdę.

Na dodatek, w domu ludzi oddanych reżimowi: ojciec, oficer NKWD, mama – jak pisziesz – „aktywistka partyjna mimo arystokratycznego pochodzenia”, wreszcie ojczym, któremu wiele zawdzięczasz – wykładowca w szkole partyjnej w Moskwie...

A zarazem walczyłem na swój sposób, by zachować godność – dzięki książkom, w których znajdowałem wspaniałe przykłady wolnego myślenia, dzięki muzyce, także dzięki ludziom, z którymi się spotykałem, by w zakłamanym świecie uprawiać intelektualną partyzantkę. By wymieniać się prawdziwymi informacjami z BBC, z Wolnej Europy. Ale faktycznie dopiero w Krakowie, dzięki Piwnicy, mogłem to jarzmo, jakim był *homo sovieticus*, odrzucić.

Długo nie byłeś jednak traktowany jako Polak.

Pamiętam, dotarliśmy z muzykami spóźnieni do Legnicy, by usłyszeć od dyrektora organizującej występ instytucji: „Nigdy z takim utęsknieniem nie czekałem na Ruskich”. Nierządco też, zwłaszcza w plenerze, słyszałem: „Spieprzaj do Ruskich”. Później moja popularność, zwłaszcza po rolach w filmie, przesłoniła niechęć.

Lata 90. wyniosły Cię na szczyty kariery – recitale w całej Polsce, filmy, w tym Ekstradycja; byłeś pułkownikiem KGB, zabitym w szóstym odcinku...

Mojej popularności, szczęśliwie, nie zabili. Także u policjantów... O, przypomniał mi się rosyjski żart. Młody Rosjanin podjął pracę w milicji, po miesiącu pytają go: „Wania, czemu ty nie poszedłeś po pensję?”. „Myślałem, że jak mi dali pistolet, to już mam radzić sobie sam...”.

Od dziecka zbierasz i opowiadasz kawały. Część zebrałeś w książce Opowieści o kawałach. Ubarwiasz nimi recitale.

Publiczność tego oczekuje.

„Z powołania jestem błaznem i uważam, że to bardzo ważna profesja...” – to Twoje wyznanie.

Błaznowanie w dobrym stylu to jest wyjście z utartych ram, to wychwytywanie paradoksalnych sytuacji... Czym satyryk różni się od normalnego człowieka? Tym że dostrzega owe paradoksy i umie je pokazać. Rolą błazna jest wyzwalać od zapętlonego myślenia. Czyli łamanie stereotypów. Podobnie jest w nauce. Już kiedyś zajmowałem się humorologią; interesowało mnie, na czym polega zrozumienie dowcipu. Przychodzi facet do lekarza. „Panie doktorze, wątroba mi nawala”. „A pije pan?”. „Piję, ale to nie pomaga”. Oto kwintesencja dowcipu – kontrast i myślenie paradoksalne. Albo: „W małżeństwie mi się nie powiodło; pierwsza żona mnie rzuciła, a druga nie”. Gdy słyszę takie arcydzieła dowcipu, wpadam w zachwyt. Chciałbym napisać książkę o rozumieniu humoru, ukazać śmiechogenne strefy rozmaitych narodów.

Z jednej strony, Aleksy Awdiejew poważny naukowiec, z drugiej – wesołek bawiący publiczność.

Już ci niegdyś tłumaczyłem, że naukowiec poważny jest tylko wtedy, gdy odbierze wyngrodzenie z uniwersytetu i się zastanawia, jak za to przeżyć... A ja miałem rodzinę... To es-trada daje pieniądze, zatem nawet nie zważam na to, że nie lubię słuchać swego śpiewu. **Za to Twoi fani – bardzo. Ty masz chyba znacznie dłuższą dobę; praca naukowa, zwieńczona tytułem profesora, estrada, film, sport, pisanie książek, felietonów...**

Bo większość ludzi zabiera się do pracy, a ja od razu pracuję.

„Tragedia mojego życia polega na tym, że nie jestem w stanie przestać robić cokolwiek, co mnie interesuje” – mówiłeś mi przed laty. Niestety, z tenisa musiałem zrezygnować z powodu wzroku.

W lipcu skończysz 80 lat. Masz w związku z tym jakiś wytyczony cel, plany?

Niczego nie zmieniać. Żyć, jak żyję. Utrzymać kondycję mentalną, czemu sprzyjają książki filozoficzne, a kupowałem je całe życie i mam taką bibliotekę, że mógłbym wreszcie zacząć studiować filozofię, o której myślałem jeszcze w Moskwie. I wciąż dbać o formę fizyczną, ćwicząc regularnie i pracując w ogrodzie. Na szczęście, już niczego nie muszę robić na czas, już mogę sobie pozwolić na wariant *slow*.

Wciąż zajmujesz się badaniem komunikacji językowej, gramatyką komunikacyjną, o czym także interesująco pisziesz w autobiografii...

Praca naukowa to najciekawsza część mojego życia; przyzwyczaiłem się do tego, żeby codziennie myśleć. Teraz z Panią profesor Grażyną Habrajską piszemy pracę o tym, w jaki sposób człowiek objawia swój umysł. Będzie się nazywała *Umysł ujawniony*. Nie zgadzam się z Kartezjańskim „*cogito, ergo sum*”. Jeśli ktoś myśli w odosobnieniu, to nikt nie wie, co się z nim dzieje. „*Loquo, ergo sum*” – dopiero, kiedy mówię, jestem dla innych. Po to ist-

nieją języki. Będzie to zarazem praca o historii języka, o uzewnętrznianiu naszych myśli. Nauka zawsze była moją pasją. Dociekanie jak to jest. To Einstein powiedział, że człowiek powinien zachować mentalność dziecka, które jeszcze nie wie, ale bardzo chce się dowiedzieć. Zachowałem tę postawę do dziś. Dlatego mówię, że mnie demencja starcza nie grozi, bo wciąż jestem na poziomie 5-latka. **Zajmowałeś się również językiem mediów, o czym rozmawialiśmy w przeszłości. Także o degradacji języka polityków i języka publicznego w ogóle.**

Z naukowego punktu widzenia język publiczny traci swoje wyznaczniki gatunkowe. Wchodzi weni język potoczny, kolokwialny, knajacki. W Rosji wręcz mówi się o kryminalizacji języka. I te wpływy widać również w Polsce. Pojawili się ludzie, którzy nie mają kompetencji ani też żadnych wątpliwości. A naród nieprzyzwyczajony do debaty publicznej jest na taki populistyczny język łasy.

Przychodzi facet do lekarza. „Panie doktorze, wątroba mi nawala”.

„A pije pan?”. „Piję, ale to nie pomaga”.

Gdy słyszę takie arcydzieła dowcipu, wpadam w zachwyt. Chciałbym napisać książkę o rozumieniu humoru, ukazać śmiechogenne strefy rozmaitych narodów.

Stąd tylu błaznów w polityce, którzy mówią tak, by przstraszyć, zadziwić, uderzyć w przeciwnika, a głównie – zwrócić uwagę na siebie. Nasza kultura polityczna jest bardzo niska. Słuchając niektórych polityków, dobrze wiem, jakich książek nie czytali. I tak postępuje upadek kultury językowej. Nie tylko zresztą w Sejmie, gdzie dominuje apelacja do swoich, do elektoratu. A prawdziwy dyskurs polityczny polega na dążeniu do koncyliacji. Do porozumienia.

I tak zahaczyliście o świat polityki, także obecnej w Twoich recitalach, kiedy to nabijasz się z tzw. nowych Ruskich, z Putina...

Rosja wciąż mnie interesuje; w przeszłości na Uniwersytecie kierowałem Katedrą Rosjoznawstwa. I Rosja to zainteresowanie odwzajemnia. Zostałem z muzykami zaproszony do Kaliningradu, mieliśmy już wizy, ale nasz występ odwołano. Wcześniej, gdy jeszcze Putin miał żonę i ta odwiedziła Kraków, miałem dla niej wystąpić, ale przeproszono mnie, tłumacząc, że byłych Rosjan sobie nie życzą. Zwłaszcza pewnie takich, którzy kpią z Putina – szaraczka, który chce sobie udowodnić, że jest wielkim człowiekiem.

Mimo dramatycznych przeżyć z lat młodości, które tak szczegółowo opisałeś – nawet te z wczesnego dzieciństwa...



To dzięki nieżyjącej już mamusi, która została wspomnieniem opisujące lata do mojego wyjazdu z Moskwy.

Wyrastałeś w strasznych czasach, a mimo to jawisz się jako ktoś w czepku urodzony... W moim pojęciu szczęście to osiągnięcie celów życiowych. Mnie się udało zrealizować w życiu wszystko, co zamierzałem. Osiągnąłem poziom dojrzałości, o którym kiedyś marzyłem.

I pewnie należysz do tych, którzy mówią, że szklanka do połowy jest pełna, a nie, że jest w połowie pusta.

Ja idę dalej. Ja mówię, że tę drugą połowę to sam wypilem.

To wróćmy do Piwnicy, w której po latach przerwy znowu występujesz.

Poczułem tęsknotę za tymi ludźmi, szczerze tworzącymi coś, co innych porywa, rozczula,

uszlachetnia. Czuję się dumny, wciąż będąc w tym kabarecie. Tak jak jestem dumny, że jestem częścią Krakowa. To radość słyszeć „Alosza Awdiejew z Krakowa”. Jak Lajkonik.



Wacław Krupiński – dziennikarz z ponad 40-letnim stażem, z czego ponad 30 oddał „Dziennikowi Polskiemu”. Pisze o estradzie, teatrze, literaturze. Autor m.in. *Głowy piwniczne* (WL), *Zbigniew Wodecki. Pszczoła, Bach i skrzypce* (Prószyński i S-ka), *Jan Kanty Osobny* (WL), *Cytaty z młodości. Rozmowy z ludźmi kultury* (Universitas).



**CZEGO PAŃSTWU I SOBIE
W NOWYM ROKU
ŻYCZY
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA**

KRAKÓW

Czekając na myto

Tekst: Wojciech Machnicki

W walce o lepsze z cyklu „najstarszy zawód świata” idą dwa – szpieg i narzędziowiec. Natomiast wiodące jeszcze do niedawna prym w tej kwestii panie nieciężkich obyczajów pozostają w tyle.

Są jednak zawody, które zanikają w miarę postępu technicznego. Dzisiaj mało które dziecię wie, kto to był rzymski celnik wspominany na kartach wszystkich Ewangelii i porównywany do faryzeusza. A to po prostu poborca podatkowy, czyli mytnik.

Najsłynniejszym mytnikiem jest św. Krzysztof, co tłumaczy się na „niosący Chrystusa”, którego pierwotne imię brzmiało Reprobo, czyli „niegodziwy”. Św. Krzysztof z Licji, dość powszechnie uważany za patrona kierowców, ale także atletów, lotników, ładowaczy, noszowych, ogrodników, pielgrzymów, podróżników, pracowników poczty, kurierów; chroni też od burz, huraganów, niespodziewanej śmierci i chorób oczu. W czasach św. Krzysztofa – a i później – dochody z opłat za przekraczanie brodów i grobli stanowiły niemałą część

Kto wie, czy w Krakowie nie powinna się odrodzić instytucja myta. Może dawne granice akcyzowe Krakowa uznać za rubież, poza którą samochody oznakowane innymi tablicami rejestracyjnymi niż te zaczynające się od KR, wpuszczane byłyby tylko za opłatą?

wpływów do kasy władców wszelakich. Dzisiaj takie opłaty, ale za przejazd samochodem po miejskich ulicach, przysparzają w Europie dochodów tylko Londynowi, Sztokholmowi i Mediolanowi. Inne miasta jakoś nie mogą zdecydować się na dodatkowy podatek dla kierowców. A przecież drzewiej inaczej bywało, także w Krakowie.

Największy kryzys gospodarczy XX wieku, który wybuchł w Stanach Zjednoczonych jesienią 1929 roku, do Polski w pełni dotarł dopiero kilka lat później. 20 grudnia 1932 roku rada miejska Krakowa podjęła uchwałę mającą zapewnić dodatkowe środki na inwestycje: wprowadziła opłaty za korzystanie z prowizorycznego mostu łączącego ulicę Mostową na Kazimierzu z ulicą Brodzińskiego w Podgórzu (tam, gdzie dzisiaj znajduje się kładka Bernatka). Za przejście piechotą tam i z powrotem płacono się 5 gr (dolar, ale nie ten dzisiejszy, tylko porządny, oparty na złocie, kosztował w tym dniu 8,91-8,93 zł, a jako w owym przedświątecznym okresie warte było 0,13-0,15 zł). Tyleż samo płacono się za spacer przez most w towarzystwie zwierzęcia domowego. Opłata od wozu konnego wynosiła 10 gr, a od samochodu osobowego bądź ciężarowego – 20 gr.

Kto wie, czy instytucja myta nie powinna się w Krakowie odrodzić.

Wielu radnym miasta nie podoba się, że nie mogą zaparkować auta w swoim miejscu zamieszkania, bo miejsca blokują właściciele samochodów z tablicami rejestracyjnymi z powiatu krakowskiego, wielickiego czy myślenickiego. Stąd postulaty, by z roku na rok rozszerzać płatne strefy parkowania. Tylko że jak tak dalej pójdzie, to wkrótce w całym Krakowie będą wyłącznie ulice, gdzie postój będzie możliwy tylko za opłatą. Zaś najbliższe bezpłatne parkingi – w Wieliczce, Krzeszowicach, Słomnikach czy w Kłaju.

Nie wiem, jakie są wpływy z płatnych stref parkowania do tej pory utworzonych w Krakowie. Ale to raczej grosze w porównaniu z nowoczesnymi, tak zwanymi inteligentnymi systemami sterowania ruchem. Niedawny burmistrz Londynu Boris Johnson zapewne nie przypuszczał, że już w ciągu dwóch lat zwróci się 300 mln funtów wydanych na monitorowanie płatnego wjazdu do centrum brytyjskiej stolicy. Obecnie zaś trwają prace nad monitoringiem wjazdu samochodów na teren całego Londynu (jeden wjazd – 11,5 funta). A przecież są i inne korzyści, nie tylko finansowe – zmniejszyły się korki i poprawiła czystość powietrza.

Prędzej czy później taki system – zamiast poszerzania płatnych stref parkowania – trzeba będzie zastosować w Krakowie.

Na jakim obszarze, to już kwestia do rozważenia. Niemniej warto zauważyć, że do dzisiaj istnieją w Krakowie niektóre rogatki, od czasu, kiedy 13 grudnia 1935 roku zarządzeniem prezydenta miasta zniesiono opłaty mytnicze, mostowe i postojoye (przez co gmina straciła 700 tys. ówczesnych złotych, czyli ponad 130 tys. dolarów wedle aktualnych wtedy cen).

Może właśnie dawne granice akcyzowe Krakowa uznać za rubież, poza którą samochody oznakowane innymi tablicami rejestracyjnymi niż te zaczynające się od KR, wpuszczane byłyby tylko za opłatą?

Skoro krakowianie opłacają podatek od nieruchomości, powinni mieć z tego tytułu jakieś korzyści.



Wojciech Machnicki – miłośnik motoryzacji wszelakiej od małości, kiedy przez ul. Świerczewskiego (obecnie Studencką), przy której się urodził, przejeżdżały co najwyżej dwa samochody na godzinę.

25 lat Japonii pod Wawelem

Tekst: Witold Bereś, Krzysztof Burnetko **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz

Urok tego budynku powala nawet ludzi mniej na piękno wrażliwych: falisty dach, ogród i taras patrzący na Wawel i niski gmach oparty o Wisłę. Ślad Orientu w Krakowie. Ale jest i coś poza przestrzenią – to duch otwartości, sztuki i piękna.

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha świętuje dwadzieścia pięć lat. I jeśli czegoś można być pewnym w zmieniającym się świecie, to tego, że przez następne setki lat będzie takim wyznacznikiem Krakowa jak Sukiennice czy kopiec Kościuszki.

A zaczęło się od trzęsienia ziemi.

Manggha, czyli prehistoria

25 czerwca 1987 roku „Życie Warszawy” donosi lakonicznie: „Andrzej Wajda został jednym z trzech laureatów Nagrody Kioto przyznawanej za wkład w rozwój nauki i sztuki. Wręczenie nagród odbędzie się 10 listopada w Kioto”.

I to wszystko, na co pozwalała cenzura w PRL. Bo już nie na ujawnienie tego, że suma jest druga pod względem wysokości po Nagrodzie Nobla i wynosi czterdzieści pięć milionów jenów, czyli wówczas ponad trzysta tysięcy dolarów. Kwota zawrotna. Oraz tego, że Wajda postanowił ją przeznaczyć na cele społeczne.

O tym Polacy dowiadują się dopiero z wywiadu udzielonego „Tygodnikowi Powszechnemu”, gdzie Wajda mówi, że chce w Krakowie zbudować muzeum sztuki japońskiej, której ogromne zbiory z kolekcji Feliksa „Mangghi” Jasieńskiego leżą w magazynach krakowskiego Muzeum Narodowego. „Ten obiekt stanie w Krakowie bardzo prędko. Jakim sposobem? Zabieram ze sobą w podróż do Japonii moją żonę Krystynę Zachwatowicz, która jest ogromną wielbicelką tego kraju. Powiem tak – jeśli Krystyna weźmie się do dzieła, to już zapraszam na otwarcie”.

Jeszcze trwa komunizm, jeszcze po drugiej stronie Wawelu straszą krzaki, jeszcze kryzys gospodarczy, jakiego świat nie widział, a tu małżeństwo Wajdów rusza z projektem, który wywrze ogromny wpływ na nowy, wolny Kraków.

Wieczór jubileuszowy

Podczas uroczystego wieczoru Krystyna Zachwatowicz powie, że to dla niej rocznica trudna, ale ważna. „Trudna, bo już bez Andrzeja. Ważna – bo to ćwierćwiecze jego dzieła”. I doda wyraźnie wzruszona, przez łzy niemal: „Andrzej byłby szczęśliwy, widząc, że jak ten jego pomysł fantastycznie żyje”.

Wspomni też, że pierwszym, który wtedy, przed 25 laty, pochwalił ich – szaloną mogłoby się wtedy zdawać – ideę, był Adam Michnik. Szefowa Mangghi Bogna Dziechciaruk-Maj skomentuje potem, że Krystyna Zachwatowicz stoi jak zawsze na straży pamięci o historii muzeum. Zauważy nadto, że mogło ono powstać jedynie w Krakowie – nie tylko dzięki duchowi i tradycji kulturalnej miasta.

Manggha, czyli Dębniki

Kto wie, czy punktem zwrotnym dla sukcesu Mangghi nie był wielki japoński architekt Arata Isozaki. To jego w 1987 roku podczas spotkania w Kioto przekonał Wajda do idei zbudowania gmachu, w którym można byłoby w Polsce pokazać kilka tysięcy japońskich dzieł sztuki, o których istnieniu mało kto wiedział. Koncept tak Isozakię ujął, że przygotował swój projekt za darmo.

A co z działką na muzeum? Bo jak wyglądał Kraków w ostatnich latach PRL? Jego dzisiejsi młodzi mieszkańcy byłiby bardzo zaskoczeni i... zniechęceni. Ówczesny prezydent miasta Tadeusz Salwa zasugerował trzy lokalizacje, w tym jedną – faktycznie unikatową.

Manggha jest muzeum, ale też stała się pomnikiem wielkiego gestu obywatelskiego.

Krzysztof Ingarden, dziś architekt wybitny, a podówczas zaczynający i współpracujący z Wajdami, przypomina, że chodziło o miejsce przy Błoniach, gdzie było dużo przestrzeni i piękny widok na Kopiec Kościuszki. Mówiono też coś o Nowej Hucie. No i Dębniki po drugiej stronie Wisły, podówczas rejon mocno – łagodnie mówiąc – podupadły, więc uważany za podły.

Isozaki rozumował jednak inaczej. Powiedział, że w Europie, ba – w świecie, nie ma już do wykorzystania takich miejsc, które leżą przy nadrzecznych bulwarach. Dlatego, jeżeli tylko można, należy budować właśnie na Dębnikach.

To pewnego listopadowego dnia, podczas wizyty w Krakowie, w wyobraźni japońskiego architekta zrodził się pomysł, by budynek przypominał falę – falę Wisły i falę ze słynnego drzeworytu Hokusai, znajdującego się w zbiorach Jasieńskiego, który tak niegdyś zachwycił Wajdę.

Przekazana nagroda, darmowy projekt i lokalizacja to był dopiero początek. Na szczęście przełom epok sprzyjał pomocy. Na miarę możliwości, również finansowo, pomagało państwo, choćby poprzez Muzeum Narodowe i jego ówczesnego dyrektora Tadeusza Chruścickiego czy wspomnianego prezydenta miasta. Ba, pamiętajmy, że minister kultury Marek Rostworowski też pochodził z Krakowa!

Ale pieniędzy trzeba było o wiele, wiele więcej... Wajdowie więc nie wahali się: ruszyli z kwestą do Japonii. I dzięki ich staraniom oraz ich przyjaćciół – udało się!



Wajdowie i ich miasto? Stary Teatr.
Akademia Sztuk Pięknych. Pawilon Józefa
Czapskiego, a w nim gabinet wielkiego
malarza. Dom na Emaus. Pawilon
Wyspiańskiego. Ostatni dom przy
Plantach i nieodległy skwer. I Manggha.

Manggha, czyli start

Wajda mógł śmiało napisać poradnik *Jak zbudować nowoczesne muzeum w piętnaście miesięcy*.

Finalne prace nad projektem rozpoczęły się w 1992 roku. W tokijskim biurze Isozakiego powstawała koncepcja bryły, w Polsce szczegółami technicznymi zajął się zespół Ingardena.

Wreszcie można było ruszyć z budową. W 1993 roku ogłoszono przetarg na wykonanie inwestycji. Wygrała go polska firma. Ale Wajda obawiał się, że

Manggha to jeden z najpiękniejszych pomników wolności politycznej. Spod znaku „Solidarności”.

nie podoła ona skali przedsięwzięcia, a zwłaszcza wymogom jakościowym. Zażądał więc, by budowę zlecić... firmie japońskiej.

Termin wyznaczono na jesień 1994 roku. Takie tempo zszokowało wszystkich. Piętnaście miesięcy na budowę nowoczesnego muzeum? I to w Polsce, tuż po upadku gospodarki socjalistycznej z jej druzgocącymi kulturę pracy nawykami?

W PRL budowy potrafiły trwać i piętnaście lat!

W dodatku pojawił się problem dachu. Nikt go nie chciał robić. To tak zwany stropodach, czyli identyczna warstwa na zewnątrz i wewnątrz. Wtedy Wajda wymyślił, by wynająć ekipę górali, bo góralscy cieśle często robili mu dekoracje do filmów, a wystarczyło dać im fotografię tego, co się chciało. I tak zrobiono. Górale nie przygotowywali belek na dach według wymiarów z projektu, tylko każdą wnosili na górę, kładli, patrzyli, jak pasuje i dopiero wtedy docinali. Japończycy, którzy początkowo chcieli, by wszystkie obrobić na dole, byli zachwyceni.

A kiedy przyszedł ten dzień...

Na uroczystość otwarcia muzeum, któremu towarzyszyło wiele innych artystycznych wydarzeń w całym Krakowie, datę wybrała Krystyna Zachwatowicz – 30 listopada 1994 roku, Andrzejki. Wajda był oczarowany nowoczesnością budynku, od którego rozpoczął się nowy rozdział architektury w wolnym kraju. Muzeum otwierali książę Takamado i prezydent Lech Wałęsa.

Wieczór jubileuszowy

Nie przez przypadek ambasador Japonii w Warszawie Tsukasa Kawada z przekonaniem dowodził – po polsku i to z niezłym akcentem! – że Manggha jest najważniejszym centrum kultury japońskiej nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Zauważył przy tym, że jej okrągły jubileusz zbiega się z setną rocznicą nawiązania stosunków dyplomatycznych niepodległej wreszcie po latach zaborów Rzeczypospolitej z Japonią. I do tego ten przedni dowcip z grą słów – „placówka” i „pracówka”. Że niby miejsce dla kultury, w którym się pracuje.

Pomnik wolności

Manggha jest muzeum, ale też stała się pomnikiem wielkiego gestu obywatelskiego.

Nie tylko. Bo Manggha to równocześnie jeden z najpiękniejszy pomników wolności politycznej. Spod znaku „Solidarności”, Wałęsy, Michnika i wielu innych.

„O wolności – pisał Wajda w 1994 roku, na chwilę przed otwarciem Mangghi – mówi się zwykle w kategoriach moralnych czy duchowych, nikt nie przelicza jej na pieniądze. Tymczasem wolność daje bardzo wymierne i konkretne możliwości. Przyniosła na przykład samorząd lokalny, a z nim uwolniła Kraków od decyzji płynących z Warszawy. Nie inaczej miała się sprawa samej budowy: gdyby nie Balcerowicz i jego plan przekształcenia polskiej gospodarki, zbudowanie Centrum w ciągu piętnastu miesięcy (trzy zajęło nam przygotowanie placu budowy) byłoby absolutnie niemożliwe”.

Muzeum inaczej

Bryła Mangghi była przede wszystkim dziełem architekta. Isozaki patrzył głównie z perspektywy japońskiej, lecz także międzynarodowej, bo wcześniej budował obiekty kulturalne w różnych krajach. I wiedział też, co jest niezbędne: że niezależnie od sal wystawienniczych musi być sala do działalności pozawystawienniczej – przeznaczona na koncerty, spektakle, wykłady, konferencje. Dzięki temu powstał pierwszy wyłom wśród polskich muzeów, które są w większości ulokowane w starych budynkach, zamkach, kamienicach i nie mają warunków na dodatkową działalność. Gdy powstawała Manggha, ostatnimi muzeami zbudowanymi świadomie jako miejsca ekspozycyjne było Muzeum Narodowe w Krakowie i w Warszawie.

Dlatego Manggha dzisiaj jest gmachem przygotowanym do nowoczesnej aktywności kulturalnej – takiej, która nie dzieli, a łączy. To tak zostało pomyslane: człowiek wchodzi do hallu, bo go coś zainteresowało – może nawet niekoniecznie zamierza pójść na wystawę, ale widzi, że może sobie kupić książki, wypić herbatę parzoną po japońsku albo zjeść potrawę z tego kraju. A tu się dowiaduje, że jest jakiś koncert albo właśnie ciekawa ekspozycja. I wtedy dopiero decyduje się kupić bilet albo nie.

Krystyna Zachwatowicz – znająca standardy muzeów zachodnioeuropejskich – upierała się przy takim rozwiązaniu. Że dostęp do Mangghi musi być maksymalnie swobodny. Nie może być tak, że pierwszym miejscem, na jakie natyka się potencjalny gość, jest kasa. Musi wchodzić do kawiarni, hallu, księgarni... To tworzy otwarty, przyjazny klimat miejsca. Bo jeśli kasy są od razu przy wejściu, to powstaje mimowolne wrażenie, że chcemy się odгородzić, że nam nie zależy, by ktoś przyszedł.

I druga rzecz – żeby były schodki na wał wiślany. Wtedy spacerujący nad rzeką mogą zająć też do muzeum, i nie muszą w tym celu obchodzić budynku. A goście mogą bezpośrednio wyjść nad Wisłę.

Manggha. Wokół

To nie tylko pierwsze w powojennej Polsce muzeum finansowane w ogromnej części z prywatnych pieniędzy. To również największy dziś skarb kultury japońskiej w tej części kontynentu. Kryje aż 10 tysięcy rozmaitych obiektów sztuki i rzemiosła Dalekiego Wschodu, głównie japońskich drzeworytów *ukiyo-e*.



Andrzej Wajda i Krystyna Zachwatowicz-Wajda

Można tutaj nauczyć się japońskiego, wziąć udział w warsztatach ceremonii parzenia herbaty, pokazać dziecku świat sztuki *origami*.

Ale Manggha to również środowisko.

Bo Wajda zawsze podkreślał, że zależało im, aby wokół Mangghi powstała grupa przyjaciół tej kultury. Najpierw zadbane o ogród japoński. Isozaki zasugerował, żeby stworzyć tzw. ogród pustki – taki, w którym wyraźnie zaznaczona jest przestrzeń, ale jest ona przestrzenią naturalną i minimalistyczną. I tak się stało. W tle pojawiły się bambusy. Dopiero następnym krokiem był pawilon herbaciany, gdzie można uczestniczyć w ceremonii parzenia herbaty.

Pawilon jest zaprojektowany tak, że tworzy go sześć na sześć modułów. Pomieszczenie jest puste. Na górze, pomiędzy ścianą a dachem, zostawiono szczelinę, przez którą widać pędy bambusów, poruszane zwykle dostojnie przez wiatr. Chodziło o to, by, siedząc we wnętrzu, czuć więź z naturą. I taka sama przestrzeń tworzy mały ogródek przed pawilonem – też pusty.

Na początku wydawało się też, że Manggha to tylko wystawy sztuki japońskiej. Ale rychło okazało się, że wielu ludzi, którzy przychodzą, chce wiedzieć o Japonii więcej – to oni w naturalny sposób wymusili, by spróbować zorganizować jeszcze naukę języka. Aż wreszcie około 1998 roku Andrzej Wajda spontanicznie ogłosił, że powstanie tu osobna szkoła języka japońskiego.

Manggha. Dzisiaj

Eksperci od przestrzeni miejskiej oraz miłośnicy Krakowa zwracają uwagę, że Manggha ożywiła drugi brzeg rzeki – nie tylko pod względem kultural-

Manggha była pierwszą wielkiej rangi inwestycją kulturalną po drugiej stronie Wisły w Krakowie. Co więcej, odniosła sukces na skalę europejską. Stała się zachętą dla innych, dotąd zdawałoby się nader ryzykownych, przedsięwzięć.

no-towarzyskim. Dotąd panowało przekonanie, że Kraków to tylko Stare Miasto i (od pewnego czasu) Kazimierz. Dzielnice po przeciwnej stronie Wisły – Dębniki czy Podgórze – uchodziły za podrzędne.

Przyczyniała się do tego oczywiście bieda. Ale także odmienne tradycje społeczne (Podgórze zamieszkiwały głównie rodziny robotnicze), ba – historyczne i kulturowe.

Manggha była pierwszą wielkiej rangi inwestycją kulturalną w tej części miasta. Co więcej, odniosła sukces na europejską skalę. Stała się zachętą do innych, dotąd zdawałoby się nader ryzykownych przedsięwzięć. W efekcie na południowym brzegu Wisły powstało wiele budynków i instytucji, wśród których wyróżniają się muzeum Kantora – Cricoteca w starym Podgórzu oraz MOCAK – Muzeum Sztuki Współczesnej, oraz zaadaptowana Fabryka Schindlera na Zabłociu. Zmiany nie ograniczają się do wznoszenia kolejnych gmachów dla kultury – obejmują też kawiarnie, restauracje, bary, a w końcu mieszkania (choćby w postaci modnych loftów, do zaprojektowania których kamienice i budynki przemysłowe na Dębnikach i w Podgórzu idealnie się nadały). Powstała wręcz moda – na początku w kręgach artystycznych i wśród młodzieży kreującej się na *underground* – by przenieść się „za Wisłę”.



Adam Wajrak (laureat Nagrody im. Andrzeja Wajdy 2019), Krystyna Zachwatowicz-Wajda i Józef Lassota (przewodniczący Rady Fundacji Kyoto-Kraków)

Niektórzy zaczęli porównywać ów krakowski „brzeg muzeów” z *Museumsufer* (nadbrzeżem muzealnym) we Frankfurcie czy berlińską *Museumsin-sel* („wyspą muzeów”).

Równocześnie sama Manggha pozostaje ważnym adresem w mieście.

Wieczór jubileuszowy

Kiedy na progu trzeciego dziesiętka lat trzeciego tysiąclecia staje się w tłumie serdecznie mijających się przyjaciół dalszych i bliższych, myśli się przede wszystkim o Nim. Andrzeju Wajdzie. Każdy tu go wspomina.

Ale też każdy cieszy się, że jest z nami Ona. Krystyna Zachwatowicz. W gustownym, jak na taką okoliczność przystało, kimonie. Z charakterystycznie nieśmiałym uśmiechem. Czarującym, pomimo wyraźnej nuty nostalgii za Nim. Ale też z pasją i determinacją. Widoczną chociażby wtedy, gdy przedstawia kolejnego – po Jurku Owsiaku – laureata ustanowionej po śmierci Andrzeja Wajdy nagrody Jego imienia przyznawanej „za działalność w duchu solidarności społecznej”. Tym razem uhonorowany jest dziennikarz i działacz ekologiczny Adam Wajrak.

Manggha, czyli Wajdowie

Wajdowie i ich miasto? Stary Teatr. Akademia Sztuk Pięknych. Pawilon Józefa Czapskiego, a w nim gabinet wielkiego malarza. Dom na Emaus. Pawilon Wyspiańskiego. Ostatni dom przy Plantach i nieodległy skwer. I Manggha.

To ostatnie miejsce to więcej niż nostalgia. Już kiedy się wchodzi do hallu, uderza „jasność, światło, ład”. Tak Wajda opisywał swoje pierwsze, niespodziewane spo-

tkanie ze sztuką japońską z kolekcji Jasieńskiego, gdy w roku 1944 przemknął z kamienicy na Emaus (gdzie mieszkał) do Sukiennic i zobaczył wystawę zorganizowaną przez hitlerowców dla uczczenia ich ówczesnego sojusznika. Wojna wojną, ale oszłomiło go piękno tej sztuki. I po latach, na przełomie komunizmu i wolnej Polski, wspólnie z żoną zrealizował marzenie – zbudował dla tych zbiorów stałe muzeum, które stało się dla Krakowa, a i dla Polski, czymś dużo więcej.

Manggha to niegasnący adres jednego z największych polskich artystów. Z racji zdeponowanego tam archiwum Wajdy, ale i kawiarni, w której można go było spotkać, idącego szybciej bądź wolniej, ale zawsze z błyskiem w oku i z nowym pomysłem w głowie. Siadającego w kawiarni nad swoim notesem i sączącego whisky. Człowieka, który zrobił pół setki filmów, kilkadziesiąt spektakli i stworzył kilka magicznych miejsc.

Który mawiał: „Trzeba w życiu bardzo dużo rzeczy zrobić, żeby po śmierci ze dwie, trzy zostały”.



Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Dlaczego Wajda nagrodziłby Wajraka

Tekst: Michał Jasieński

Laudacja dla Adama Wajraka wygłoszona podczas wręczenia przyznawanej mu przez Fundację Kyoto-Kraków Nagrody im. Andrzeja Wajdy 30 listopada 2019 roku w Muzeum Manggha (fragmenty)

Szanowni Państwo,

Andrzej Wajda byłby zachwycony celnością wyboru przez fundację właśnie Adama Wajraka jako laureata nagrody imienia Andrzeja Wajdy.

Adam Wajrak ma wielki wpływ na postrzeganie przez nas ekologii. Nie tej, której absurdalnym przykładem stała się walka z kornikiem w ukochanej przez Niego Puszczy Białowieskiej, z użyciem harwesterów, monstrualnych maszyn do wycinki. Ale tej, która polega na rozumieniu tego, co się dzieje w przyrodzie i docenianiu znaczenia przyrody dla człowieka. Po latach swoich niestrudzonych działań Adam Wajrak stał się symbolem pewnej filozofii życia oraz wręcz ucieleśnieniem idei szacunku dla przyrody. Ale dlaczego to, co robi Wajrak, jest tak ważne? Oto kilka przykładów.

Wajrak mówi po prostu „redukuje mój ślad”, „robię coś drobnego, ale ważnego, dla planety”. Na przykład „nie drukuję biletów kolejowych”. Ale co ma na myśli, mówiąc „ślad”? Ślad czego? Ślad dotyczy naszego wpływu na środowisko, mierzonego gazami, które produkujemy. Nie, nie tymi, które mają Państwo na myśli... Chodzi o gazy zwane cieplarnianymi. O dwutlenek węgla, którego ludzkość produkuje rocznie 36 mld ton. Jak to możliwe, może ktoś zapytać, skoro dwutlenek węgla to gaz, a gaz nic nie waży... Ale tym niemniej ludzkość powinna produkować go znacznie mniej, żeby ograniczyć globalny wzrost temperatury. A więc w ślad za naszym laureatem: redukujmy ślad. Ale jak to zrobić?

Otóż Wajraka napędza wiara w to, że drobne działania pomnożone przez miliony osób, wcielających je w życie na co dzień, mogą mieć wielkie efekty. Wajrak pyta nas: czy naprawdę musimy czekać na ustawy zmieniające naszą dietę (jedzenie drobiu zamiast wołowiny), obyczaje w łazience (zakręcanie wody podczas mycia zębów) albo w pracy (unikanie kserowania wszystkiego, co możliwe)? Nie możemy tak sami z siebie? Jeżeli nam się uda, nasz laureat będzie z nas dumny.

Adam Wajrak pięknie dokumentuje przyrodę fotografią oraz jest autorem lub współautorem (często pisanych z żoną Nurią Selva Fernandez) wielu książek o tematyce przyrodniczej, takich jak *(Za) piski Wajraka*, *Zwierzaki Wajraka*, *Kuna za kaloryferem*, *Umarły las* albo *Wilki*. Wśród licznych nagród i wyróżnień wymienię tylko kilka, które zrobiły na mnie wielkie wrażenie: tytuł „Przyjaciela Przyrody” nadany przez Pracownię na rzecz Wszystkich Istot w 1993 roku, honorowy tytuł Przyjaciela Puszczy Białowieskiej nadany przez Towarzystwo Ochrony Puszczy Białowieskiej, honorowe Obywa-

telstwo Rzeczypospolitej Ptasiej (2011) czy wyróżnienie Bohatera Europy przyznane w 2005 roku przez amerykański tygodnik „Time” za obronę środowiska naturalnego.

Pomaga nam także w wyrobieniu poglądu na wiele kwestii, których bez jego doświadczenia nie moglibyśmy zrozumieć. Niedawno pisał, dlaczego warto przejmować się tygrysami, i pokazał szerszy kontekst tej znanej wszystkim historii, czyli haniebnego procederu globalnego handlu dzikimi zwierzętami. W przypadku tygrysów – napędzany jest on ciemnotą i zabobonną wiarą w magiczne właściwości tygrysiego penisa.

Oj! Użyłem w laudacji słowa „penis”! O rany – użyłem dwa razy słowa „penis”! Ale przecież to był tylko cytat z tekstu czcigodnego laureata...

Na zakończenie cytaty dla inspiracji. Albowiem Adam Wajrak ma duszę poety, ale poety zaangażowanego. W tekście *Dzikości Wam życzę!* tak pięknie pisał do młodzieży uczestniczącej w tegorocznym festiwalu w Kostrzynie nad Odrą (usłyszymy w tym nuty filozofii Jurka Owsiaka, zeszłorocznego laureata Nagrody im. Andrzeja Wajdy – filozofii, która przekonuje, żeby nikogo do niczego nie zmuszać):

„Jak co dzień zagłębiłem się w Puszczę. Wlałem między drzewa, które rosną, jak chcą, i umierają, kiedy przyjdzie na nie czas, a nie wtedy, gdy decyduje o tym tabelka leśniczego i piła drwala. Poszedłem między mchy i porosty, które porastają te drzewa, gdzie im się podoba, między grzyby, które wyłazły i rozrastają się, jak chcą... Puszczą, która zawsze tętni życiem, która jest taka piękna i fascynująca właśnie dlatego, że nikt jej nie posadził i nie kontroluje, dla mnie jest kwintesencją przyrody. A przez to, że jest nieprzewidywalna, niepowtarzalna i różnorodna, daje to, co poza miłością, jest najważniejsze w życiu, czyli przygodę”.



Michał Jasieński, absolwent UJ i Harvard University, autor wielu prac badawczych i esejów z dziedziny biologii, filozofii i metodologii dydaktyki oraz zarządzania wiedzą, sekretarz Zarządu Fundacji Kyoto-Kraków.



Beata Pałach – jest absolwentką Wydziału Sztuki Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Doświadczenie artystyczne zdobywała także w Salzburgu na Wydziale Malarstwa Uniwersytetu

Mozarteum. Brała udział w licznych wystawach zbiorowych i indywidualnych, m.in. w Wiedniu, Kijowie i Ottawie. Na co dzień pracuje z dziećmi i seniorami w SCKM.

Lubię patrzeć w niebo

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Malarstwo Beaty Pałach przenosi nas w kosmiczne rejony, gdzie odnajdujemy radość życia i tworzenia.

Za oknem gwiazdzista noc, nad którą góruje księżyc w pełni. Beata Pałach opiera się o framugę okna i wpatruje w bezkresną ciemność. Nie boi się jej. Przeciwnie, galaktyka przyciąga ją, sprawia, że się uspokaja, poddaje ciszy, jaka panuje w kosmosie. Tę ciszę, ale i radość z tego, co zobaczyła, przenosi na papier. Przetworzone przez nią wrażenia zmieniają się w abstrakcyjne, coraz pogodniejsze obrazy.

Na jej akwarelach z serii *Kosmos* dominują budzące pozytywne emocje kule, które zawisły w ciemnym granacie nieba. Dołączają do nich geometryczne kształty, wychodzące poza kadr obrazu.

– Wszystko zaczęło się tak jak w przyrodzie, od atomu. Później były ziarenka, koła, kule... Kule to natura, coś, co nam zostało dane. A kąty proste symbolizują człowieka. Te dwie formy wchodzą sobie w drogę, przyciągają się, nie mogą bez siebie funkcjonować. Dlatego kolejny cykl, który wyłonił się z *Kosmosu*, nosi tytuł *Przyciąganie* – mówi.

Te prace przyciągają jeszcze cieplejszymi niż poprzednie kolorami. Można odnieść wrażenie, że radość przepełniająca ich autorkę unosi się nad wszechświatem. – Pewnie jestem w takim okresie życia, że przyciągam do siebie szczęśliwe chwile. A już na pewno przyciągam dobrych ludzi. Dlatego kiedy idę do sklepu z farbami, nie jestem w stanie się opanować i dziesięć odcieni żółci ląduje w mojej torbie – śmieje się Beata.

Ale nie zawsze tak było. Jej obrazy dyplomowe z serii *Zielniki* czy późniejsze *Czułe miejsca* wywołują uczucia melancholii i smutku. Dominują na nich chłodne tonacje, zielenie, atramentowe smugi i malachitowe refleksy. Wraca w nich do miejsc, które odwiedziła, wędrując po świecie. Jednak nie układają się one w żaden sposób w pamiętnik z podróży. Nikomu nie mogłyby służyć za przewodnik, bo trudno byłoby rozpoznać na nich choćby jezioro z wyspy Lanzarote, które zmieniło się w barwną plamę, impresję powstałą dzięki zapamiętanym kolorom. Trudno też zorientować się, gdzie leżą czułe miejsca, które artystka odnajduje w Krakowie czy w Bielczy koło Brzeska. Choć w tym ostatnim przypadku chyba łatwiej, bo w abstrakcyjnych kształtach można dopatrzeć się brązowych pól, otaczających malutką, nikomu nieznaną wieś, w której Beata się wychowała.

Nikt z jej rodziny nie zajmował się tam sztuką profesjonalnie, jednak wszyscy pielęgowali pasję dziewczynki. – Jako dziecko nie rozumiałam, że ktoś może nie lubić malować. Dla mnie to było najprzyjemniejsze zajęcie. Rodzice nie mogli mnie pośłać na żadne kursy malarskie, ale za to kupowali mi farby, płótna i zachęcali do tworzenia. Tato zabrał nas kiedyś na wspaniałą wystawę impresjonistów w Muzeum Narodowym w Krakowie. Pojechaliśmy całą rodziną. Do dziś pamiętam obraz Moneta *Ulica*

Montorgueil. Utkwił mi tak bardzo w głowie, że pomyślałam sobie, iż muszę mieszkać w mieście, gdzie można chodzić na takie wystawy – wyznaje malarka.

Na Akademię Sztuk Pięknych nie odważyła się zdawać. Wiedziała, że jako samouk, bez żadnych kursów przygotowawczych, konsultacji u profesorów, nie ma szansy dostać się na tak wyspecjalizowaną uczelnię. Postanowiła spróbować sił na Uniwersytecie Pedagogicznym. Udało się, została studentką Wydziału Sztuki. Dzięki temu mogła poznać różne techniki malarskie, z których najbardziej pokochała akwarelę. – Dlaczego? Bo ta technika ma w sobie niesamowity ładunek zaskoczenia. Obraz na płótnie można w nieskończoność cyzelować, poprawiać. Natomiast gdy maluję farbą wodną na papierze, nie mogę dokładnie przewidzieć, jak zachowa się plama. Przechyliłam kartkę i wprawiam w ruch barwne kleksy. Pozwalam im płynąć, jednocześnie próbując nad nimi zapanować. Taki rodzaj kreowania, to sama przyjemność! – opowiada Beata, dla której po studiach wcale nie było oczywistą rzeczą to, że zajmie się malarstwem.

Trafiła do Staromiejskiego Centrum Kultury Młodzieży, gdzie zaczęła prowadzić warsztaty z dziećmi. Kiedy zobaczyła, jaką frajdę sprawia im tworzenie, sama dała się mu porwać. Znowu odkryła w sobie radość dziecka, która po zajęciach kazała jej wyciągać z kąta zapomniane sztalugi oraz pędzle i ponownie przelewać na obrazy swoje emocje. Dzięki temu zaczęły powstawać kolejne cykle malarskie, w tym projekt *Dzika natura*. Jest on z jednej strony żartobliwym komentarzem do współczesnego stylu życia, a z drugiej ekologiczną z ducha refleksją nad tym, co zrobiliśmy z naszą planetą. Na tych figuratywnych obrazach widzimy plastikowy kubek z kawą (*Wodopój*), kieliszek wina i popielniczkę (*Pożywanie*), roślinkę stojącą w szklance, która ma na sobie metkę, co świadczy o tym, że zrobiono ją ze sztucznego tworzywa (*Flora*).

– Przyzwyczailiśmy się do takiego sztucznego życia. Stało się ono naszym środowiskiem naturalnym – mówi Beata. I choć sama jest częścią tego świata, to wieczorami staje przy oknie i patrzy z radosnym zachwytem w niebo.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Beata Pałach

Kwestionariusz Prousta po krakowsku to zestaw kilkunastu pytań, które po-
noć szybko pokazują osobowość ankietowanego. Proust miał taki w tym udział,
że dwukrotnie odpowiadał na pytania swojej znajomej. Czasami ta salonowa
psychozabawa z przełomu wieku XIX i XX wraca.

**Pejzaż, który wyzwała w tobie dobre wspo-
mnienia.**
Sunrise, with a boat between headlands Wil-
liama Turnera

**Zapach, który zawsze będziesz rozpozna-
wała.**
Zapachy domów. Każdy z nich jest inny.
Wchodzisz i nos już wie, gdzie jest.

Chwila z dzieciństwa, której nie zapomnisz.
Moment rozczarowania, kiedy odkryłam,
że *Magiczna Księga* moich starszych siostr
to tylko zwykła książka.

**Gdybyś mogła zmienić w sobie jedną rzecz,
co by to było?**
Zamienię impulsywność na coś bardziej prak-
tycznego.

Dar natury, który chciałabyś posiadać.
Więcej energii.

**Jaki sposób podróżowania najbardziej lu-
bisz?**
Spontaniczny.

**Gdzie zaczynałaby się, a gdzie kończyła po-
dróż twoich marzeń?**
Już się zaczęła. Tu w Krakowie. A gdzie się
skończy, niech będzie niespodzianką.

Kraków ma sens, bo?
Jest jedyny taki.

Życie ma sens, bo?
Jest jedyne takie.

**Przesąd, któremu się poddajesz choćby żar-
tem.**
Piątka dla świętego Antoniego za odnalezie-
nie zguby

**Zwierzęta, bez których świat byłby o wiele
smutniejszy.**
Gady w każdej postaci. Uwielbiam je.

**Ludzie, bez których nie jesteś w stanie się
obyć.**
Dobrzy ludzie.

Niezbędne ci do życia przedmioty.
Łóżko.

**Gdybyś wyjeżdżała na bezludną wyspę, jaką
książkę byś ze sobą zabrała?**
Taką, której jeszcze nie przeczytałam.

A jaką płytę?
To zależy od nastroju podczas pakowania.

**A jeśli byś na tej wyspie spotkała Piętasz-
ka, to jakim człowiekiem chciałabyś, żeby
się okazał?**
Życzliwym.

Podarunek dla Czytelników

Tekst i zdjęcie: Janusz Paluch

Chyba wszyscy w Krakowie, w środowisku ludzi kultury, znają, pieśczo-
tli-
wie nazywanego Jasiem, redaktora Jana Pieszczachowicza.

Śmiało możemy ogłosić w Krakowie rok
2020 jego imieniem, wszak w styczniu
skończy 80 lat! *Ad multos annos* Panie Janie!
Przy tej okazji ukazała się jego wspomnienio-
wa książka *Było, nie minęło...* wydana przez Bi-
bliotekę Kraków. To prezent urodzinowy wy-
dawcy miesięcznika „Kraków” dla dostojnego
Jubilata. Ale i podarunek Jana Pieszczachowi-
cza dla czytelników, którzy – co tu ukrywać
– od kilku dobrych lat oczekiwali zapowia-
danych przez niego wspomnień.

Opisywana w książce aktywność w ruchu
studenckim, na wielu płaszczyznach – dzien-
nikarska, literacka i animatorska, dały mu bo-
gatą praktykę do rozwinięcia działalności pu-
blicystyczno-kulturalnej w dorosłym życiu.
Czytając książkę Pieszczachowicza, utwier-
dziłem się w przekonaniu, że pokolenia stu-
dentów trzech dekad drugiej połowy XX wie-
ku (ja się jeszcze w tych latach zmieściłem),
mimo siermiężności życia w socjalistycz-
nej Polsce, miały niesamowite szczęście, że
mogły być twórcami i odbiorcami zjawiska
nazywanego „kultura studencka”. Jan Piesz-
chachowicz opisuje najważniejsze swe ak-
tywności związane z legendarnym przecież
klubem Pod Jaszczurami i jego bywalcami,
odbywającymi się tam Konkursami Jednego
Wiersza, uczestnictwem w artystycznym ży-
ciu Teatru 38, gdzie pełnił przez krótki okres
funkcję kierownika literackiego, czy pierw-
sze próby wydawnicze (jedna z nich zapro-
wadziła go na łamy jakże w tamtych czasach
prestiżowego „Tygodnika Powszechnego”).
Zwieńczeniem tej działalności na rzecz kul-
tury studenckiej było powierzenie mu w 1976
roku kierowania pismem (dwutygodnikiem)
„Student”. Trzeba zaznaczyć, iż musiał się cie-
szyć wówczas dużym zaufaniem środowiska
Związku Studentów Polskich, ale i partyjnych
władz, skoro powołano go na tak prestiżowe
stanowisko.

Kolejna przestrzeń pracy organizacyjnej,
jaką zakreslił Pieszczachowicz – zwany też
przez wielu Pieszczochem – to kierowanie
krakowskim oddziałem Związku Literatów
Polskich, po śmierci Stefana Otwinowskie-
go. To był intensywny i napięty okres dzia-
łalności – połączony z pracą w jakże ważnym
i kulturotwórczym Wydawnictwie Literackim
pod dyрекcją wszechwładnego Andrzeja Kur-
za. Po drodze była też ważna praca w redakcji
Telewizji Kraków i tygodniku „Przekrój”.

Z kolei w czas tak zwanego karnawału „So-
lidarności” wpisuje się epizod związany z zało-
żeniem i wydawaniem prestiżowego miesięcz-

nika literackiego „Pismo”,
którego Pieszczachowicz
był redaktorem naczel-
nym. Kogóż w tej redak-
cji nie było! Ewa Lipska,
Wisława Szymborska,
Marta Wyka, Tadeusz
Nyczek (sekretarz redak-
cji), Leszek Elektorowicz,
Kornel Filipowicz, Jerzy
Kwiatkowski, Tadeusz
Nowak czy Jan Prokop!
W 1980 roku inicjuje też
– kto wie, czy nie pierw-
szą w Polsce – literacką
Nagrodę im. Kazimierza
Wyki.

Ta niby sielanka skoń-
czyła się dramatem stanu
wojennego i konieczno-
ścią podejmowania ważnych decyzji nie tylko
organizacyjnych, ale i życiowych. Po ZLP, „Pi-
śmie” i „Studencie” pozostały popioły.

Dopiero w latach 90. Pieszczachowicz
znowu nabrał wiatru w żagle... Doprowadza
do powołania Nagrody im. Stanisława Vin-
cenza o wymiarze ogólnoeuropejskim czy
nagrody Krakowska Książka Miesiąca, przez
lata udziela się w kapitule Nagrody Miasta
Krakowa, w końcu inicjuje przyznawanie Me-
dału „Za mądrość obywatelską”. Na prośbę
Jacka Majchrowskiego – prezydenta Krakowa
– wypracowuje formułę i w 2004 roku staje
na czele nowego pisma społeczno-kultural-
nego „Kraków”.

Opowieść, w której przywołuje jakże wie-
lu bliskich wielkich znajomych, z którymi
zetknął go los, przetykana jest smacznymi
anegdotami. Oczywiście, nie mogło w niej za-
braknąć też literackich fascynacji Pieszcza-
chowicza, przecież przede wszystkim kryty-
ka literackiego, który przez lata obdarowywał
nas interesującymi, często wywołującymi
dyskusje w środowisku literackim książkami.

Książkę *Było, nie minęło...* czyta się łatwo
i z zainteresowaniem. Narracja kawiarnianej
opowieści zbliża czytelnika do autora. I jak
z dobrą kawą, czujemy niedosyt, gdy do-
strzegamy dno filiżanki, tak jest też z książ-
ką Jana Pieszczachowicza – chciałoby się
więcej, a wiem, że szkatuła pamięci autora
nie do końca została opróżniona. Czekamy
na więcej...

Jan Pieszczachowicz, *Było, nie minęło...*, Bi-
blioteka Kraków 2019.



Laboratorium NOW

Tekst i zdjęcie: Jacek Balcewicz



Skałdowie nawoływali, byśmy szanowali wspomnienia. Jednak konfrontacja po wielu, wielu latach z dzisiejszą rzeczywistością zapamiętanych, a co za tym idzie wyidealizowanych przez czas obrazów, zapachów, smaków i dźwięków może być dość ryzykowna i prowadzić do depresyjnego rozczarowania. Dlatego też z dużą nieśmiałością i pewną ostrożnością sięgnąłem po pierwszą po 32-letniej przerwie studyjną płytę znakomitej krakowskiej formacji Laboratorium zatytułowaną po prostu NOW. I...?! Wesoło bulgoce bas Krzysztofa Ścierańskiego, śpiewnie zawodzi (momentami brzmią jak smyki) saksofony Marka Stryzowskiego, a w melizmatycznych wokalizach przechodzi on sam siebie, klawiszowe Janusza Grzywacza wibrują jak dobra orkiestra symfoniczna. Wszystko jak za dawnych lat, a może nawet i lepiej, bo z pomocą pośpieszyli znakomity gitarzysta Marek Raduli (Budka Suflera, Bajm, Grupa Tadeusza Nalepy) i Bernard Maseli (Walk Away z Urszulą Dudziak, The Globetrotters z Kubą Badachem) grający na marimbie i elektronicznym wibrafonie malletKAT, jedyny belwederski profesor sztuk muzycznych w tym towarzystwie.

O tym, że od momentu debiutu Laboratorium minęły co najmniej dwa pokolenia, niech świadczy fakt, że grający w pierwszym składzie Laboratorium na basie Edmund Mąciwoda – to ojciec Pawła Mąciwody – od 2004 roku basisty legendarnych Scorpionsów. A ja dopiero za kulisami ostatniej edycji organizowanego przez prof. Piotra Chłostę festiwalu kultURO, którego filarem od samego początku jest Janusz Grzywacz, zdałem sobie sprawę, że przez parę dobrych lat z Januszem Grzywaczem

i Markiem Stryzowskim mieszkaliśmy w Wieliczce przy tej samej ulicy, która dzisiaj wróciła do przedwojennej nazwy Lednica Dolna, a wtedy nazywała się Obrońców Stalingradu. Ale nie tylko po takiej znajomości rekomenduję ostatnią płytę Laboratorium NOW. Bo powinna ona zadowolić co najmniej dwa pokolenia.



Laboratorium NOW, Janusz Grzywacz piano – el. piano, synth, vocader; Marek Stryzowski – soprano i alto sax, vocals; Krzysztof Ścierański – bass, midi bass guitar, Marek Raduli – guitar, Grzegorz Grzyb – drums. Gościnnie: Bernard Maseli – KAT, marimba; O.S.T.R. – vocals, sample; Bogdan Frymorgen – voice-over; JAROSZ – scratch, Universal 2019.

Oni. Dzieci z Dworca Brześć

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: Jacek Taran



Słuchamy Zuliha – młodej matki trojga dzieci, codziennie gwałconej przez męża narkomana, której państwo nie jest w stanie zapewnić żadnej ochrony. Słuchamy Aślanbeka – ojca trzech dziewczynek, regularnie porywanego z domu i bitego za to, że nie chce walczyć przeciwko Ukraińcom w Donbasie. (...) Tamtego grudniowego poranka 2016 roku, o godz. 8.28. wyruszyliśmy z czeczeńskimi uciekinierami w drogę do Terespolu. Dla nas, będących w pracy reporterek, miała to być niespełna godzinna podróż. Dla nich – marzących o bezpiecznym życiu w naszym kraju – kolejny sprawdzian ludzkiej wytrzymałości wobec ślepego losu: wiadomo bowiem, że ze stu pięćdziesięciu pasażerów specjalnych zaciemnionych przedziałów, do Polski zostanie wpuszczonych tylko kilka osób. Jadą więc w ciszy. Teraz nawet dzieci nie płaczą. Za chwilę wszędzie słońce”.

Marina – nauczycielka, którą Czeczeni koczujący od miesięcy na dworcu obwołali dyrektorką szkoły demokratycznej. Urodziła się na Ukrainie, od dwudziestu pięciu lat mieszka. Z zawodu i powołania nauczycielka i wolontariuszka. W roku 2016 założyła Szkołę Demokratyczną na dworcu w białoruskim Brześciu, gdzie miesiącami koczowały czeczeńskie matki z dziećmi. Dzień po dniu stara się zwrócić im skradzione dzieciństwo poprzez zabawę, naukę, uśmiech i miłość. Z tymi, którym udało się przekroczyć graniczny Rubikon i dostać się do Polski, razem opiekuje się opuszczonymi staruszkami z Domu Samotnej Starości w Radości. W roku 2006 otrzymała nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za zasługi dla kultury polskiej; jest także laureatką nagrody im. Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata”.

Monika – skończyła prawo, ale nie chciała być ułożonym prawnikiem – poszła na dziennikarstwo, a potem przez lata pracowała w kobiecych magazynach. Wciąż wierzy, że reportażem można zmienić świat. Tak przejęła się tą historią, że postanowiła zrobić o tym książkę.



Dwie kobiety, które zrozumiały, że bliźni potrzebuje nie tylko dobrego słowa. Potrzebują pomocy. I to zwłaszcza bliźni obcy, innowierca, może i muzułmanin przybywający do naszego kraju z miejsca, gdzie się naprawdę źle dzieje. Jak piszą: „Każdy z nas ma coś, czym może się podzielić. Z Dzieckiem z Dworca Brześć, Jego Mamą i każdym, kogo świat wyrzuca dziś na margines, zostawia na peronie. Książka o tym, jak naprawia się świat, oddając dziecku choć maleńki kawałek straconego dzieciństwa”.

Ta opowieść jest wzruszająca. I budzi emocje. Przeczytajcie ją więc. To dobra, ważna książka. Ale przeczytać to za mało. Spróbujcie pomóc.

Marina Hulja, Monika Głuska-Durenkamp, *Dzieci z Dworca Brześć*, Warszawa 2019.

Miesięcznik „Kraków” jest patronem medialnym książki



Mag obrazów i dźwięków

Tekst: Ewa Kozakiewiczowa Zdjęcia: Jan Zych

Jest lepiej znany w holenderskim Arnheim i bardziej ceniony w kanadyjskim Quebecu niż w Krakowie, w którym pracuje od ponad czterdziestu lat. CzeT Minkus – artysta wizualny, kompozytor i muzyk, twórca spektakli transmedialnych, gra na trąbce i dyryguje artystami podczas ich występów podobnie, jak robił to Tadeusz Kantor. Artysta tworzy dla wszystkich, ale słucha go i ogląda elita.

Czesław Teofil Minkus sam nie wymyślił sobie pseudonimu artystycznego. Tak przez przypadek w korespondencji nazwali go Holendrzy, którzy co roku zapraszali artystę na AVE Festiwal (czyli Audiowizualny Festiwal) do Arnheim.

W 1990 roku w Galerii OCEAAN Czet Minkus wykonał kompozycję przestrzenno-muzyczną Transmutations – I na trąbkę solo, taśmy i instalację dźwiękowo-aktywnych płyt metalowych. – Po raz pierwszy przetworzyłem dźwięk trąbki w sposób akustyczny, używając blach metalowych właśnie w Holandii, powtórzyłem to w Teatrze STU w Krakowie. Podczas kolejnego AVE Festiwal, w 1991 roku, przedstawiłem projekt Figueres of Light na trąbkę solo przetworzoną tym razem elektronicznie oraz interaktywną instalację przestrzenną przy użyciu laserów – wspomina Minkus.

Ten sam program pokazywał później w Ośrodku Grotowskiego we Wrocławiu. Ale to za granicą rozpoczynał wszelkie próby z dźwiękiem i z obrazem. – Holendrzy zapewniali wszystko, co było potrzebne do eksperymentowania – opowiada artysta, który uważa, że w Krakowie nie docenia się sztuki awangardowej.

Marzeniem Minkusa jest stworzenie w naszym mieście instytucji wykorzystującej zdobycze współczesnej technologii, nauki i nowych mediów – Trans Media Art Centrum (TMAC). Założył nawet w 2006 roku Fundację o tej nazwie.

Światło i dźwięki

Na jego artystycznej drodze zaważył epizod z dzieciństwa, o którym przypominał sobie dopiero w dorosłym życiu. Opowiada: – Siedziałem w ciemności pod drzwiami salonu rodziców, którzy przyjmowali wieczorem gości. Drzwi były uchylone i zacząłem nimi poruszać. Odchylały się raz mniej, raz więcej i delikatnie skrzypiały. Słuchając tych dźwięków, widziałem, jak zmieniała się wpadająca przez nie do ciemnego korytarza smuga światła. Raz się rozszerzała, raz zwężała, co połączone było z dźwiękiem. Te dwa zjawiska były spięte razem, zintegrowane. Do tej syntezy wizualności i audialności dochodziłem potem w dorosłym życiu długo i mozolnie. Nie pamiętałem o pierwotnym wrażeniu z dzieciństwa i przez dłuższy czas malowałem obrazy i grałem na trąbce i innych instrumentach

(EWI, instrumentach elektronicznych), w różnych zespołach. Traktowałem moje działania jako osobne ścieżki twórczości, nigdy razem.

Ołśnienie przyszło później. Połączył odrębne dyscypliny w spójne transmedialne kompozycje.

Specjalny quintet Stańki i biopartytura

Na pierwszy spektakl multimedialny dał się namówić Tomasz Stańko. Pokaz odbył się w Teatrze STU. Kiedy ludzie wchodzili do foyer, coś wybuchało i oślepiało. Efekty pirotechniczne zapowiadały nad-

„Skupiam różne dziedziny sztuki w – jak to określam – punkcie zero. Żadna z tych dziedzin nie jest nadrzędna, a wszystkie elementy tworzą nową jakość artystyczną”.

zwyczajne przeżycia. – Jeszcze w trakcie prób pojawiły się pogłoski, że chcemy spalić teatr – dyrektor Krzysztof Jasiński zaangażował strażaków, którzy nie spuszczały nas z oka... Działo się – grał Specjalny Multimedialny Quintet Tomasza Stańki, tańczyła Iliana Alvarado, kubańska tancerka, która improwizowała do dźwięków trąbki. W 1984 roku takie wydarzenie było novum – wspomina CzeT Minkus.

Eksperymenty artysty obejmowały także sferę pisania partytur. Współcześni awangardowi kompozytorzy za pomocą partytury graficznej chcą uwolnić muzykę, dają wolność wykonawcom, którzy mogą zagrać utwór w różny sposób. Minkus poszedł dalej – wymyślił biopartyturę.

– Spacerowałem po Plantach i zobaczyłem biegające dalmantyńczyki. Ich białe-czarne umaszczenie zawsze kojarzyło mi się z kropkami – nutami na pięciolinii. Pomyślałem, że dalmantyńczyki mogą stworzyć żywą partyturę i zgłosiłem projekt na Spotkania Krakowskie X – Music for dalmatians na trąbkę przetwarzaną elektronicznie i kwartet smyczkowy. Krzysztof Głuchowski, ówczesny dyrektor Bunkra Sztuki, gdzie utwór miał być wykonany, ogłosił casting dla dalmatyńczyków. Od rana wokół Bunkra tłoczyli się właściciele z psami tej rasy. Wybraliśmy siedem psów, które stworzyły partyturę.



Czesław Teofil Minkus urodził się w Lesznie w 1957 roku. Do Krakowa przyjechał po zakończeniu edukacji w Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu. Mieszka tu (poza czasowymi pobytami w innych miejscach na świecie) i tworzy do dzisiaj. Jest artystą wizualnym, muzykiem, kompozytorem, autorem projektów muzyczno-transmedialnych, filmowych i teatralnych. Porusza się w obszarach współczesnej muzyki elektroakustycznej, elektronicznej, improwizowanej oraz sztuki wizualnej i audiowizualnej. Poszukuje relacji obrazu i dźwięku, fascynuje go psychologia i fizyka kwantowa, włącza tematy naukowe do multimedialnych prezentacji.

Jak to wyglądało? – Członkowie Kwartetu Smyczkowego, zawodowi muzycy filharmonijni, którzy mieli zagrać kompozycję, byli przerażeni, kiedy na wybiegu Bunkra zobaczyli... dalmatyńczyki. Pomyślałem, że chyba będę musiał zagrać koncert solo, ale muzycy się przełamali... Psy poruszały się swobodnie na specjalnej planszy z liniami, a muzycy patrząc na nie, grali. Pod wpływem emocjonalnego szoku, otworzyły się w ich mózgach nowe połączenia... Po wykonaniu kompozycji muzycznej z projekcjami wideo artyści przyszli do mnie ze łzami w oczach. Stwierdzili, że po tym przeżyciu, nie są już tymi samymi muzykami – opowiada autor pomysłu.

Performance Music for dalmatians z 1995 roku został sfilmowany i przetworzony komputerowo – tak powstała video-partytura, która posłużyła potem powtórzeniu koncertów w Holandii, Dublinie,

Uważa się za autodydakcę. Mawia, że dla autentycznej indywidualności twórczej to najlepsza droga edukacji artystycznej.

Założył kilka formacji muzycznych: Space Light Orchestra (SLO) 1983, Music Media Art Ensemble (2000), MINKUS-TMAexplorers, (2009).

Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej (PTMW), Związku Polskich Artystów Plastyków (ZPAP) i Polskiego Stowarzyszenia Muzyki Elektroakustycznej (PseME).

W 2019 otrzymał srebrny medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

Paryżu i innych miejscach, w różnych składach instrumentalnych

Z trąbką w tomografie...

– Wjeżdżałem, też grając na trąbce i w różnych stacjach świadomości do... tomografu. Obrazy, skany mózgu, animacje 3D, rejestracje i zapisy moich snów i wizji, emitowane na panoramicznym ekranie, stanowiły materiał partyturowy. Wszystko było wykorzystywane w filmach, a zapisy tekstowe snów przekazywane w spektaklu jako kwestie przez Jana Peszka – tak CzeT Minkus relacjonuje pracę nad Dreams Music'13, oryginalnym eksperymencie z pogranicza sztuki i nauki, zrealizowanym w ramach zamówień kompozytorskich przez Instytut Muzyki i Tańca w 2013. Rzecz odbyła się w Małopolskim Ogrodzie Sztuki.

Kompozycja opierała się na wizualnych i dźwiękowych transmisjach procesów zachodzących w mózgu podczas snów kompozytora oraz jego stanów okołosennych wywołanych technikami hipnotycznymi lub substancjami psychoaktywnymi.

– Ludzie przychodzili do mnie po spektaklu i mówili: nic nie braliśmy, a jesteście jakby na haju! – tak widowisko było intensywne w wyrazie – chwalili się pomysłodawca.

W projekcie wziął udział m.in. nie żyjący już Jerzy Vetulani, profesor nauk przyrodniczych, psychofarmakolog, neurobiolog i biochemik, z którym Minkus od lat był zaprzyjaźniony. Wokalizy tworzyła z kolei Agata Zubel, wybitna śpiewaczka, kompozytorka, laureatka Paszportu „Polityki”. Wspomina: – Lubię brać udział w eksperymentach, szczególnie jeśli są na pograniczu różnych sztuk. To była metaforma – pod wspólnym mianownikiem spotkali się artyści z wielu obszarów sztuki, reprezentujący odmienne kierunki estetyczne. Takie nagromadzenie daje pole do eksperymentowania, próby zestawienia czy zderzania. Te zjawiska mogły się łączyć, ale i rywalizować – w tym była siła wydarzenia artystycznego.

Podróż po Europie

– Dworce kolejowe były dla mnie miejscami magicznymi, świątyniami podróży. Tłumy wieloleżycznych podróżnych, tablice świetlne, zapowiedzi odjazdów i przyjazdów, migające światła, stukot kół pociągów, semafony... To robiło wrażenie, dlatego z wewnętrznej potrzeby zacząłem nagrywać filmy z dworców w Amsterdamie, Wenecji, Dublinie, Berlinie, Warszawie, Paryżu czy Katowicach podczas kilkunastu lat moich podróży artystycznych. Nie wiedziałem, że powstanie z tego kompozycja – opowiada z kolei CzeT Minkus o projekcie Europa Train Score z 2014, pokazywanym dwukrotnie – podczas Festiwalu Muzyki Filmowej w Małopolskim Ogrodzie Sztuki oraz czwartej edycji Ars Independent Festiwal w Katowicach.

Punktem wyjścia do muzycznej kompozycji był właśnie materiał wideo, rejestrowany na dworcach całej Europy i animacje komputerowe – a zagrali ją m.in. Józef Skrzek, multinstrumentalista i kompozytor, oraz inni cenieni muzycy – Marek Chołoniewski, Jan Pilch, Adam Pierończyk, Marcin Oleś i Michał Dymny. Europa Train Score jest widowiskiem, audiowizualnym perfomancem, porywającym teatrem dźwięku, koncertem na trąbkę, instrumenty elektroakustyczne i elektroniczne z dodatkami projekcji filmowych i świetlnych, które można powtarzać w różnych miejscach Europy.

To jedna z największych produkcji muzyczno-transmedialnych Minkusa.

Ma on na koncie kilkadziesiąt spektakli, koncertów czy prezentacji, łączących pozornie odmienne światy muzyczne i estetyczne. Za każdym razem to coś innego, nowatorskiego, unikatowego... Ot choćby ChopiNowe Impresje z udziałem Michała Urbaniaka, Flasbacks z wokalizą Olgi Sz wajgier, Time Symphony zadedykowaną pamięci zmarłego Romana Opałki, Athletics z biopartyturą czy Apocalipsis – VII Transmutacji, film muzyczny zrealizowany dla Programu 2 TVP.

Nowa jakość

Tajemniczy impuls... Sam twórca nie wie, kiedy on powstaje. Można go „złapać”, siedząc w wannie, w kawiarni lub na spacerze. Skojarzenie, które przekłada się na muzykę albo obraz. Potem impuls obrasta w konkretną strukturę. – Piszę libretto, muzykę, scenariusze wykonawcze, przygotowuję filmy, zatrudniam specjalistów do stworzenia wizualizacji i animacji 3D – opowiada Minkus o procesie realizacji projektów.

– Skupiam różne dziedziny sztuki w – jak ja to określam – punkcie zero. Żadna z tych dziedzin nie jest nadrzędna, a wszystkie elementy tworzą nową jakość artystyczną – twierdzi CzeT Minkus.

I precyzuje: – Wszystkie dziedziny w moich projektach są interaktywne: dźwięk wywołuje obraz, obraz pociąga sekwencje dźwiękowe, sceny performatywne i tak dalej. Za każdym razem to inna przegoda artystyczna, intelektualna, inne doświadczenie.

Marzeniem Minkusa jest stworzenie w Krakowie instytucji wykorzystującej zdobycze współczesnej technologii, nauki i nowych mediów – Trans Media Art Centrum (TMAC).

*

Jan Peszek o spektaklu Dreams Music'13, w którym brał udział jako aktor i performer:

– Tego rodzaju wydarzenia są coraz radsze. To jest przypadek szlachetnego i wrażliwego badania poprzez sztukę sfer, które są niekoniecznie znane nawet przez naukę. Nasz mózg i jego funkcjonowanie, choć ciągle badane, nie jest jeszcze do końca znane. Ten ośrodek decyzyjny jest wielką tajemnicą. To jest okoliczność sprzyjająca sztuce i pytaniom, które dzięki niej można zadawać. Muzyka, będąc także abstrakcją, wpisuje się doskonale w „pejzaż mózgowy”. Kiedy otrzymałem od autora propozycję uczestniczenia w tym widowisku – przypomniałem sobie doświadczenie podobne sprzed lat, z 1964 roku, z Teatru Instrumentalnego Bogusława Schaeffera. Tam się posłużyono tekstem Karola Irzykowskiego z Pałuby. Tekst był jakby widziadłem sennym, bardzo abstrakcyjnym. Grałem wówczas partię bez tekstu, ale okolice obydwu wydarzeń, Schaeffera i Minkusa, wydały mi się podobne.

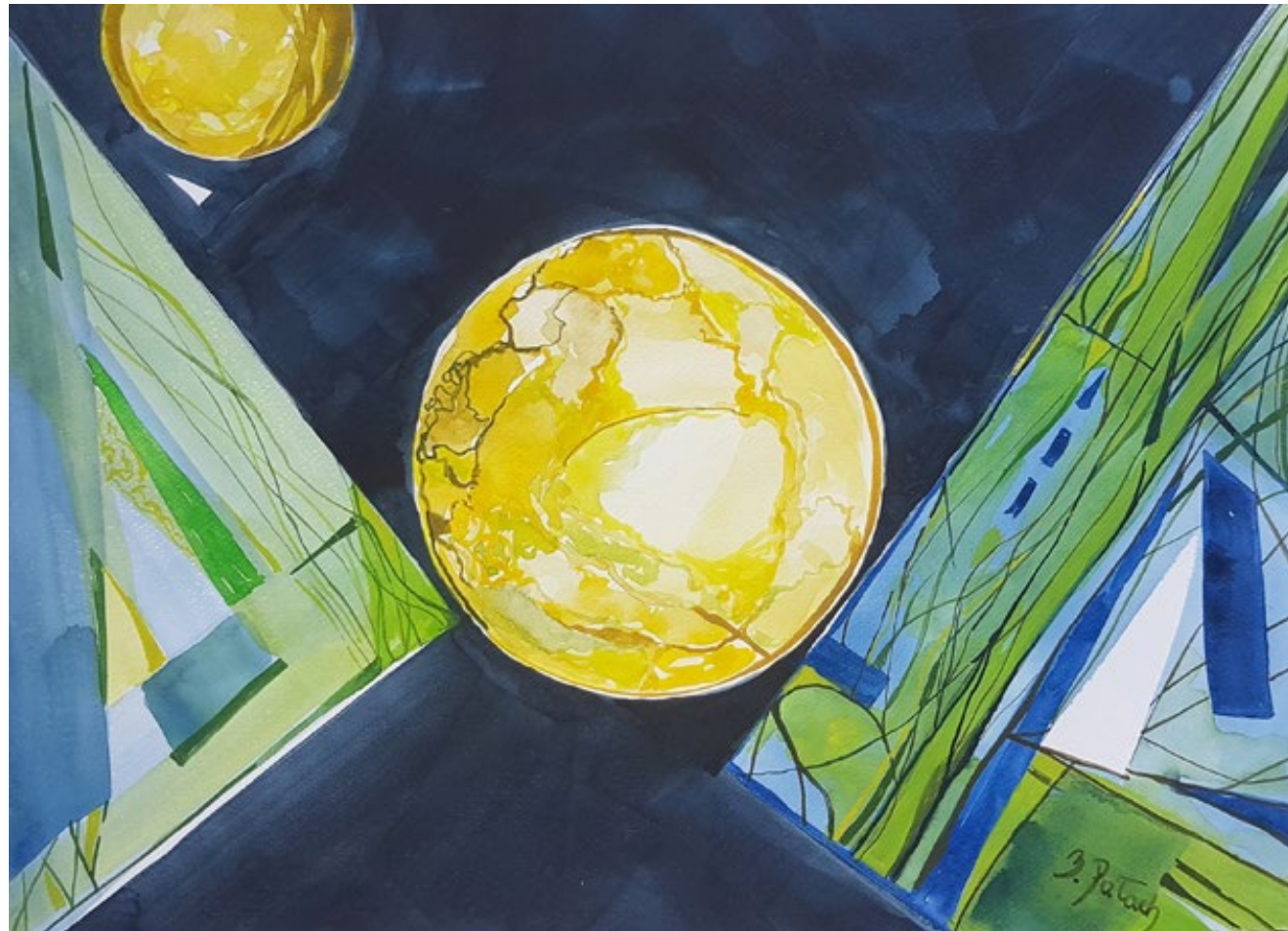
Zawsze podejmuję się działań twórczych, które określają konkretny poziom artystyczny, zawierają prowokację i kierują się w stronę zagadnień nie-rozpoznanych, zawierających potencjał.



Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”, kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.

Styczeń 1920 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski



Beata Pałach, *Światy I*, akwarela

✂ **1 stycznia.** „Magistrat zarządził przeprowadzenie spisu mieszkań w Krakowie. Równocześnie opublikował rozporządzenie namiestnictwa o obowiązku zgłoszenia niewynajętych i opróżnionych mieszkań” – zapowiadał „Czas”.

✂ **2 stycznia.** Jak podały dzienniki, Rada Miasta podjęła uchwałę domagającą się cofnięcia rozporządzenia ministerstwa skarbu ustalającego kurs korony do marki na poziomie 1 korona – 80 fenigów jako krzywdzącą dla ludności w Małopolsce. Ostatecznie sejm przeforsował relację 1 kor. – 70 pf.

✂ **3 stycznia.** „Przez Kraków przeszła w czwartek burza wesołości. Śmiech wylęgły w teatrach pod wpływem wesołych kabaretowych programów rozlewał się szeroką falą po mieście i przycichł dopiero o świcie. Fale ludzi kłębiące się na ulicach, powozy automobile, dorożki, przepełnione teatry, kawiarnie i gwar dawały miastu chwilową cechę stolicy. Przyznać trzeba bezstronnie, że rekord osiągnął Teatr Bagatela. Nawet beznadziejny melancholik i mizantrop śmiał się z całej duszy, podziwiając mistrzowskie wykonanie” – relacjonował sylwestrową noc „IKC”.

✂ **3 stycznia.** Z kroniki „Czasu”: „Wczoraj około godz. 11 przed południem spłonął dach na domu włościana Głupczyka z Woli Justowskiej i stodoła za domem. Pożar wznicił 80-letni ojciec Głupczyka. Po dokonaniu tego zbrodniczego czynu poderżnął sobie gardło brzytwą”.

✂ **4 stycznia.** „IKC” zamieścił komunikat: „Magistrat przypomina, iż według rozporządzenia z 14 grudnia 1918 roku wszystkie lokale handlowe i przemysłowe, w których sprzedaje się, przechowuje lub przygotowuje przedmioty spożywcze, mają być utrzymane w czystości i porządku. Dotyczy to przede wszystkim sklepów i restauracji, utrzymywanych obecnie przeważnie brudno i nieporządknie”.

✂ **4 stycznia.** Inny komunikat z tego samego numeru: „Z dniem 1 bm. cofniętą została linia akcyzowa poza obręb Podgórze-Płaszowa i Ludwinowa. Nowe urzędy akcyzowe umieszczono na krańcach miasta w nowo wybudowanych budynkach. Z chwilą zwinięcia urzędów akcyzowych umieszczonych nad Wisłą, prawie w środku Wielkiego Krakowa, dzielnice położone po drugiej stronie Wisły weszły faktycznie w skład miasta pod względem ekonomicznym”. *Budynki akcyzy, zwane popularnie rogatkami, stanęły między innymi na granicy Dębnik i Pychowic, przy ul. Tynieckiej oraz przy ul. Kobierzyńskiej, na granicy Zakrzówka i Kobierzyna (obydwa zachowane). Linia akcyzy, sankcjonująca pobór tak zwanego myta przetrwała do grudnia 1935 roku.*

✂ **5 stycznia.** Z działu ogłoszeń „IKC”: „Pana Stanisława Hołysta, który pożyczył ode mnie w Sylwestra żakiet, upraszam o natychmiastowe oddanie tegoż, w przeciwnym razie przykre konsekwencje przypisze sam sobie”.

✂ **5 stycznia.** „Szpital św. Łazarza w Krakowie od czterech tygodni nie otrzymuje węgla, toteż chorzy, których napływ jest ogromny, leżeć muszą w salach nieopalanych, pacjenci czekają tygodniami na operację, a nagłe wypadki często muszą być operowane również w salach nieopalanych. Wprawdzie szpital otrzymuje węgiel, ale tylko na papierze. Przed tygodniem np. zarekwirowano mu cztery wagony węgla” – alarmował „IKC”.

✂ **8 stycznia.** „Wczoraj w uroczyste święto Trzech Króli kupowano u przekupniów przy kościołach mirę i kadzidło, które następnie dawano święcić podczas nabożeństwa. Czyniąc zadość zwyczajowi, wypisy-

Z kroniki „Głosu Narodu”: „Oświetlenie biur rządowych wiele pozostawia do życzenia. Między innymi wczoraj wieczorem w urzędzie policyjnym pod Zamkiem, oświetlanym gazem, brakło zupełnie światła na I piętrze. Byłoby wskazanym w budynku tym zaprowadzić elektryczność”.

wano też święconą kredą na drzwiach domów początkowe litery imion królów K.M.B. i liczbę bieżącego roku” – odnotował „Czas”.

✂ **8 stycznia.** „Wczoraj po południu jeden z członków służby domu pp. Kossaków zauważył wydobywający się dym z jednej z ubikacji ich mieszkania przy pl. Kossaka 5. Natychmiast wyważył drzwi owego pokoju (rodzaj składowni) i zastał tam zwęglone cztery krzesła wyścielane, będące własnością Marii Pawlikowskiej, zamieszkałej obecnie w Zakopanem. Zawiadomiono o fakcie tym policję, lecz śledztwo nie dało dotychczas rezultatów” – relacjonował reporter „IKC”. *Mowa, rzecz jasna, o wielkiej poetce Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, która po uzyskaniu kościelnego rozwodu z pierwszym mężem Władysławem Bzowskim, wyszła za Jana Henryka Gwałberta Pawlikowskiego i zamieszkała w Willi pod Jedlami w Zakopanem.*

✂ **9 stycznia.** „Przed kilku tygodniami donosiliśmy o wybuchu epidemii tyfusu płamistego »Pod Telegrafem«. Władze sanitarne zarządziły wówczas czterotygodniową kwarantannę, która – jak się dowiadujemy – ukończona będzie w nadchodzący piątek” – odnotował „IKC”.

Chodzi o policyjny urząd śledczy mieszczący się przy ul. Kanoniczej 24, zwany też „Pod Zamkiem”.

✂ **10 stycznia.** Poświęteczne refleksje snuł felietonista „Nowości Ilustrowanych”: „Na Rynku były i drzewka, wydano na nie nawet taryfę maksymalną, której handlarze przestrzegali zupełnie tak, jak nasi krakowscy dorożkarze taryfy fiakierskiej. Nie mając



Dawny dworek Kossaków, doprowadzony do ruiny, z mozołem podnosi się dziś z upadku, fot. 1936, NAC



Dworek mieszczący redakcję „Czasu” – od strony Plant – stan przed wyburzeniem w 1935 r., widokówka, archiwum autora



Maria z Kossaków Pawlikowska-Jasnorzewska, fot. ok. 1924, NAC

bodaj sto koron do wyrzucenia, nie było po co wybierać się na Rynek pod drzewko”.

✂ **12 stycznia.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „Wojciech Farnaus rodem z Czulic, wyrobnik w Kujawach pod Pleszowem, napadł w nocy z 19 na 20 grudnia wraz z dwoma towarzyszami na domostwo Agnieszki Królowej, wdowy po żołnierzu, i zrabował jej mienie. Dnia 7 bm. stanął przed krakowskim sądem doraźnym i skazany został na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano trzy godziny po ogłoszeniu”.

✂ **14 stycznia.** „Na wczorajszym popołudniowym przedstawieniu »Betlejem Polskie«, w Teatrze im. J. Słowackiego, była obecna misja amerykańska, która przywiozła do Polski dary milionowej wartości. (...) Publiczność powstała z miejsc i zgotowała misji gorącą owację. Szef misji kapitan Stader podziękował za serdeczne przyjęcie, poczym orkiestra odegrała hymn amerykański” – relacjonował reporter „Czasu”.

✂ **15 stycznia.** „Czyszczenie miasta odbywa się bardzo powoli i w rozmiarach niedostatecznych. Słusznie Kraków zdobył smutny rekord jednego z najbrudniejszych miast, stojącego na poziomie Żabna, Dukli lub Działoszyc. Rada Miasta okazuje zupełną apatię w tej sprawie, również właściciele realności i stróże kamieniczni zapomnieli o obowiązujących przepisach” – ubolewał „IKC”.

✂ **18 stycznia.** „Wczoraj nad ranem zmarł na udar serca w Krakowie przy al. Słowackiego 9 baron Emil Rohn, były pułkownik austriacki. W kilka chwil później żona jego Aleksandra z Lesserów z Warszawy, zamknąwszy się w pokoju, gdzie leżały zwłoki męża, wystrzałem z rewolweru w serce odebrała sobie życie. Z pozostawionego listu wynikało, że samobójstwo popełniła z rozpacz po śmierci męża” – relacjonował „IKC”.

✂ **22 stycznia.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „Wczoraj o 7 wieczorem wezwano Pogotowie Ratunkowe na ul. Krakowską 13, gdzie kilku bandytów w mundurach wojskowych wpadło do sklepu Jakuba Grünfelda, zrabowało 10 tys. koron, które wymieniała pewna kobieta, a kupca położyło trupem strzałem w głowę”. Zbrodnia ta była gorącym tematem następnych dni. Sprawców szybko schwytano, a jej historia opisana została w Pitavalu Krakowskim autorstwa S. Salmonowicza, J. Szwai i S. Waltosia, w rozdziale Strzały i rykoszety. Dramat rozegrał się nie przy Krakowskiej 13, ale w nieistniejącym obecnie domu nr 12 (dziś skwer i przystanek).

✂ **22 stycznia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wczoraj o 4 popołudniu na pociąg ciężarowy z węglem, zdążający w stronę Płaszowa, według zwyczaju za III Mostem, rzucił się tłum amatorów węgla i rozpoczął zrzucać węgle z wagonów. Eskortujący pociąg żołnierze strzelił w stronę napastników i trafił poniżej pleców 30-letniego Józefa Kołodkiewicza ze Lwowa, mieszkającego w Podgórzu. Opatrzyło go wezwane pogotowie. Kołodkiewicz twierdzi, że w rabunku udziału nie brał”.

✂ **22 stycznia.** „Wczoraj o 8 wieczorem zauważył stróż domu przy ul. Zygmunta Augusta 5 kręcącego się żołnierza z kobietą. Po ich odejściu znaleziono leżące na korytarzu 2-miesięczne dziecko. Oddano je do żłobka” – odnotował „Czas”.

✂ **24 stycznia.** „W nocy z 21 na 22 bm. zakradli się nieznani sprawcy do kancelarii Zakładu dla Osiero-

conych Chłopców im. św. Józefa przy ul. Karmelickiej na I p., zabrali stamtąd kasę podręczną, wyrzucili oknem na ogród, rozbili ją następnie i zabrali gotówkę w wysokości 2 tys. koron i książeczki wkładkowe znajdujące się w kasie. Pies policyjny Aida zaprowadził organa policji na Nową Wieś, lecz tam ślad zgubił” – relacjonował reporter „Głosu Narodu”.

Zakład dla Osieroconych Chłopców przy ul. Karmelickiej 66, ufundowany (1848) przez artystę malarza Piotra Michałowskiego, przetrwał do 1950 r. Utrzymywał się głównie z produkcji ogrodniczej prowadzonej na zapleczu realności. Sprzedaż odbywała się w zachowanym do dziś parterowym lokalu od strony ulicy.

✂ **25 stycznia.** „Nabożeństwo błagalne o uproszenie uchronienia miasta i kraju od chorób zaraźliwych odbędzie się w kościele Bonifratrów na Kazimierzu (...)” – zapowiadał „Czas”.

„Magistrat zarządził przeprowadzenie spisu mieszkańców w Krakowie. Równocześnie opublikował rozporządzenie namiestnictwa o obowiązku zgłoszenia niewynajętych i opróżnionych mieszkań” – zapowiadał „Czas”.

✂ **28 stycznia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Oświetlenie biur rządowych wiele pozostawia do życzenia. Między innymi wczoraj wieczorem w urzędzie policyjnym pod Zamkiem, oświetlanym gazem, brakło zupełnie światła na I piętrze. Byłoby wskazanym w budynku tym zaprowadzić elektryczność”.

✂ **30 stycznia.** „Za propagandę bolszewicką aresztowano 27-letniego Stanisława Bibika rodem z Jezupola. Bibik rozrzucał po Krakowie odezwy bolszewickie” – donosił „IKC”.

✂ **30 stycznia.** Lokatorzy domu przy ul. św. Tomasza 32, gdzie na I p. mieści się krakowska filia Polskiej Agencji Telegraficznej, żalą się, że w nocy między godziną 1 a 1 i pół chłopcy roznoszący depesze z filii PAT, w lokalu biura wrzeszczą wniebogłosy i biją się, czyniąc hałasy, które budzić muszą z najtwardszego snu. Nadto schodząc gromadnie w godzinach nocnych ze schodów, czynią taki hałas, jakby stado podkutych koni waliło kopytami, przy czym nawołują się na cały głos, popychają i gwiżdżą. Mieszkańcy domu, mający nieszczęście być ofiarami nieludzkich wrzasków i hałasów nocnych, apelują do kierownictwa filii PAT, by położyło kres tym objawom zdziczenia” – odnotował „Głos Narodu”.

Przy ul. św. Tomasza pod podanym numerem stał jeszcze klasycystyczny dworek Steinkellera, zajęty wówczas przez redakcję „Czasu” i tymczasowo na filię PAT. Zburzono go w 1935 roku.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Stanisław Smolka, fot: archiwum Instytutu Historii PAN

Sukcesy i nieszczęścia profesora Smolki

Tekst: Ewa Danowska

Był współtwórcą krakowskiej szkoły historycznej. Stanisław Smolka ukazywał polskie dzieje w szerokiej perspektywie, odmiennie od romantycznych trendów – z krytycyzmem. W zawrotnym tempie wspiął się po szczeblach kariery naukowej, miał bowiem 22 lata, gdy został profesorem, a liczył 49 lat, gdy z profesury zrezygnował.

Urodził się we Lwowie w 1854 roku jako najmłodsze dziecko Franciszka i Leokadii z Bekierów. Jego ojciec był prawnikiem, działaczem społecznym, liberalnym politykiem, przez pewien czas prezydentem parlamentu austriackiego. Zasłynął również z inicjatywy usypania kopca Unii Lubelskiej we Lwowie – okazał się hojnym mecenasem tego dzieła, pracował także fizycznie przy jego sypaniu. Mógł poszczycić się podobno najdłuższymi wąsami w Galicji, sięgającymi 80 cm rozpiętości.

Stanisław ukończył III Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie. Po złożonym w trybie eksternistycznym egzaminie maturalnym i dwóch semestrach na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego udał się jesienią 1871 roku do Getyngi na dalsze studia. Mając siedemnaście lat, opublikował pierwszą książkę z dziedziny historii. Jako autor pracy *Henryk Brodaty. Ustęp z dziejów epoki piastowskiej*, został w 1874 roku powołany do Komisji Historycznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Pilnie pracował, dużo pisał, odbywał też podróże do różnych archiwów. W dziewiętnastym roku życia uzyskał doktorat, mając 21 lat habilitację z zakresu historii powszechnej średniowiecznej i nowożytnej. Rok później został profesorem. Natomiast mając 26 lat został członkiem Akademii Umiejętności. Po szczeblach kariery naukowej wspinał się więc błyskawicznie.

Oprócz gruntownej wiedzy cechował się polotem i błyskotliwością, wykazywał wielki talent organizacyjny. Pracę dydaktyczną traktował nie jako obowiązek, ale jako swego rodzaju misję. Był doskonałym mówcą i opiekunem młodzieży. Uważano wówczas, że jest tylko dwóch takich profesorów w Galicji – Smolka w Krakowie i Ksawery Liske we Lwowie. Smolka był zdania, że wobec szybkiego postępu wiedzy należy studentów zapoznać z aktualnym jej stanem, wdrażać do umiejętności poszukiwania literatury oraz źródeł, a nie ograniczać się do nużących i obciążonych szczegółami wykładów.

Z równą starannością jak o rozwój intelektualny studentów Stanisław Smolka dbał o zapewnienie im godziwych warunków materialnych, zabiegając dla niezamożnej młodzieży o zasiłki, stypendia i środki z różnych

fundacji. Wykazywał w tym niewyczerpaną pomysłowość.

Był autorem znakomitych historycznych opracowań – *Mieszko Stary i jego wiek*, *Szkie historyczne czy Kiejstut i Jagiełło*. Nie ograniczał się do średniowiecza, publikując między innymi prace *Stanowisko mocarstw wobec konstytucji 3-go maja* czy *Polityka Lubeckiego przed powstaniem listopadowym*. Wydawał też źródła historyczne – między innymi *Kodeks dyplomatyczny klasztoru tynieckiego*.

Jego zakorzenienie w krakowskim środo-

Związany z krakowskimi „stańczykami”, stał na gruncie lojalizmu w stosunku do Habsburgów; mimo to bronił odrębności nauki polskiej od austriackiej.

wisku przypieczętowało poślubienie w 1877 roku Marii, córki profesora filozofii Józefa Kremera. Smolkowie zamieszkali w sześciopokojowym mieszkaniu w kamienicy Kremaków przy ul. Sławkowskiej 22.

Niestety, Maria zmarła w 1883 roku na zapalenie płuc, a Smolka nie ukończył jeszcze trzydziestu lat, został wdowcem z dwiema córkami – Marią i Jadwigą. W wychowaniu ich pomagała mu teściowa, która z nimi zamieszkała.

Po kilku latach, zwalczwszy depresję spowodowaną śmiercią żony, poślubił w Rzymie Wandę Ordę. Mieli czterech synów: Kazimierza, Stanisława oraz bliźniaków Karola i Witolda.

Pod koniec XIX wieku nic jeszcze nie zapowiadało rychłego schyłku kariery Stanisława Smolki. Nadal był żywotny, systematyczny i pedantyczny w pracy. Chociaż pełnił dostojną rolę profesora, rektora czy sekretarza generalnego Akademii Umiejętności, był równocześnie człowiekiem przyjaznym i bezpośrednim, korzystającym z uroków życia.

Prowadził dom otwarty ze stałym dniem przyjęć. Jego humor, pogoda ducha, zamiłowanie do gry w karty zjednywały mu przyjaciół i ożywiały towarzyskie spotkania.

Silnym zdrowiem nie cechował się jednak nigdy. Już w maju 1892 roku przeszedł zdrowotny kryzys, z którym lekarze nie mogli sobie poradzić i wbrew protestom wysłali go na kurację do Zakopanego. Następnego roku objawiło się u Smolki przemęczenie i skrajne wyczerpanie, a on sam narzekał na brak czasu spowodowanego natłokiem zajęć. W 1894 roku uskarżał się znów na złe samopoczucie, chroniczne przemęczenie i brak jasnej diagnozy co do swoich dolegliwości. Pisał, że wolałby mieć tyfus niż głupią neurastenię obezwładniającą człowieka. Zaczęły występować u niego coraz groźniejsze symptomy artretyzmu oraz choroby nerwowej i zachwiania równowagi psychicznej. Było to o tyle niepo-

Należał do grupy historyków, którzy w ostatniej ćwierci XIX wieku i początkach XX stulecia zapewnili krakowskiej nauce pierwszorzędą rangę.

kojące, że w rodzinie Smolków odnotowywana była skłonność do samobójstw. Jego choroby nerwowej dopatrywano się jako wyniku przedwczesnej dojrzałości umysłowej i przepracowania.

Mimo to w roku 1895, gdy liczył 41 lat, spotkał go zaszczyt wyboru na rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uważał, że od niego nie może się uchylić.

Na początku 1901 roku półroczny nawrót choroby zmusił Stanisława Smolkę do wstrzymania działalności na Uniwersytecie i w Akademii Umiejętności. Uznano, że najlepszą kuracją jest zerwanie z dotychczasowym trybem życia i otoczeniem. Smolka przeniósł się zatem z Krakowa do pięknie położonej wsi Niegoszowice, wynajmując obszerny dwór. Sam nazywał się żartem wiesniakiem-neofitą. Wśród przychodzących i odchodzących stanów depresji, jakie go nawiedzały, ratunek stanowiła praca badawcza. Mimo półtorarocznego odseparowania się od zajęć zawodowych nie uzyskał równowagi psychicznej. Uważając, że jego siły są już zużyte, zrezygnował z zajmowanych stanowisk zarówno w AU, gdzie kierował między innymi Ekspedycją Rzymską, jak i na Uniwersytecie. Oddźwięk tej decyzji był w środowisku ogromny – wszak Smolka miał wysoką pozycję i autorytet naukowy, a odchodził na emeryturę w wieku zaledwie 49 lat.

Powoli jednak wracał do czynnego życia, między innymi obejmując w 1908 roku stanowisko dyrektora Archiwum Krajowego Aktów Grodzkich i Ziemijskich w Krakowie. Przeniósł się wówczas z Niegoszowic do wynajętej willi w Rudawie, a po pewnym czasie powrócił do Krakowa, zamieszkując przy ul. Piłsudskiego, a potem na ul. Kochanowskiego.

W czasie I wojny światowej wygłaszał w Krakowie i Wiedniu odczyty o Legionach Polskich, odbył też dyplomatyczną podróż do Włoch z ramienia Naczelnego Komitetu Narodowego.

Prócz dolegliwości zdrowotnych życie jego komplikowały ogromne długi, zwiększające się z roku na rok i grożące nieuchronnym bankructwem. Rosła sterta niezapłaconych rachunków, wezwań adwokackich, gróźb skierowania spraw do sądu, bezwzględnych egzekucji i puszczania w obieg weksli.

Beznadziejne brnięcie w długi zaczęło się prawdopodobnie od czasu kryzysu zdrowotnego Smolki i przejścia na emeryturę. Swoje zrobił też wielkopański styl życia, nie licząc się z wydatkami i finansową rzeczywistością, ciężka choroba oraz rozrzutność i niegospodarność Wandy Smolkowej – brane na kredyt luksusowe drobiazgi, sprzęty i stroje, zabiegi kosmetyczne i liczna służba.

Przeniesienie się małżonki do Wiednia w celu kształcenia synów, w 1910 roku, czyli *de facto* prowadzenie dwóch domów, liczne jej wyjazdy do kurortów, zatrudnianie gospodyni oraz lektorki, usługi fryzjerki i inne wydatki dobiły rodzinny budżet. Smolka dalej się zapożyczał i walczył o zaliczki.

W 1919 roku zrzekł się funkcji dyrektora krakowskiego Archiwum i przeniósł na oferowaną mu katedrę historii Polski na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Chorego na artretyzm i osłabionego profesora przywożono do gmachu uniwersytetu i wnoszono na katedrę.

Będąc już ciężko doświadczonym przez życie i los, szukał ukojenia w lekturze literatury pięknej. Już jako młody adept historii nawiązał znajomość z Józefem Ignacym Kraszewskim, utrzymując z nim kontakt przez długie lata. Przyjaźnił się też z Henrykiem Sienkiewiczem. Utrzymywał wreszcie znajomość z Elizą Orzeszkową. Ta z czasem określiła go jako uczzonego męża z łagodnymi jak u gołębia oczami, ostro jednak spierali się w kwestii studiów uniwersyteckich kobiet, czemu Smolka był stanowczo przeciwny.

Jego prace i osiągnięcia odchodziły w zapomnienie oraz niedocenywanie. Stawał się człowiekiem-legendą i uczonym trwającym na obalonych pozycjach metodologicznych. Historyk Smolka odchodził w cień.

W zapomnieniu i osamotnieniu zmarł 27 sierpnia 1924 roku w Nowoszybach na Polesiu, majątku Ordów, a pochowano go na cmentarzu w pobliskim Janowie Kobryńskim. Dopiero po pewnym czasie zaczęto zdawać sobie sprawę z jego fenomenu w polskiej historiografii.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!



FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Charles OLIVIERI-MUNROE Dyrektor Artystyczny

ANTONI WIT Dyrygent Honorowy

Koncert kołęd

CHÓR FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Teresa **MAJKA-PACANEK** dyrygent

Henryk Jan **BOTOR** organy

Lidia **JAZGAR** prowadzenie

4.01.2020

sobota, godz. 17.00

KOLEGIATA ŚW. ANNY
ul. Świętej Anny 1

KONCERT KARNAWAŁOWY

ORKIESTRA
FILHARMONII
KRAKOWSKIEJ

Ender **SAKPINAR** dyrygent

Wojciech **KASZUBA** trąbka

10.01.2020

piątek, godz. 19.30

**NOWOHUCKIE CENTRUM
KULTURY**
al. Jana Pawła II 232

w programie:

Duke **ELLINGTON** – Medley

Aleksandr **ARUTIUNIAN** – Koncert na trąbkę

Joseph **PACKALES** – Tour / Retour

Antonín **DVOŘÁK** – Tańce słowiańskie (wybór)

Aleksandr **BORODIN** – Tańce połowieckie



Mały szeryf

Tekst: Paweł Głowacki **Zdjęcia:** Bartek Barczyk/Teatr im. Juliusza Słowackiego

Niedziela

Patrzę, na scenę gapię się i gapię, ruchy śledzę mozolnie, walcząc powiekami, patrzę coraz bardziej katatonicznie – i naraz widzę... Któż to? Matko Święta! Ja? Ja sprzed wieków? Naprawdę? Tak! Ja! Wyraźnie ja oto zjawiam się i idę! Co tam idę! Nie idę, a kroczę bezlitośnie! Ja taki, jak wieki temu – w ostatnim roku przedszkola albo w pierwszej klasie! Tak! Tak! Tak!... Bał maskowy dla dzieci zorganizowano, co dla mnie tylko jedno znaczyło. Za Dzikiego Zachód dałbym się wtedy bez zmruczenia oka zabić, niedzielne odcinki *Bonanzy* były jądrem czasu, piękno prologu każdego odcinka – grupa dzielnych kowbojów, konno wyłaniających się zza płonącej mapy – nieuchronnie skłaniało mnie do radosnego szloch. Nie wiem, skąd

Hamlet jest o tym, co jest w Polsce do myślenia? Niech i tak będzie. Szkoda tylko, że kiedy się dziś Hamleta wystawia w Polsce – sam Hamlet nie jest do myślenia.

w tamtych polskich czasach matka wzięła kostium i rekwizyty, ale miałem wszystko. Czarny kapelusz z rzemykiem do wiązania pod szyją, obcisłą kamizelkę w prążki, pas z nabojami i kaburami, dwa srebrzyste kołty, ostrogi, które ojciec cudem do butów przytwierdził, no i to, co fundamentalne – wielką, złotą gwiazdę na lewej piersi. Owszem, brakowało konia, ale i tak byłem szeryfem, dzielnie kroczącym przez tłum dzieci kompromitujących się jako śniegowe bałwany, sierotki Marysie bądź inne skrzaty. Wieki od tamtego mego występu minęły, na premierze *Hamleta*, w Teatrze Słowackiego wyreżyserowanego przez Bartosza Szydlowskiego, siedzę, zaczyna się oto scena rozmowy Księcia z Duchem jego zamordowanego Ojca – i oto widzę, że Duchem Ojca jest chłopczyk, lat góra osiem, za szeryfa przebrany niby ja wieki temu! Duma mnie rozpiera, duma i radość, bo w końcu coś o mnie będzie w teatrze. Jednak później recenzje czytam i – markotnieję. Nikt nie zauważył, że mały szeryf to dawny ja, za to każdy oznajmia, że to – Gary Cooper. No i jak w tych okolicznościach brać recenzentów za ludzi poważnych?

Środa

Pięć recenzji przestudiowałem i wszędzie – Gary Cooper. I wszędzie, niczym niezniszczalna mantra polska, brzęczy to ze *Studium o »Hamlecie«* Stanisława Wyspiańskiego wyjęte i, jak się okazuje, ściśle z Gary Cooperem związane, legendarne zdanie, że Hamlet jest o tym, co jest w Polsce do myślenia. Wymyślili więc analitycy, iż przebrany za szeryfa chłopczyk jako Duch Ojca Hamleta odsyła nas do Gary Coopera, ale nie tylko jako szeryfa w westernie *W samo*

południe, jako „człowieka, który był zbyt dumny, aby uciekać”. Odsyła nas do nas, albowiem odsyła do starego, na wybory z 4 czerwca roku 1989 przez Tomasza Sarneckiego stworzonego plakatu, gdzie na tle mitycznego, czerwonego napisu „Solidarność”, widnieje figura Gary Coopera w roli szeryfa w rzeczonym westernie, tyle że trzyma on w dłoni nie sześciostrażowy rewolwer, a kartkę z napisem „Wybory”. Słowem – rebus jest prosty. Chłopczyk szeryf

+ Cooper szeryf + plakat wyborczy = Polska w chwili przełomu. A kto był naczelnym twórcą przełomu? Kto, by tak rzec, napisał przełom? Lech Wałęsa. Nieuchronny wniosek z tego rebusu, co go reżyser Szydlowski ułożył – jaki więc jest? William Szekspir

blem w tym, że rebusów podobnych jest wiadro, albo i dwa. Ile porównywalnych z małym szeryfem jako Duchem Ojca Hamleta rewelacji inscenizacyjnych serwuje reżyser przez dwie godziny seansu? Poloniusz – ponury Ksiądz Proboszcz, polski oczy-



to był w istocie Lech Wałęsa, tylko jeszcze o tym nie wiedział. Nie wiedział, że pisząc tragedię *Hamlet* – tak naprawdę pisze tragedię „Polska”.

Piątek

Gdyby w seansie Szydlowskiego szło tylko o to jedno niewinne równanie, o jeden rebus „Mały szeryf – i co z tego wynika” – byłoby, że tak powiem, w miarę czysto. Pretensjonalnie, lecz czysto. Pro-

wieście. Laertes – młody polski ksiądz tuż po seminarium duchownym. Ofelia – zbuntowana, wyzwolona Polka, doskonały dowód na to, że nie tylko w starym, ale i w młodym piecu diabeł pali. Hamlet – brodaty, ponury działacz nadwiślańskiego podziemia, najpewniej były pracownik Stoczni Gdańskiej. Gertruda – matka Polka lubiąca przeciwstawnie okulary. Klaudiusz – polski karierowicz, co dobrze wie, gdzie leżą konfitury, więc grzecznie spuszcza

po Księdzu Proboszczu wodę w toalecie. Toaleta zaś, a właściwie dwie toalety w dwóch, z tyłu sceny jedno na drugim stojących mieszkaniach-loftach o przezroczystych ścianach, eleganckie są – dwa białe polskie dolnopłuki niczym dwa lśniące na pol-

wizyjne. Na środku zaś kręcąca się na obrotówce monstrualna ludzka dłoń, będzie tego z 30 metrów kwadratowych i ze 100 kilogramów tektury bądź innego gipsu – dłoń polska, może nawet echo ręki polskiego papieża, ale raczej echo rzeźb Mitoraja,



skim stawie łabędzie polskie. Pokazy słowiańskiej gimnastyki korekcyjnej, pojedynczo, w parach bądź grupowo. Piosenki Johna Lennona przetykane fragmentami klasyki symfonicznej, lecz polszczyzna i tak w przewadze. Mikrofonów tyle co kamer. Monologi klepane w parach. Garnitury oraz suknie wieczorowe, a wszystko od polskich krawców. Na ścianach wyświetlane twarze aktorów, czyli Polek i Polaków. Na proscenium – polskie studio tele-

Polaka przecież, dłoń leżąca na grzbiecie, otwarta ku sufitowi, czyli ku polskim niebiosom. To we wnętrzu tej dłoni, niczym w gnieździe polskiego bociana, Hamlet polski spotka Ducha swego Ojca, czyli małego szeryfa, i usłyszy od małego szeryfa słowa prawdy o zbrodni oraz o konieczności zemsty... Ile procent scenicznych dziwolągów skatalogowałem? Nieważne. Muszę kończyć, bo dzień się kończy, a rozpocząłem przecież o świcie.

Sobota

Co z tym robić? O co pytać dziwolągi? Ksiądz Proboszcz ma dzieci, Ofelię i Laertes. Pytać go zatem o aktualny poziom moralności duchowieństwa polskiego? A może o to, gdzie jest mama dzieci?

Molier, Czechow, Ibsen, inne dzieła Szekspira albo też opowieści starych Greków – dziś każdą klasykę przepoczwarza się na scenie w zawadiacki bałagan rebusów inscenizacyjnych, których rozwiązaniem jesteśmy my. Nasz kapiący kran, nasza żarówka do wymiany, nasz zwichnięty staw, nasz dziurawy ząb, nasz kaszel chroniczny, ale też nasze niebywałe osiągi w dobie odzyskanej wolności.

ośmioletnich polskich chłopców? A może po prostu zapytać, czy w kluczowym momencie miłosnej nocy z Gertrudą zdjął kowbojski kapelusz, czy też działał w kapeluszu? Jeśli o mnie chodzi – za nic bym nie zdjął! Ani kapelusza, ani gwiazdy szeryfa, ani ostróg. O co jeszcze pytać?

Niedziela

Prawda taka, że o cokolwiek spytać, bałagan znaków scenicznych Szydlowskiego – w odpowiedzi trafia się na Polskę. W tej gmatwaniu tysiąca rebusów bowiem tak zawadiacki bałagan panuje, że na jego kanwie właściwie do dowolnych wniosków dojdiesz, jak się choć trochę wysilisz, a przecież najszlachetniej i najambitniej jest dziś w teatrze dochodzić do wniosków wyłącznie naszych, te- raźniejszych, nadwiślańskich. Czyż nie? I nie tylko *Hamleta* Szydlowskiego – tego najwyraźniej przez Lecha Wałęsę jego legendarnym białą-czerwonym długopisem wielkości wiosła, bo z pewnością nie przez Szekspira gęsim piórem napisanego *Hamleta* – ta nachalnie patriotyczna reguła reżyserowania dotyczy. Molier, Czechow, Ibsen, inne dzieła Szekspira albo też opowieści starych Greków – to najzupełniej obojętne – dziś każdą klasykę przepoczwarza się na scenie w zawadiacki bałagan rebusów inscenizacyjnych, których rozwiązaniem jesteśmy my. Nasz kapiący kran, nasza żarówka do wymiany, nasz zwichnięty staw, nasz dziurawy ząb, nasz kaszel chroniczny, ale też nasze niebywałe osiągi w dobie odzyskanej wolności. Choćby, jak w *Hamlecie* Szydlowskiego i Wałęsy, osiągnął kanalizacyjny. Oto od wyborów pod egidą Gary Coopera ledwie 30 lat minęło, a polskie dolnopłuki działają bez zarzutu. Białe muszle szemrzą bezbłędnie.

Poniedziałek

Hamlet jest o tym, co jest w Polsce do myślenia? Naprawdę? Niech i tak będzie. Szkoda tylko, że kiedy się dziś *Hamleta* wystawia w Polsce – sam *Hamlet* nie jest do myślenia. Ani trochę.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

A Ofelię? Męczyć ją kwestią, czy wie, że nie powinna po swej śmierci zachowywać się tak, jak się u Szydlowskiego zachowuje, czyli kolebać się na proscenium i papieroska ćmić, gdyż źle świadczy to o wychowaniu polskich nastolatków w dobie telefonów komórkowych, rzecz jasna obecnych na scenie? A Ducha Ojca, czyli ośmioletniego chłopczyka w stroju kowbojskim? Jako Ojca Hamleta – zagadnąć go o źródło niezwyklej płodności, która cechuje

Prawda was dobije

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Sławomir Shuty

Sławomir Shuty: Zaczynałem pisać w czasach wczesnej młodości, kiedy tworzenie nie jest gotową strategią, ale intuicyjnym działaniem. Mój styl wynikał z szoku poznawczego; tego momentu przejścia między światem dziecka a młodością – dorosłością.

Elżbieta Wojnarowska: Siedzimy w Bombie, tuż po jej zamknięciu. Klub odchodzi w niebyt, podobnie jak Piękny Pies, Matras czy Jaszczury z Teatrem 38, miejsca już kultowe, imprez i spotkań towarzysko-literacko-artystycznych krakowskiej bohemy. W Rynku zostają tylko knajpy. „Prawda nas dobije”... – taki proroczy napis widnieje nad barem w Bombie. Sławomir Shuty: Przyznam, że trochę mnie zaskoczyła popularność Bomby, o czym się przekonałem podczas jej zamknięcia. Kiedy

ralny bieg rzeczy. W Nowej Hucie tego nie było. Razem z grupą znajomych tworzyliśmy coś w rodzaju lokalnej bohemy, ale to było zamknięte środowisko. Szczęścia jeździło się szukać na krakowski Rynek. **A teraz niesie Pana z Krakowa w Beskidy...** Beskid Niski pokochałem już dawno. Od dwudziestu lat jestem regularnym uczestnikiem beskidzkiego życia, moja rodzina wywodzi się z Karpat, wracam więc do początku. W Beskidach, a dokładnie tam, gdzie się przeprowadzam, między Duklą a Komańczę, jest przestrzeń, czyste powietrze, niezdeptane góry, turystyka w tym terenie raczkuje, człowiek ma szansę spotkać się z nieskalaną reprezentacją świata natury.

Z jednej strony powrót do korzeni, z drugiej potrzeba odpoczynku. Z żoną otwieramy Jasielówkę, dom gościnny, który, jak mamy nadzieję, będą odwiedzać przedstawiciele zarówno sceny techno, jak i literatury. Trochę śmieję się, że będzie to sanatorium dla zmęczonych miejskim chaosem. Kraków jest miastem, które zaczyna się sobą dławić, o powietrzu nawet nie ma co mówić, ale też tłok na ulicach, korki, coraz większa liczba turystów i zmiany z tym związane, procesy gentryfikacyjne, które zawłaszczają najładniejsze fragmenty miasta.

Z buntu przeciw czemu wziął się Pana pseudonim?

Z czystej przekory. Kiedy w młodości przyjeżdżałem do Krakowa, Nowa Huta była postrzegana jako siedlisko patologii i przemocy, wstyd było się przyznać, że jest się z Huty. Trochę mnie to żenowało, a trochę dla zabawy, zacząłem podkreślać, że jestem z Huty i to się przyjęło, zaczęli na mnie mówić „Hutnik”. Siostra kolegi zostawiła mu wiadomość „Dzwonił ten shuty”. Pseudonim przyszedł do mnie sam.

Gniew, niezgoda, agresja, złość, wylewanie żalu na papier – to wentyl bezpieczeństwa? Pisanie było sposobem na wyrzucenie z siebie frustracji, miało charakter czysto terapeutyczny. Spełniałem się na różne sposoby: robiłem zdjęcia, założyłem zespół, pisałem. Przejście od wykrzyczenia, wyśpiewania tego, co się nagromadziło w młodym człowieku, do pisania było w Pana przypadku spektakularne.

Była to niejako jedyna furtka, którą widziałem. Mogłem desperacko krzyczeć, spełniać się na różnych frontach albo polecieć w nie-

kończące się tango, nihilizm prowadzący nieuchronnie do śmierci. Udało mi się nie zaliczyć członkostwa w Klubie 27.

Pana dorobek: proza, filmy, fotografie, art-ziny, akcje parateatralne, uznawane jako prowokacje, skłaniają do pytania, kogo określiłby Pan jako artystę?

Artysta dla mnie to twórca, ktoś kto generuje nowe treści, stoi w awangardzie, który się spala, może i nie odnosi sukcesu, ale wytycza drogi. Jednak sztuka to pojemny temat, artystą nazwiemy też rzemieślnika, nie ma jednej definicji. I pewnie nie ma sensu jej tworzyć. Teraz artyści to mistrzowie kuchni, a najbardziej poczytna literatura to książki kucharskie i przepisy na dietę cud.

Na okładce *Jaszczura* określa się Pan jako artysta naiwny.

Znów trochę prawdy, trochę przekory. Z jednej strony jestem prowincjonalnym samorodkiem bez szkół, z drugiej – moja naiwność polegała na tym, że jako młody człowiek uważałem, że sztuka jest odpowiedzią na wszystko, a artyści to ludzie specjaliści; uduchowieni, poszukujący mistyki i nowej estetyki. Trochę taki młodopolski mit, co zostało zweryfikowane.

Broni się Pan ironią. Przed czym?

Ironia, groteska, czarny humor to po prostu sposoby mojej komunikacji, nie wyobrażam sobie życia bez komedii. Stronię od ludzi poważnych. Powaga to śmierć człowieka. Żyjemy w świecie, w którym kłamstwo jest pełnoprawnym sposobem komunikacji, a komedia nadal uważana jest za coś, co nie przystoi.

Pana proza pisana jest specyficznym językiem, która wyróżnia Pana spośród innych pisarzy. Ten styl pisania jest z pewnością bulwersujący i nie pozostawia obojętnym. Chodzi o celowy szok? A może o eksperyment?

Zaczynałem pisać w czasach wczesnej młodości, kiedy tworzenie nie jest gotową strategią, ale intuicyjnym działaniem. Mój styl wynikał z szoku poznawczego: tego momentu przejścia między światem dziecka a młodością – dorosłością. Utrata złudzeń i wynikający z tego bunt przed ofertą świata dorosłych. Z drugiej strony, mój styl jest wynikiem tradycji literackiej, w jakiej się wychowałem. Jedną z moich ulubionych książek czasu młodości była *Podróż do kresu nocy* Céline’a. Zacztywałem się w brutalnej, pozbawiającej złudzeń literaturze.

***Jaszczur*, ostatnia powieść, to miał być w założeniu tekst symboliczny, z bohaterem, podobnie jak Kafkowski Józef K., uwikłanym w niemożność Zamku, zagubionym w świecie realnym, nieprzystającym do wyobrażonego. Został jednak odczytany dosłownie. Jak Pan to odebrał?**

Jako porażkę krytyki literackiej w Polsce. Książka została odczytana jako dosłowny reportaż z życia literackiego, a ja potraktowany jak ktoś, kto kała własne gniazdo. Ta-

kie pojawiały się dosłownie opinie. Nikt nie zadał sobie trudu odczytania metafory, jaka się w *Jaszczurze* kryje, czyli pewnie nikt nie czytał go do końca. Rozumiem zwykłego czytelnika, który nie musi tego robić, ale krytyk? Naiwnie myślałem, że krytyk jest wnikliwym badaczem tekstu... I znowu wracamy do pojęcia „artysty naiwnego”.

Wszystko widzi Pan w krzywym zwierciadle, czy jest coś, czego nie potraktowałby Pan ironicznie?

Nie wyobrażam sobie życia bez komedii.

Powaga to śmierć człowieka.

Odpowiem frazą z *Leona* zawodowca: kobiet i dzieci. Choć jeżeli chodzi o kobiety, to tylko w wypadku, gdy są jeszcze dziećmi. Dziecko żyje w świecie sacrum, a ironia to środek świata profanum.

Jak to wszystko ma się do Nowej Huty? Lubi ją Pan czy nie?

Nowa Huta zbudowała pierwsze lata mojego artystycznego życia. Trzy pierwsze książki dotyczą Huty, są zapisem obyczajów panujących w blokowisku, którego mieszkańcami są ludzie napływowi, głównie z okolicznych wsi. Powieść *Bełkot* opowiada o życiu na styku Huty, patologicznej, robotniczej dzielnicy, i Krakowa, konserwatywnego, inteligenckiego centrum. Mam do Huty wiele sentymentu, w końcu się tu urodziłem. Ale czy chciałbym tu mieszkać? Raczej nie, tak jak nie chciałbym mieszkać w żadnym innym mieście. Miasto jest dla mnie tematem zamkniętym, przynajmniej chwilowo, teraz czas na odpoczynek na czarodziejskiej górze...

Co lubi czy potrafi się czymś zachwycić Sławomir Shuty?

Naturą. Uwielbiam leśne spacerunki, a ostatnio fascynuje mnie ogrodnictwo. Oba tematy są obecne w Jasielówce; lasów tu pod dostatkiem, a nad ogrodem zaczynam pracować. Chciałbym, żeby powstał w duchu permakultury, więc czeka mnie masa pracy.



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

W Dolinie Muminków

Tekst: Sławomir Shuty

Kontrola Głównego Inspektoratu ds. Wyżywienia wykazała szereg finansowych nieprawidłowości, jakie miały miejsce w zakładach gastronomicznych prowadzonych przez czołowe postaci nauki, kultury i polityki Doliny Muminków. Na życzenie wymiaru sprawiedliwości zlecono dalszy szczegółowy audyt. Brak poszanowania dla zasad higieny, zatrudnianie na umowy śmieciowe i zaniedbania w księgach rachunkowych były wierzchołkiem góry lodowej. Precyzyjne, molekularne badanie składu żywności wykazało, że w Gębie, prowadzonym przez Ryjka lokalu o charakterze rozrywkowym, podaje się mięso Hatifnatów.

Śledztwo unaoczniało szczegóły tej makabrycznej historii. Mięso Hatifnatów już od dawna jest cenionym rarytasem wśród elity intelektualnej Doliny Muminków. Stałymi odbiorcami produktów uboju byli Paszczak, Wuj Truj oraz uwielbiany przez wszystkich Tatuś Muminka. Próba dowodowa wykazała, że sproszkowane fragmenty Hatifnatów są elementem każdego z wytwarzanych w Dolinie Muminków produktów żywnościowych. Spotkać je można zarówno w popularnych bioherbatnikach, jak i suplementach diety czy zdrowotnych olejach. Z krwi, o charakterystycznej śluzowatej konsystencji, produkuje się kremy przeciw starzeniu się stóp. Odpowiednio spreparowane ciało Hatifnata ma właściwości halucynogenne i od dawna jest używane rekreacyjnie podczas obiadolibacji tanecznych.

Hatifnaci wyrastają z nasion, które wysiano w Noc Świętojańską. Kilka lat temu w zakładach chemicznych Piżmowiec Brothers nasiona Hatifnatów zostały poddane genetycznym modyfikacjom. Hatifnaci, zazwyczaj niezwykle ruchliwi, przestają się poruszać i stoją apatycznie w miejscu, dzięki czemu szybciej zwiększają masę swego ciała. Jeżeli wcześniej na ciele tych trollowatych stworzonek rosły dwie wypustki przypominające lekko zdeformowane dłonie, tak teraz całe ciało stworzonka jest porośnięte dłoniokształtnymi wypustkami. Muminki wprost za nimi przepadają. Smaczne, soczyste wypustki w marynacie w aromatycznych ziołach zyskują status rarytasu. Hatifnaty były i są rozmnażane w strasznych warunkach. Symptomatyczny jest przypadek Filifionki, która trzymała w piwnicy parkę Hatifnatów i przez kilka lat zmuszała ich

do produkowania nasion, z których rodziły się osobniki przeznaczone na ubój.

Afera mięsna wstrząsnęła więziami w Dolinie i doprowadziła do wymiany pokoleniowej w kręgach rządowych. Tatuś Muminka ustąpił z stanowiska prezesa Doliny. W Urzędzie Gminy zaczęły pracować młode Muminki, na czele rady samorządowej stanęła ich Mama. Zmianom nie było końca. Niestety nowa władza została szybko oskarżona o nepotyzm i brak dobrej woli przy kontynuacji śledztwa i wyjaśnieniu nieprawidłowości odnośnie hatifnackiego mięsa.

Patologią objęte były wszystkie urzędy w Dolinie, zepsucie przedostało się za progi domostw. Niezależni obserwatorzy z sąsiedniej doliny zwrócili uwagę na fakt, iż małżeństwo Tatusia i Mamusi Muminka defraudowało pieniądze z kont prowadzonej przez siebie fundacji wspierającej gatunki zagrożone. Przekopanie ogrodu małżeństwa odsłoniło kolejną mroczną tajemnicę. Pod krzakami porzeczek, z których mama Muminka wyrabiała pyszne soki, znaleziono ciała rozkładających się zwierzątek. Czyżby rodzina Muminków pożerała wszystkie zamieszkujące Dolinę żyjątka?

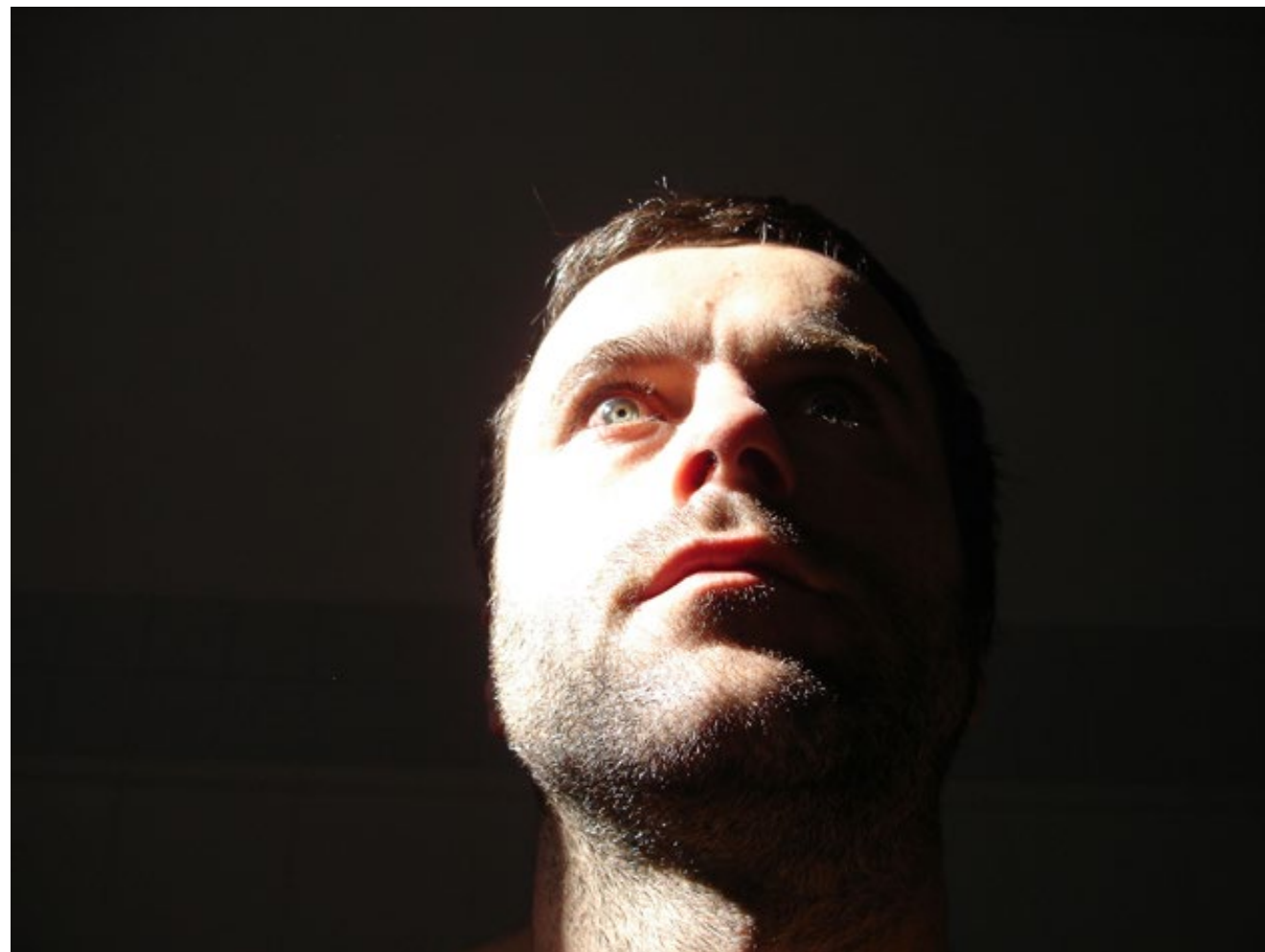
Dolina Muminków jest zepsuta od środka, i nic jej nie naprawi. Mówi pastor Włóczykij, główny prorok sekty „Ogień”: „Bóg chce, żeby znikła z powierzchni jego królestwa”. Niestety, poza odkryciem licznych naruszeń kodeksu moralnego niewiele można z tym zrobić. Dolina Muminków ma status rezerwatu przyrody i kieruje się własnymi prawami. Wybuch afery mięsnej wywołał panikę na granicach Doliny. Stojący w długich kolejkach Hatifnaci tracą cierpliwość i przekraczają granicę nielegalnie. Na procederze zarabiają sprytnie Mimble, które oferują lewe wizy oraz transport do innych dolin, jednym słowem nikomu nie opłaca się rozwiązanie problemu.

Rzeź trwa, a doliny ościenne nie chcą przyjmować uciekających z Muminkowa Hatifnatów z obawy na ich niebezpieczne właściwości elektryczne. Przy granicy z Doliną Muminków powstają obozy przesiedleńcze, które nocami są napadane przez członków tajnej organizacji. Zamaskowane oddziały pojawiają się znienacka w środku nocy i porywają dorodnych osobników, którzy – co nie jest tajemnicą – są transpor-

towani do Doliny Muminków i na miejscu szlachtowani.

Mięso dojrzałego Hatifnata osiąga na czarnym rynku wartość 1000 chwilówek, czyli około 4,5 kredyty i jego cena idzie w górę. Portfele akcjonariuszy restauracji, w których podaje się mięso Hatifnatów spod lady, podwoiły się w okresie przeprowadzonych ba-

dań. W Dolinie Muminków powstał ruch „Zero Hatifnata w jedzeniu”. Ruch rośnie w siłę, choć jego zwolennicy narzekają, że na razie krucho z jedzeniem, w każdym dostępnym produkcie występują domieszki Hatifnatów. Pozornie oddolna inicjatywa, w rzeczywistości agenda rządowa, głosi, że przejście na dietę bezhatifnacką to pewna śmierć.



Sławomir Shuty – artysta intermedialny, pisarz, reżyser filmowy, fotograf, performer, twórca artzina Baton. Najbardziej znany jako autor książek m.in.: *Nowy wspianiały świat*, *Bełkot*, *Cukier w normie*, *Zwał*, *Produkt polski*, *Ruchy*, *Jaszczur*, *Dziewięćdziesiąte* oraz pierwszego polskiego hipertekstu literac-

kiego *Blok*. Pomysłodawca i menedżer cyklu performansów *Cyrk z Huty*. Razem z *Cyrkiem* wyreżyserował filmy *W drodze* i *Luna* (pierwsza nagroda na Festiwalu Filmu Offowego w TVP2). Współreżyser animacji *TRIP*. Otrzymał Paszport „Polityki” w dziedzinie Literatura w 2005 roku.

Wróżby na nowy rok kinowy

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Zawsze wróżby łatwiej się sprawdzają, gdy mają optymistyczny punkt wyjścia. Bo on już na wstępie buduje gotowość na odczytanie każdego nowego zdarzenia od jego dobrej strony.

Proponuję więc, aby takim zasiewem optymizmu stał się na nowy rok krakowski artysta, filmowiec i grafik, profesor ASP, mistrz animacji o światowej sławie, laureat sypiących się zewsząd nagród – Jerzy Kucia. Pretekst jest nie byle jaki, bo profesor został przyjęty do Amerykańskiej Akademii Filmowej. John Bailey, szef Academy of Motion Picture Arts and Sciences (Beverly Hills, California 90211) przysłał list gratulacyjny, przyjmujący Kucię do tej Akademii, nasz artysta dostał też pieczęć specjalną i certyfikat, czyli stał się na świecie jeszcze ważniejszy,

Filmy Kuci są jak halucynacja, jak uparta myśl, jak sama pamięć. Wizyjne, pełne wewnętrznej ekspresji, poetyckie, o głęboko przemyślanej formie, oszczędnej, skrótowej i o wielkiej delikatności rysunku.

niż był kilka miesięcy wcześniej. Może więc i w Polsce każdy widz będzie wiedział, że nasze tytuły do chwały artystycznej wiążą się także z tymi niewielkimi filmami „magii i ekspresji” i z nazwiskiem sławnego i skromnego, pracowniczego i pełnego inwencji artystycznej Mistrza?

*

Filmy animowane są i zawsze były specyficzne. Te, których było zawsze najwięcej – to bajki dla dzieci. Znamy, wiemy, przeszliśmy przez to, ba, chyba wszystkie pokolenia przeszły. Drugi rodzaj – coraz powszechniejszy w tej chwili na świecie, to wykorzystanie rysunku filmowego i wszelkich form animacji do filmów parafabularnych, które opowiadając naturalną, gatunkowo określoną historię, kryją się pod formą rysunkową nieraz z przyczyn politycznych lub z powodu braku odpowiednich źródeł dokumentujących temat. Takie filmy znamy i z naszych ekranów, że przypomnę chociażby opowieść o Ryszardzie Kapuścińskim w polsko-hiszpańskim łączącym animację z dokumentem filmie Damiana Nenowa i Raula de la Fuente *Jeszcze jeden dzień* czy w nieco wcześniejszym, bardzo po-

litycznym *Walcu z Bashirem* izraelskiego reżysera Ariego Folmana. A wreszcie całkiem niedawne polsko-brytyjskie arcydzieło o van Goghu *Twój Vincent* w reżyserii Doroty Kobieli i Hugha Welchmana. Takie filmy wchodziły do normalnego repertuaru filmowego i są nieraz chętnie oglądane.

Ale profesor Kucia to mistrz innej animacji. Takiej, która jest „ruchomą grafiką”, dziełem równie zachwycającym w galeriach sztuki i na ekranach filmowych czy telewizyjnych. Publiczność tego gatunku filmowego to często ta sama, która chodzi na wystawy. Takie filmy robi się rzadko, a ogląda się w specjalnych – „wystawowych” lub festiwalowych – warunkach.

Jerzy Kucia zrobił filmów niewiele. Zaledwie 14. Wszystkie są krótkometrażowe. Ale dostał za nie około dwustu nagród na całym świecie. Sam zwykł mówić, trochę prowokacyjnie, że nie 14, bo robi wciąż ten sam film. Jeden jedyny, wciąż uniwersalny, świadomie zawieszony przez artystę gdzieś między jawą i snem. Bo takie one są, te jego wizje plastyczne i myślowe. Każdy może w nich odnaleźć własne niepokoje, swoje zapamiętane kształty. Bo to są filmy jak halucynacja, jak uparta myśl, jak sama pamięć. Wizyjne, pełne wewnętrznej ekspresji, poetyckie, o głęboko przemyślanej formie, oszczędnej, skrótowej, i o wielkiej delikatności rysunku.

Ta forma jego filmów, to wartość zasługująca na osobną analizę. Kuci każda technika jest posłuszna: rysunek, wycinanka, fotografia, obraz z kamery. Wszystko, co chce i co mu jest akurat potrzebne, może sobie stworzyć, narysować, laserowo przetworzyć i wszystko jest tą jedyną koncepcją, która jest w tym momencie idealna. Zresztą, wystarczy przypomnieć tytuły, choćby niektóre: *Powrót* (debiut z 1972 roku), *Winda*, *Szlaban*, *Refleksy*, *Parada*, *Przez pole*, *Strojenie instrumentów...* I wreszcie ten najpełniejszy, najbardziej uniwersalny, powracający do kształtów i rytmów pamięci. Muzyczny – jak wszystkie poprzednie. Ale tak nostalgiczny, tak ciepły, tak mądrze doceniający siłę wspomnień, tak pielęgnujący oryginalność własnego widzenia, że budzi głębokie wzruszenie. Ten film to *Fuga na wiołoncele, trąbkę i pejzaż*. Osiemnaście minut



wspomnień – i jak dotąd: kilkadziesiąt nagród, wciąż napływających ze świata.

*

Jerzy Kucia to grafik i malarz, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie sprzed pół wieku oraz Pracowni Rysunku Filmowego tej samej uczelni, na której zresztą był potem wykładowcą i profesorem i którą to Pracownię już przed ćwierć wiekiem przekształcił w samodzielną szkołę filmu animowanego. Jest ona osobną aktywnością profesora. Bo przez wszystkie te lata regularnie co roku wychodzili z jego Pracowni Rysunku Filmowego nowi absolwenci. Cały świat filmu animowanego wiedział, że są oni ze szkoły Miśtrza. I co roku stwierdzaliśmy (wspomagając

Kuci każda technika jest posłuszna: rysunek, wycinanka, fotografia, obraz z kamery. Wszystko, co chce i co mu jest akurat potrzebne, może sobie stworzyć, narysować, laserowo przetworzyć i wszystko jest tą jedyną koncepcją, która jest w tym momencie idealna.

ich nieraz stypendiami artystycznymi w naszym mieście), że ci młodzi są wśród innych stażystów sztuki najlepsi, najciekawszy, oryginalni i różnorodni. Że zaskakują bogactwem i nowatorstwem technik rysunku filmowego, dziś też już komputerowego, zwracają uwagę na Kraków jako ośrodek polskiej animacji.

I pomyśleć, że u źródeł tych animowanych pasji tkwiło Studio Filmów Animowanych z siedzibą przy ul. Kanoniczej. Przez 30 lat (od połowy lat 60. ubiegłego wieku) wychowało ono wspaniałych animatorów. Potem, gdy w sposób nieprzemyślany zwolniono stamtąd wszystkich twórców, by zamienić instytucję na jednostkę producencką, Kucia, który też stamtąd wyrósł, nie zgodził się na ten upadek krakowskiej animacji i dlatego wykonał rozmaite manewry organizacyjne, by oprzeć się na ASP i rozwinąć uczelnianą Pracownię Filmu Animowanego w prawdziwą, regularnie działającą szkołę tego gatunku. To wtedy zaczęło się mówić na świecie, że nasze miasto jest ośrodkiem polskiej animacji.

*

To było dawno. Ale też od dawna pod artystyczną egidą Jerzego Kuci odbywają się w Krakowie i w nieodległej Lanckoronie słynne już Warsztaty Filmu Animowanego. Każdego roku zjeżdżają na nie w charakterze wykładowców znakomici twórcy filmów animowanych ze świata i ze świata również docierają studenci. To już reguła. Po takich warsztatach powstają nowe ich filmy, które potem biorą udział w festiwalach, dostają nagrody, a cała chwała za inicjatywę, energię

i świetne pomysły spływa poprzez Jerzego Kucię na Kraków.

Pamiętam, jak te Warsztaty wspominał profesor Marcin Giżycki, wierny propagator animacji z Warszawy: „Międzynarodowe Warsztaty Filmu Animowanego w Krakowie są zjawiskiem unikatowym. Oczywiście, jest na świecie wiele innych warsztatów animacji, organizowanych najczęściej przy festiwalach filmowych albo przez uczelnie artystyczne podczas letnich wakacji. Ale listopadowe (kiedyś czerwcowe) Warsztaty w Krakowie są czymś więcej: tradycyjnym już miejscem spotkań nie tylko studentów i adeptów sztuki animacji, ale także uznanych mistrzów. Tu się nie tylko filmy robi, tu się ogląda filmy profesorów i zaproszonych gości, słucha wykładów, dyskutuje. Nie są to zresztą kursy dla początkujących. Przyjeżdżający studenci muszą się wykazać dorobkiem, przywieść ze sobą jakiś pomysł. Pod okiem mistrzów doskonałą umiejętność, szlifują technikę, rozwijają idee i skrzydła. Są to więc bardziej warsztaty mistrzowskie niż zwykła szkoła. Nie ma też chyba drugiego takiego miejsca, w którym uczyliby między innymi Jerzy Kucia, Paul Driessen, Daniel Szczechura, Caroline Leaf, Christine Panushka, a z uczestnikami spotykali się Raoul Servais, Mariola Brillowska czy David Ehrlich. Ilekroć przyjeżdżam do Krakowa na warsztaty, mam wrażenie, że znajduję się w światowym centrum wymiany myśli na temat kondycji filmu animowanego. Mam nadzieję, że podobnie odczucia wywoła co roku z Krakowa uczestniczący w nich studenci”.

Projekt, który profesor Kucia zapowiada teraz, budzi zainteresowanie specjalne. Bo polega na wpasowaniu jego warsztatowej i gatunkowej oryginalności autorskiej w nowe możliwości technologiczne. Ma to być więc nowatorskie wykorzystanie interdyscyplinarnych możliwości współgrania animacji z najwyższymi formami techniki. Ambicją Warsztatów zawsze było wprowadzanie najnowszych technologii, ale zapowiedzi zawsze wzbudzają ciekawość. Służą temu wykłady, ale i realizacja poszczególnych etapów filmu. Oraz same spotkania, burze mózgów i doświadczeń, które światowi twórcy wymieniają między sobą. Za kilka miesięcy, bo we wrześniu 2020 roku, odbędzie się już XXVIII edycja Warsztatów. Doświadczenie jest zatem spore!

Jakże więc mamy nie być filmowymi optymistami, skoro działa tak ważne centrum filmowe.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

POMPEJE

życie i śmierć w cieniu Wezuwiusza

114 oryginalnych eksponatów
sprzed 2000 lat
z kolekcji Muzeum Archeologicznego
w Neapolu po raz pierwszy w Polsce!

05.10.2019
08.03.2020

MUZEUM
ARCHEOLOGICZNE
W KRAKOWIE
ul. Poselska 3

www.ma.krakow.pl

Organizatorzy/ Partnerzy:



Patronat honorowy:

Piotr Ćwik
Wojewoda Małopolski



Aldo Amati
Ambasador Włoch w Polsce



Katarzyna Likus
Konsul Honorowy Włoch



Witold Kozłowski
Marszałek Województwa
Małopolskiego



Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa



Ugo Rufino
Dyrektor Włoskiego
Instytutu Kultury w Krakowie



Zadałam Oldze Tokarczuk pytanie...

Tekst: Katarzyna Lisowska

... jak jest u niej z tą poezją – a ona odpowiedziała na spotkaniu autorskim w ramach Festiwalu Schulza.

Słowo wstępne prowadzącej spotkanie: „Ale jest też pytanie skądinąd zaskakujące, ale nie tak bardzo zaskakujące, jeśli sięgnąć do początków Twojej twórczości”...

A oto pytanie, jakie zadałam Noblistce: – Czy planuje Pani powrót do poezji? I jak to w końcu jest, czy lubi Pani poezję?

Odpowiedź Olgi: (*tutaj chwila milczenia, skrepowanie Noblistki i śmiech publiczności*)

– Ja wiem, pytali mnie o to nawet teraz, jak byłam w Niemczech, napisałam, muszę wyznać ze wstydem, taki, jakiś taki zeszycik ma-lutki złożony z kilkunastu wierszy, którego się strasznie wstydzę i w ogóle wykupiłam to, co było możliwe, i schowałam w domu (*tu spontaniczny śmiech publiczności*), mam to gdzieś zakamuflowane, bardzo nie chciałam, żeby to wyszło na jaw. Te wiersze były złe (...). Było widać, że się męczę z tą formą, że zaraz zacznę opowiadać historię... Nie, nie nadaje się do pisania poezji. Nie mam tego temperamentu i czasami czytam poezję, ale na przykład nie jestem w stanie towarzyszyć, kiedy są przyznawane wielkie nagrody, na przykład poetyckie, iść na obiad, na którym będzie się dyskutowało, czy ten lepiej z jakąś frazą, kto jest głębszy, no nie wiem, nawet nie znam tych,

nawet nie mam języka, żeby mówić o poezji. Zawsze naiwnie jako dziewczynka myślałam, że poeci to są tacy ludzie, którzy nie mają czasu pisać prozy (*wielki śmiech publiczności*). To, co powiedziałam teraz, to jest zemsta, gdy mam takie duże audytorium, za pewien wiersz Miłosza, który napisał, że więcej waży jeden wiersz. Otóż to jest moja zemsta.

Próby poetyckie Olgi uważam za ciekawe. A jakby w Krakowie o jej poezji napisać doktorat? Porozmawiam o tym z profesorami. Gdyby objąć całą jej twórczość – to nie można wyjąć poezji.

*

Ja sama na co dzień piszę wiersze, wydaję je od 2013 roku.

W pisaniu wierszy nie przeszkodziły mi nawet studia polonistyczne, gorzej z tym, że jestem pedagogiem w szkole średniej. Dlatego, bo wiersze bywają dziwne, inne, kontrowersyjne i nie zawsze od razu zyskują w oczach ludzi. Trzeba czasu na ich zrozumienie. Uważam, że Olga Tokarczuk jest w stanie pisać ciekawą, refleksyjną prozę poetycką. Wiersz także jest przecież rozważaniem. Dobrze, gdy jest krótką opowieścią.

Katarzyna Lisowska – ur. 1990 w Wadowicach. Ukończyła filologię polską i pedagogikę na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie. Studiowała także historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje w Zespole Szkół Mechanicznych nr 4 na krakowskim Kazimierzu jako nauczycielka-pedagog szkolny. Publikuje od 2013 roku, kiedy to zadebiutowała tomikiem *Lepiej jest płynąć*. Wydaje także publikacje naukowe i popularnonaukowe.

Kraków

Szałone nożyczki

Kłamstwo

Wariacje pożądania

Żyd

Śmierć pięknych saren

Kotka na gorącym blaszanym dachu

Ostatnie 300 metrów

Po latach o tej samej porze

Lot nad kukutczym gniazdem

Ryzykowna forsa

Szklana menażeria

Mayday

TEATR
bagatela
100 LAT

2020
TWÓJ
ROK
Z TEATREM
BAGATELA

www.bagatela.pl

Żyd z Wesela.
Wycieczka krajoznawcza

Życie jest snem

Pomoc domowa

Czego nie widac

TEATR „BAGATELA” IM. TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA



Kozmiczny krakuff, rys. Andrzej Zaręba

Serdecznie, najserdeczniej...

Tekst: Mieczysław Czuma

Noworoczny regulamin nakłada nieodwołalny obowiązek obsypywania bliźnich w premierowych dniach kalendarza lawiną najlepszych życzeń.

Życzenia muszą być zawsze, ale to zawsze serdeczne, a jeszcze lepiej najserdeczniejsze. Konsekwentnie i z uporem angażujemy do tej posługi nie płuca, nie wątrobę, ale serce. Bo wszystko, co w nas najlepsze, podobno mieści się tam.

W starożytnym Egipcie było siedzibą rozumu i charakteru. W Grecji i Rzymie siedliskiem duszy. Chrześcijaństwo uczyniło ten organ źródłem życia religijnego, gniazdem miłości, współczucia i przebaczenia. W kręgu kultury śródziemnomorskiej serce jest nie tylko magazynem dobra, ale było i pozostaje przepustką do wieczności. W Egipcie władca świata podziemnego – Ozyrys – ważył te narządy na końcu ludzkiego żywota. Jeśli była tam pustka, a serce lżejsze było od pióra pawiana, taki osobnik skazywany był na potępienie. W wyobrażeniach chrześcijańskich na biblijnym sądzie ostatecznym serca ludzkie ważył będzie archanioł Michał. Te zbyt lekkie, pozbawione dobrych uczynków, płonąć będą w Gehennie, na południowych stokach Jerozolimy, tam, gdzie jest wejście do piekieł.

W średniowieczu, ale także i później, serca zmarłych otaczano nabożną czcią. Często wyjmowano je z ciała i chowano oddzielnie. Trafiały do katedr, pałaców, kaplic, kościołów, na cmentarze. Te praktyki dotyczyły najpierw możnych tego świata, z czasem stały się bardziej powszechne.

Żadna część ludzkiego ciała nie zrobiła takiej kariery w literaturze, sztuce, mitologii czy religii jak serce. W rzeczywistości jest to mięsień, u każdego wielkości jego zaciśniętej pięści. Mięsień niezwykle pracowity. W ciągu życia człowieka (75–80 lat) uderza, kurczy się i rozkurcza blisko 3 miliardy razy. Przetacza w tym czasie prawie 200 tysięcy ton krwi, to ilość jaką można napełnić ponad sto basenów olimpijskich. Gdyby wszystkie tętnice, żyły i małe naczynia włoskowe połączyć w jeden przewód, to miałby on ponad 96 tysięcy kilometrów długości. A to znaczy, że dwa i pół razy owinąłby się wokół równika. Kiedy wykonujemy intensywne ćwiczenia, krew pędzi tam z szybkością 64 km na godzinę. Energia, jaką serce wyzwala w ciągu życia człowieka, zdolna byłaby wyrzucić go na księżyc.

Serce długo ukrywało swoje tajemnice. Jednym ze światowych pionierów, który zaczął rozpoznawać jego naturę, był nasz człowiek, Józef Struś, absolwent Akademii Krakowskiej, a potem prorektor uniwersytetu

w Padwie. W roku 1555 wydał pomnikowe dzieło w tej dziedzinie sztuki medycznej *Nauki o tętnie ksiąg pięcioro*. Dowodził, że z serca do tętnic przechodzi krew, a nie powietrze,

W ciągu życia człowieka (75–80 lat) serce uderza blisko 3 miliardy razy. Energia, jaką wyzwala serce w ciągu życia człowieka, zdolna byłaby wyrzucić go na księżyc.

co było wtedy przełomem na miarę końca epoki. Uważano bowiem święcie, że serce jest czyste i puste, bo jest siedzibą duszy. Struś na prośbę zdradzanych mężów badał też wiarołomne żony. Wymieniał przed kobietą rozmaite męskie imiona, a kiedy padało imię kochanka, zaobserwował pewną osobiwość. Przy wzmożonych emocjach podnosiło się ciśnienie, szybszy stawał się puls, przyspieszał oddech, wzrastała wilgotność skóry. Ustalił to na czterysta lat przed wynalezieniem wykrywacza kłamstw, wariografu.

To wszystko, cała ta serdeczna opowieść, cała cytowana tu serdeczna statystyka, służyć ma jednemu szczytnemu celowi. Idzie o to, aby jeszcze wyżej podnieść wartość składanych bliźnim serdecznych, najserdeczniejszych noworocznych życzeń, jeszcze bardziej nobilitować uświęcony tradycją obyczaj.

Otóż i sam spieszę spełnić ten regulaminowy, podniosły obowiązek. Niech więc wszystkim Czytelnikom tego pisma serduszką biją zdrowo i rytmicznie przez kolejne dziesięciolecia, niech się karmią dobrą lekturą i nadzieją, że z miesiąca na miesiąc będzie to lektura coraz to lepsza.

A już szczególnie gorąco pozdrawiam tych desperatów, którzy każdego miesiąca podejmują chwalebne ryzyko konsumowania *Smoczego jaja*. Oby Was to jadło nigdy nie zemdliło, oby kucharz potrafił zawsze utrafić w Wasze wyrafinowane gusta. No więc serdecznie, najserdeczniej – smacznego!



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Najpierw tekst czy muzyka?

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Najpierw jest uśmiech. Na dźwięk tego pytania być może nawet lekko ironiczny, bo to pytanie stawia mu się zbyt często. Uśmiech najpierw był bez wąsa, potem z wąsem. A potem znów bez.

Choć czasem wcale nie jest wesoło. Na przykład wtedy, gdy podczas podróży po Europie słucha radia. We Francji słyszy francuskie piosenki. We Włoszech – włoskie. Czeskie dopadają go w Czechach. W Hiszpanii są hiszpańskie. Gdy zbliża się do granicy z Polską, poznaje od razu, bo piosenki zmieniają się na te... po angielsku. Gdy go tylko spotkam, zapytam, dlaczego piosenka stała się jednocześnie najcenniejszym i najbardziej niedocenianym skarbem polskiej kultury?

Nie ma nawet dobrego słowa na określenie jego profesji. Można opisowo – że pisze słowa do muzyki, albo odwrotnie, a potem utwór staje się przebojem, który nuci cała Polska przez kolejne dziesięciolecia. Strasznie długo i mało wdzięcznie. Jednym słowem? Autor...? Autor. To znowu bardzo pojemnie. Nie ma nic

wa Wodeckiego wciąż na krakowskim rynku. Cudownie realne błękitne krewetki i tłumaczenia, które są niemożliwie piękne i wierne jednocześnie. Aa! I coś spod choinki. Bo w tej książce kryje się autor nasz codzienny – piszący o przyjaźniach, stapiający w jedno słowa i muzykę. Ale także artysta, którego świat jest znacznie większy niż piosenka – jest w teatrze, kinie, na estradzie, w biografiiach, poezji i w opowiadaniach. W Krakowie i w Warszawie. Obok.

Kiedy kilkanaście lat temu miałam poznać go osobiście, bardzo się cieszyłam, ale jednocześnie bałam, o co mogłabym jeszcze zapytać. Przecież wiem z jego tekstów wszystko. Udał się ten wywiad bardzo, zrobiliśmy go w stolicy i zapamiętam z niego dużo uśmiechu. Wtedy też powiedział mi, że na każdym spotkaniu z publicznością jest ktoś, kto wyciąga rękę i mówi: Panie Jacku, a najpierw jest tekst, czy najpierw jest muzyka?

Pan Jacek. Jacek Cygan.

Wielokrotnie później miałam okazję obserwować, jak Jacek Cygan zawładnął Polską, pisząc o naszych sukcesach, porażkach, miłościach i smutkach, i wchodząc do języka potocznego.

Jestem wychowana na piosenkach. Na ich sile, przekazie, na tym, że coś znaczą i mogą trwać znacznie dłużej niż radiowe „trzy minuty i trzydzieści sekund”. Nie brakuje mi dziś piosenek i wciąż odkrywam nowe. Piekło wyobrażam sobie nawet jako takie miejsce, gdzie nikt do mnie nic nie powie piosenką.

*

Podczas pisania tego felietonu nie ucierpiała żadna piosenka ze znakomitymi słowami Jacka Cygana. Choć autorka kilkakrotnie zaczynała od tego, że „całkiem spokojnie wypić trzecią kawę”...



Magdalena Miśka-Jackowska – kierowca z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pewnego czasu w Warszawie.

Pies Poncjusza Piłata

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Jak to jest? Choć dobrze wiemy, że coś się dla nas fatalnie skończy, to brniemy w to bez sensu.

Czytałam ostatnio fascynującą historię.

Niedziela rano, gmina Drobin, krajowa „60”. Dachuje dostawczy opel. Kierowca twierdzi, że przed koła wybiegło mu jakieś zwierzę. Z wypadku na szczęcie wychodzi bez szwanku. Policja spisuje dane.

Niedziela, godzina 20, Baboszewo, gmina Płońsk. Policja zauważa pijanego kierowcę motoroweru. Konfiskuje pojazd. Alkomat pokazuje 0,5 promila w wydychanym powietrzu.

Niedziela, północ, Śródborze, gmina Głinojeck. Policja dostaje zgłoszenie, że volkswagen typu van uderzył w drzewo. Kierowca wraz z pasażerem trafiają do szpitala.

Noc z niedzieli na poniedziałek, godz. 4 rano. Płońsk, ul. Młodzieżowa. Pieszy próbuje przebiec na drugą stronę ulicy, ale nie zauważa nadjeżdżającego „dostawczaka”. Wpada prosto pod koła. Pogotowie zabiera go do szpitala.

Policja z niedowierzaniem kręci głową za każdym razem, gdy przyjeżdża na miejsce zdarzenia. Kierowcą opła, motoroweru, volkswagena i pieszym jest ten sam człowiek. Ma 29 lat. W jego sprawie toczą się teraz cztery odrębne postępowania.

Dałabym wiele, żeby go poznać. Tak wiele nas łączy! Niewłaściwy stosunek do alkoholu to jedno. Wiara w to, że liczy się tylko ciągła inauguracja to drugie. Jesteśmy niczym feniks. Odradzamy się szybciej niż co trzy dni. I brniemy, nie zrażamy się. Nieznajomy 29-latek i ja – oboje jesteśmy na zakręcie. I nie wyrabiamy.

Wszystko zaczyna się tak, jak setki podobnych historii. Jedno spotkanie, impuls. Miesiąc gadania na Messengerze o pracy i innych bzdurach. Światopoglądowe sprzeczki. Nic szczególnego. Ja tu, on tam. Miłe zwracanie głowy. Nagle po kilku tygodniach, pomiędzy komentarzem o polskim antysemityzmie a pytaniem o pogodę w Krakowie on pisze, że ma narzeczoną. Dachuje. Na szczęście nic poważnego się nie stało. Wstaję, mocno trzymam pion. Wystarczy się otrząpać z popiołów.

Kolejne spotkanie. Co myślę? Nic. Rozmawiamy w gronie znajomych. Dobrze się bawię. Piję ekowino i trzymam się w bezpiecznej odległości. On nagle w połowie wieczoru mówi, że musi wracać, bo rano ma pracę. W porządku, dobranoc. Potem pisze, że musiał się zwijać, bo zrobiłby „coś głupiego” (ach, co to może być to „coś głupiego”?). Podobno wyglądałam zjawiskowo. Co myślę? Nic.

Aż do pewnego upalnego dnia, w którym poziom suszy w niektórych regionach kraju przekracza wszelkie normy. Od gorąca strasznie boli mnie głowa. Nie pomaga zimne piwo, ibuprom ani okłady. Dostaję od niego tę cholerną wiadomość (treść utajnię), gdy w tle leci piosenka Transporter Band *A może by?*:

„A może by przestawić drogowskazy,
Wypuścić z prądem rzek bezbrzeżne smutki?
A może by na głuchej stacji marzeń
Dać dróżnikowi setkę niezłej wódki?”.

A może by...? *Incepcja*. Bingo! Już po mnie. Wsiadam na motorower trochę nietrzeźwa. Gdzie jest policja? Niech mnie ktoś zatrzyma.

W końcu nadchodzi ten poranek, gdy budzę się obok niego. Bardzo nie chcę dopuścić do siebie myśli, że za oknem rozpościera się widok na Głinojeck, który i tak sam włoży mi do oczu. On mówi, że potrzebuje czasu. Nie ma dzieci ani kredytu we frankach, po prostu jest zbyt leniwy. Na razie się nie wyprowadzi. Nie ma siły na te płacze, dramaty, propozycje naprawy tego, co zepsute. Poza tym musimy uważać, żeby nas ktoś nie zobaczył. Jedziemy volkswagenem i rozbijamy się o drzewo. Cisza.

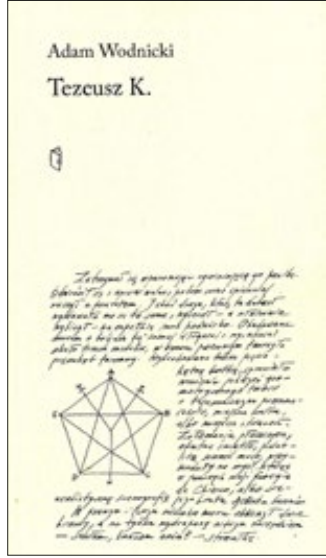
Staram się o tym nie myśleć. Próbuję znów przestawić drogowskazy. Milczymy. Po kilku dniach wiadomość. On mówi, że nic już go z nią nie łączy. No, może oprócz psa, który boi się burzy. Gdyby w programach wyborczych PiS-u czy Konfederacji pojawił się zapis o zakazie trzymania w domach tej wyjąco-srajającej rasy, tobym na nich głosowała.

Kolejny poranek w Głinojecku, ale udaję, że to Paryż. On wysyła mi smutne piosenki „Protect me from that I want”. Krążę po mieście bez celu. Gdy chcę przejść na drugą stronę ulicy, on pisze, że źle mu z tym, że ją oszukuje. Na środku drogi rozjeżdża mnie dostawczak.

Nie mam poważnych obrażeń, będę żyć. Myślę o nieznanym 29-latku. Oboje mamy tę zaletę, którą ułatwia nam głębokie oddychanie: nie patrzemy w lusterko wsteczne. Może dlatego, że mamy za dużo blizn po nożach w plecach. Przypomina mi się, że Banga, pies Poncjusza Piłata, bał się burzy. I był jedyną istotą, którą *procurator* potrafił kochać.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Krakowska Książka Miesiąca

Niekończąca się zimowla...

Świat pełen tajemnic, zagadek, nieoczywistych wydarzeń, dziwadł zaskakujących na każdym kroku to mikrokosmos, świat prowincji, opisywany przez Dominikę Słowik w powieści *Zimowla*. Narratorka ukazuje wydarzenia w Cukrówce drugiej połowy XX wieku. Czytelnik znajdzie tam cząstkę własnej historii, swych dziadków czy rodziców... Wszak żyliśmy w opisywanej rzeczywistości Polski, w mniej lub bardziej hermetycznej społeczności przeżywającej traumę powojennego komunizmu, łudzącej się odwilżą gomułkowskiego czy gierkowskiego okresu, w końcu przeżywającej z nadzieją upadek systemu.

Wielowątkowa akcja tocząca się w powieściowej czasoprzestrzeni nie zanudzi: dominuje władcza babka, pojawia się zdziwaczały pszczelarz w szlafroku, wędrująca po dachach śpiewająca naga lunatyczka, ślady wilkołaka, dziennikarz ginący w niewyjaśnionych okolicznościach, zdewociały wróż oczekujący przyjścia dni ostatecznych – ojciec narratorki i wiele innych postaci pogłębiających tajemniczość otaczającego ich świata. Opisywane wątki pojawiają się i znikają, by znowu powrócić i zaskakiwać. Każdy wydaje się ważny, ale żaden nie dominuje. Jak w codziennym życiu, które jest pełne niespodzianek, tajemnic, lęków i marzeń.

Janusz M. Paluch

Dominika Słowik, *Zimowla*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2019.

To historia lekarza, który rozpoznaje chorobę nie tylko na podstawie wyników badań laboratoryjnych, ale i rozmowy z pacjentem oraz jego obserwacji – a potem kojarzenia rozmaitych symptomów. I który wie, jak wielkie znaczenie w terapii ma wola życia i walki samego chorego – i stara się mu ją zaszczepić. Który dba o to, by leczeni w jego szpitalu mogli za oknem widzieć drzewa. I potrafi zadzwonić do kliniki z zagranicznego wyjazdu, by zapytać, jak czuje się dziś pacjent X. Takiego wreszcie, który stworzył w Krakowie uznaną w świecie Klinikę Hematologii, przeprowadził ponad tysiąc dwieście przeszczepów i wychował – wzorem swojego mistrza prof. Juliana Aleksandrowicza – wielu uczniów.

A równocześnie od lat zajmuje się odkrywaniem i kultywowaniem pamięci o przeszłości – zwłaszcza o losie krakowskich Żydów podczas Zagłady i o tych, którzy im wtedy próbowali pomóc. Jak mawia, pozwala mu to pokazywać śmiertelnie chorym pacjentom „wartość i sens bycia”.

Właśnie relacje o tym, jak wyglądają rozmowy Profesora z chorymi, jakich argumentów wówczas używa i jakimi zasadami etycznymi się kieruje, podejmując dramatyczne często wybory podczas samego leczenia, należą – obok tych dotyczących Zagłady – do najbardziej przejmujących i wymuszających chwilę zastanowienia fragmentów opowieści o życiu i dziele prof. Aleksandra Skotnickiego. kb

Aleksander Skotnicki (w rozmowie z Katarzyną Kachel i Maciejem Kwaśniewskim), *Arka. Opowieść o życiu i przetrwaniu*, Znak, Kraków 2019.

„Część teczek leżała na podłodze. (...) nagle wydało mu się – a było to uczucie graniczące z pewnością – że między tymi teczkami była teczka z jego nazwiskiem. (...) Schody prowadziły w dół. Poczuł intensywny zapach ziemi i nagle wydało mu się, że nie jest sam. Poczuł lęk, paniczny, z głębi trzewi płynący lęk. W tym podziemnym, tellurycznym świecie mieszkało jakieś chtoniczne bóstwo, władca ciemności i śmierci, obumierania i odradzania się, gnicia i rodzenia. Minotaur? W odruchu paniki zawrócił i – o dziwo – znalazł się w tej samej piwnicy, z której przed chwilą wyszedł”.

Oddech liter, przestrzeń frazy, zaskakujący kształt wyobraźni literackiej – to wszystko urzeka czytelnika tak, że go pochłania. A jednocześnie nie są to pięknoduchowskie wzdychy, intelektualna zabawa dla zabawy, w której autor wszystkim udowadnia, jak pięknie pisze. Z czytaniem Adama Wodnickiego jest trochę jak z lekturą *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta – wchodzisz, zastanawiając, kto ma dziś siłę i czas wgryzać się w te miliony liter. I nagle przestajesz się wgryzać, płyniesz, a gdy wychodzisz z domu po przeczytaniu, świat jest jakby piękniejszy. A na pewno – głębszy.

Słusznie zauważa Adam Zagajewski, że pisarz nie ogląda się na to, jak się dzisiaj pisze. To dlatego starożytny Tezeusz w miniaturze jego pióra, iście przypominającej opowiadanie kafkowskie, spotyka się z Józefem K., niepotrafiącym uciec przed procesem. (WB)

Adam Wodnicki, *Tezeusz K.*, Austeria, Kraków 2019.

Wydaje się, że nie było granic opiece, jaką nad Kają Danczowską roztaczała Pani Profesor, od dbania o kolejne stypendia, zapewniające podstawowe środki do życia, przez starania o uczestnictwo w życiu koncertowym i jako słuchacz, i jako wykonawca, zwracanie uwagi na wypoczynek, lektury i... stroje koncertowe, po podarowanie jej skrzypiec neapolitańskiego lutnika z XVIII wieku Januariusza Galliano.

„Kajtku – w prawie 20-tym roku naszej »znajomości« pasuję Cię na wyzwolonego Docenta i cieszę się, że tego dożyła! Profcia E.U.”

„Do dzisiaj każdego dnia, gdy otwieram futerał, towarzyszy mi wzruszenie. Codziennie wyruszamy w podróż do Krainy Piękna, do której wprowadziła mnie na zawsze Pani Profesor. A wieczorem otulam skrzypce jedwabiem, tak jak i ona to robiła...”.

Początkowo korespondencja toczy się pomiędzy Eugenią Umińską a matką Kai, Beatryczą Danczowską, ale w miarę zdobywania umiejętności stawiania liter partnerką zostaje Kaja. Ich relacje z latami się zmieniają, aż do pełnego partnerstwa w sztuce i w pracy pedagogicznej, ale zawsze jest to partnerstwo z jednej strony opiekuńcze, z drugiej – przesyczone wdzięcznością.

Anna Woźniakowska

Katarzyna Marczak, *Eugenia Umińska – dama wiolinistyki we wspomnieniach Kai Danczowskiej*, Akademia Muzyczna, Kraków 2019.

Wspomnienia, jako pisane *post factum*, obciążone są często tak zwaną pamięcią wtórną. Dlatego historycy cenią sobie zdecydowanie bardziej dzienniki, sporządzane wszak na gorąco, co pozabawia je zbędnego balastu wątpliwości i wniosków pojawiających się wraz z bezlitosnym dystansem lat.

Wydobyte z niepamięci zapiski Zofii z Odrowąż-Pieniążków Skąpskiej wymkają się jednak takiej jednoznacznej klasyfikacji. Pojawia się tam kilka gatunków literackich, nie wyłączając reportażu. Całość składa się na mallowniczą, pisaną ze swadą językiem tyleż lekkim, ile eleganckim, opowieść osnutą na zdarzeniach z lat 1900–1920. Epicki charakter wspomnień, mnogość przewijających się postaci (indeks liczy ok. 750 nazwisk), wiele wątków pobocznych, przypomina strukturą klasyczną, choć dziś już zapomnianą formułę powieści szkatułkowej.

Uporządkowane zapisków Zofii Skąpskiej i przygotowanie ich do druku zawdzięczamy jej wnukowi Rafałowi Skąpskiemu, prawnikowi i wydawcy, byłemu wiceministrowi kultury w III RP. Nie ulega wątpliwości, że to książka o szczególnej, bo dokumentalnej wartości. Wypada teraz z nadzieją oczekiwać na ciąg dalszy, obejmujący czasy coraz bardziej bliższe. Nie należy zapominać, że Zofia Skąpska pisała niemal do ostatnich dni, a zmarła w Krakowie latem 1961 roku. (KJ)

Zofia z Odrowąż-Pieniążków Skąpska, *Dziwne jest serce kobiece... Wspomnienia galicyjskie*, Czytelnik, Warszawa 2019.

Wiersze pisywali tam ponoć Mikołaj Rej i Jan Kochanowski, swoje pracownie mieli Jacek Malczewski i Olga Boznańska, a bywali Wojciech Kossak, bracia Włodzimierz i Kazimierz Przerwa-Tetmajerowie oraz Lucjan Rydel. Miał też tam wypoczywać Tadeusz Kościuszko. A już na pewno grywał tam Tomasz Stańko, Janusz Muniak, Osjan i Dżem (gościnnie z Ryszardem Skibińskim – do dziś pamiętam ten koncert niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego i przejmujące wykonanie *Blues Solidarności*), a śpiewali między innymi Wanda Warska i Marek Grechuta.

Mowa o posiadłości wybudowanej pod Krakowem na początku XVI wieku przez biskupa krakowskiego Samuela Maciejowskiego na wzór renesansowych rezydencji włoskich – dziś zwanej Dworkiem Białoprądnickim.

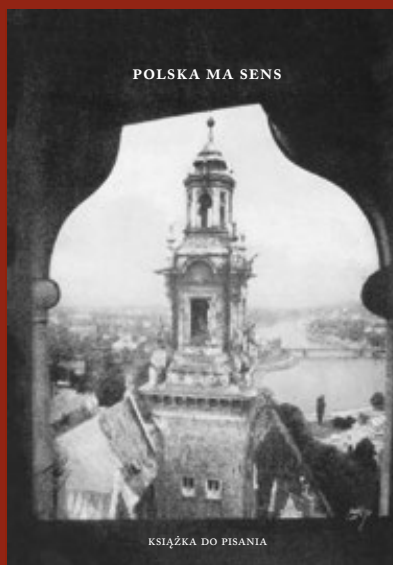
Powyższe wyliczenie dowodzi, że miejsce od zawsze przyciągało znacznych ludzi – pewnie tak z racji upodobań gospodarzy (dziś jest tam prężne centrum kultury), jak atmosfery (choćby pięknego parku na zapleczu).

Teraz doczekało się poważnej monografii – owszem, naukowo drobiazgowej, ale dzięki owym ludziom właśnie oraz złożoności historii (przekładem meandry funkcjonowania w czasach PRL tzw. domów kultury – a Dworek był nim od 1975 roku) poruszającej i zwyczajnie ciekawej w lekturze.

kb

Dworek Białoprądnicki. Historia, ludzie, kultura (pod red. naukową Przemysława Jędrzejewskiego i Karoliny Szlęzak), Kraków 2019.

POLSKA MA SENS – MIMO WSZYSTKO...



BIAŁYSTOK. GDAŃSK. KRAKÓW. KATOWICE.
ŁÓDŹ. POZNAŃ. SZCZECIN.
WARSZAWA. WROCŁAW.

... nawet gdy podróżujemy do miasta tylko myślą, pojawiają się emocje. Choćby miłość.

Jakże często łączy się ona z konkretnymi miejscami miast! (...)

Cieszymy się zatem z miast, miejsc i ludzi. Wierzymy, że w nich siła i motor napędowy Polski.

A czy nam na niej zależy?

Warto przekonać siebie i innych do myśli, która w nas, i w naszych przyjaciółach mieszkających w różnych miastach – tkwi mocno niezależnie od zmieniającej się koniunktury politycznej:

– **Polska ma sens. Mimo wszystko.**

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko

partner medialny

Podczas Festiwalu Opera Rara mury zostaną zburzone

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

– Wyobrażacie sobie, że ludzie kiedyś nie budowali murów, bo nie było takiej potrzeby? – takie pytanie zadała swoim czytelnikom Olga Tokarczuk podczas ostatniego Festiwalu Conrada w Krakowie. Musiało ono zapaść w pamięć Janowi Tomaszowi Adamusowi, dyrektorowi artystycznemu Festiwalu Opera Rara, który tegoroczną jego edycję opatrzył hasłem „Mosty zamiast murów”.



To ważny sygnał, świadczący o tym, że prezentowane w styczniu i lutym pod Wawelem dzieła operowe nie będą jedynie czczą przyjemnością, ale pozwolą wielbicielom wysokiej sztuki szukać odpowiedzi na nurtujące współczesność pytania.

– Opera potrafiła zawsze szybko i ostro reagować: wsłuchiwać się w społeczne nastroje, komentować rzeczywistość, obrażać królów, inspirować bunt, doprowadzać do furii lub obłaskawiać dyktatorów. Nie ma powodu, by i dzisiaj nie opowiadała nam o świecie tu i teraz. Może to robić na dwa sposoby – odnosząc się wprost do bieżących wydarzeń lub odbijając je w zwierciadle przeszłości – twierdzi Adamus.

Takim zwierciadłem będą trzy opery historyczne, które zostaną zaprezentowane na festiwalu. Pierwsza to *Sigismondo* Gioacchino Rossiniego, który pokazany zostanie w Teatrze im. Juliusza Słowackiego. To opowieść o fikcyjnym, piastowskim królu sprawującym władzę nad krajem targanym konfliktem z Węgrami. Spektakl wyreżyserował Krystian Lada, a w tytułową rolę wcieli się znakomity kontratenor Franco Fagioli. Solistom towarzyszy Capella Cracoviensis poprowadzona przez Jana Tomasza Adamusa. Co ciekawe, dzieło to nie było nigdy w Polsce wystawiane.

Również słabo u nas znana jest *Vanda* Antonína Dvořáka, choć nawiązuje ona do naszej najpopularniejszej legendy o Wandzie, co nie chciała Niemca.

W tle damsko-męskich nieporozumień leży tu głębszy konflikt o podłożu religijnym. Bowiem Wanda jest wierną wyznawczynią słowiańskich bogów i przede wszystkim dlatego nie zgadza się na przyjęcie oświadczenia chrześcijańskiego księcia. Spektakl, który będzie prezentowany w Teatrze Łaźnia Nowa, przygotowała Karolina Sofulak. Partię Wandy zaśpiewa Adriana Kučerová. Chórem Polskiego Radia i Sinfonietą Cracovią dyrygować będzie Jurek Dybał.

Do bliższych nam czasów przeniesie nas kameralna opera *Weißer Rose*, reżyserowana w MOS-ie przez Annę Drescher. Nawiązuje ona do historii rodzeństwa Schollów, które działało w antynazistowskim ruchu Biała Róża. Podczas spektaklu zagra Sinfonia Orchester Biel Solothurn pod batutą Kaspara Zehndera. Z kolei bardzo już współczesnym akcentem będzie pokazywana w Cricotece opera-instalacja Katarzyny Głowickiej *Unknown, I Live With You* w reżyserii Krystiana Lady. Została ona oparta na wierszach i świadectwach afgańskich poetek – głos niezbyt często do nas dociera, krępowany przez system społeczny, w którym żyją.

W ten sposób muzyczne mosty połączą różne kultury i epoki. Jednego możemy być pewni: podczas Festiwalu Opera Rara nikt nie będzie stawiał murów.

Festiwal Opera Rara 23.01.–14.02.2020

Beata Pałach, *Eksplzja*, akwarela

■ **Fotoblok, czyli świat z książkowych fotografii**
Są wystawy, na które zamierza się tylko wpaść, przebiec przez sale, rzucając okiem na kilka dzieł, i popędzić do swoich spraw. Wydawało mi się, że tak będzie z otwartą w Międzynarodowym Centrum Kultury ekspozycją *Fotoblok. Europa Środkowa w książkach fotograficznych*. No, bo cóż ciekawego może być w prezentowanych albumach czy broszurach? Jak się okazuje, może być w nich zawarta cała historia naszej części świata; niebywale atrakcyjna dla zwiedzających nie tylko dzięki zdjęciom, ale także aranżacji przestrzeni wystawienniczej.

A wszystko zaczyna się pod koniec XIX wieku, kiedy pojawiają się pierwsze ilustracje fotograficzne, które przejmują rolę literackiej narracji. Na początku są to książeczki zachęcające do poznawania uroków regionu. Z biegiem czasu przeradzają się one w artystyczne dzieła tej rangi, co awangardowe eksperymenty naszego Edwarda Hartwiga czy czeskiego twórcy Františka Drtikola.

Z kolei dokumentalny charakter mają fotografie pokazane w sali poświęconej II wojnie światowej. Przypomina ona surowy bunkier, na środku którego stoi bryła przywodząca na myśl stół prosektoryjny. Po jego bokach znajdują się szuflady. Trzeba je wysunąć, by zobaczyć drastyczne zdjęcia pokazujące obozy koncentracyjne czy zgłiszczą zburzonej Warszawy.

Dalej czekają nas propagandowe broszury z czasów odradzania się państwa w nowym ustroju i fotografie obrazujące toczące się w nim życie. Jak widać na załączonych obrazkach niewiele różniło się ono od siebie w poszczególnych państwach bloku socjalistycznego, choć oczywiście styl fotografii poszczególnych twórców nadawał im indywidualny rys. Przekonujemy się o tym, przeglądając ich fotograficzne albumy, których na wystawie jest wiele. Trudno się od nich oderwać, co powoduje, że pobyt w MCK przeciąga się znacznie. Wystawę można oglądać do 1 marca 2020 roku.

■ **Artysta, który kochał krakowskie kawiarnie**

Na pewno nie stronił od życia towarzyskiego. Gdyby był zamkniętym w swojej pracowni samotnikiem, nie powstałby przecież cykl rysunków przedstawiających bywalców krakowskich kawiarni z lat 50. i 60. ubiegłego stulecia. Są one jednym z elementów wystawy w Muzeum Narodowym poświęconej sztuce Jana Hrynковского. Obok nich możemy oglądać przekrój twórczości artysty, który był współzałożycielem grupy Ekspresjonistów Polskich (późniejszych formistów). Jest to istotne, gdyż pierwsza ich wystawa w 1917 roku uważana była za symboliczny początek ruchu awangardowego w Polsce. Ekspozycja prezentuje w dużej mierze prace malarskie artysty, z których największe wrażenie robią portrety, jak choćby *Pani z papierosem*, a także martwe

natury. Miłośnicy teatru też znajdą tu coś dla siebie. Bowiem Hrynkowski jako scenograf zostawił po sobie wiele szkiców i projektów. Dzięki nim poznamy estetykę obowiązującą na ówczesnych scenach, i to nie tylko Krakowa.

■ **Hamlet na wskroś polityczny**

Chłopiec ma może 10 lat, kowbojski kapelusz i splenięty nieco głosik. Potrzeba całkiem sporej chwili, by się zorientować, że tak właśnie wygląda dziś Duch Ojca Hamleta i że uosabia on ideały „Solidarności” sprzed trzydziestu lat. Te same, których symbolem był plakat z westernu *W samo południe*. Tylko że dziś one skarłały, zdziecinniały, stały się parodią samych siebie. A doprowadziły do tego niektóre z osób niegdyś identyfikujących się ponoć z ideałami „Solidarności”.

To jeden z gorzkich wniosków, jaki można wysnuć z na wskroś politycznego, a zarazem bardzo osobistego *Hamleta*, którym Bartosz Szydłowski rozlicza się w Teatrze im. Juliusza Słowackiego z Polską naszych czasów. Cały dwór w Elsynchronie jest przesiąknięty dobrze nam znaną hipokryzją, najdosadniej reprezentowaną tu przez Poloniusza. Jest on duchownym hierarchą, trzymającym w garści wszystkie sznurki, za które pociąga bez skrępowań. To na jego smyczy chodzi, mizdrząc się do publiczności Klaudiusz oraz wyfiokowana Gertruda.

W tym obrzydliwym świecie, gdzie ideały legły w gruzach, Hamlet (Marcin Kalisz) na szczęście nie jest sam. Ma partnerkę w osobie Ofelii (Agnieszka Judycka), która nie zamierza wcale iść do klasztoru. Dzięki niej monolog *Być albo nie być* staje się równoprawnym dialogiem pary idącej na wojnę z ludźmi, którzy zabili w sobie kowboja z plakatu wyborczego. I choć można mieć zastrzeżenia do pewnego chaosu myślowego i galopujących nieraz bezwładnie pomysłów scenicznych, to jest to przedstawienie ważne – warto o nim rozmawiać, a nawet się o nie spierać.

■ **Teatralny nastolatek**

Teatr Barakah niedawno obchodził 15. urodziny. Jak na nastolatka przystało, świętował je hucznie i w rockowych klimatach. Koncert, jaki z tej okazji zorganizowały założycielki sceny Ana Nowicka i Monika Kufel, stał się opowieścią o spektaklach Barakah, poczynając od pierwszej *Szafy*, wystawionej jeszcze przy ul. Kanoniczej, przez przedstawienia grane na scenie przy Szerokiej i w obecnej siedzibie przy ul. Paulińskiej. Gwiazdą wieczoru była od lat współpracująca z teatrem Renata Przemyk oraz aktorzy i muzycy tworzący charakter tej sceny. Życzymy jej, by jak najdłużej zachowała artystyczną energię i dalej przyciągała do siebie widzów. I to w każdym wieku.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Opracowała: Magda Huzarska-Szumiec

Pomnik obwoźny

Zasmuciła nas informacja, że wiedeńczycy nie chcą pomnika Jana III Sobieskiego, który, stojąc dumnie na wzgórzu Kahlenberg, miał upamiętniać odsiecz wiedeńską. Niewdzięczna postawa strony austriackiej dziwi tym bardziej, że we wrześniu 2013 roku w 330. rocznicę tego heroicznego czynu przedstawiciele Wiednia i Krakowa wmurowali akt erekcyjny pod monument autorstwa niezawodnego profesora Dźwigaja. Jednak od tamtej pory władze nad pięknym, modrym Dunajem się zmieniły, a nowemu burmistrzowi pomnik w tej formie nie przypadł do gustu. Ponoć chciałby czegoś mniej... archaicznego. Monument więc zaczął peregrynować. Przewożony na dużej naczepie, przycupnął najpierw przed bazyliką Franciszkanów, spoglądając w zamurowane okno papieskie, by następnie cieszyć wzrok obywateli Nowego Sącza, Warszawy i Nysy. Po przemysleniu całej sprawy spodobała nam się idea pomników obwoźnych. Zamiast stawiać w każdej gminie rzeźbę Wiadomo Kogo, można odlać jedną i jeździć z nią po całym kraju. Stała by sobie trochę tu, trochę tam. No i na brzązie by się zaoszczędziło.

Skwer im. Gustawa Holoubka

Zawsze podkreślał, że jego wielką miłością jest Cracovia. „Mam wrażenie, że urodziłem się na boisku Cracovii. Gdybym umarł, chciałbym być pochowany właśnie na polu karnym swojego ulubionego klubu” – powiedział. I choć życzenie wielkiego aktora się nie spełniło, to Gustaw Holoubek został przynajmniej pa-

tronem skweru u zbiegu ulic Fałata i Kraszewskiego, przytulonego, a jakże, do stadionu Cracovii. Trudno o lepsze miejsce upamiętnienia artysty. Tym bardziej że urodził się on w Krakowie, dzieciństwo i młodość spędził na Zwierzyńcu, tu grał w piłkę jako młodzik w Cracovii i tu rozpoczynał karierę aktorską.

W uroczystości otwarcia skweru wzięła udział Magdalena Zawadzka, wdowa po Gustawie Holoubku, i jego syn Jan, który powiedział: „Dziękuję za ten piękny gest oddania skweru pod opiekę mojemu tacie. Jestem pewny, że otoczy go swoim czułym i dobrym spojrzeniem”. Liczymy na pana, panie Gustawie.



Rys. Małgorzata Tabaka

Balkony z widokiem na ścianę

Niezbadała jest dezynwoltura niektórych deweloperów, stawiających swoje nowoczesne cudniaki w Krakowie. Oto na Zabłociu zdarzyła się sytuacja, którą pan Tomasz Siciarz, szczęśliwy nabywca własnego M-ileś, tak opisał na łamach „Gazety Krakowskiej”: „Kupiłem w 2017 roku od dewelopera mieszkanie przy ul. Kącik. Z balkonu miałem mieć widok m.in. na okoliczną stację PKP. Tymczasem

tuż przed moimi oknami wyrósł kolejny budynek (należący do innego dewelopera). Wychodząc na balkon, będę więc widział... mur sąsiedniego budynku. Moja nieruchomość wygląda bardziej jak garaż bez dostępu do światła niż mieszkanie”. Tyle pan Tomasz. Dodajmy, że głos pechowego właściciela nie jest odoosobniony; skarżą się i inni mieszkańcy ulicy Kącik, którzy nie tak wymarzyli so-

bie swój własny kącik. Niestety, taki widok z balkonu, a raczej jego brak, nie koliduje z prawem budowlanym i deweloper może umyć ręce. Ewentualnie można pomyśleć o jakimś widokowym mappingu, wyświetlanym na ślepej ścianie, przykładowo o zachodzie słońca nad morzem albo o widoku na przełom Dunajca z Sokolicy. Choć cała sytuacja do śmiechu raczej nie jest.

Uwaga – głąbik powraca!

Był specjalnością kulinarną Krakowa już w XIX wieku. Uprawiany na terenach podmiejskich zaskarbił sobie serca i żołądki krakowian. Spożywaliśmy go najchętniej w formie kiszzonek. Nie jest jednak do końca jasne, dlaczego w latach 60. zeszłego stulecia przepadł jak kamień w wodę i zniknął z naszych stołów. Głąbik, czyli sałata szparagowa, ma teraz szansę na drugie życie. A wszystko dzięki organizatorom Targów Horeca/Gastrofood/Enoexpo i akcji *Tradycja w natarcu*, za których sprawą grupa szefów kuchni spotkała się w czerwcu zeszłego roku, by we wsi Wawrzeńczyce zasiąść 300 sadzonek tego zapomnianego warzywa. Pomysłodawcy owego wskrzeszenia twierdzą, że głąbik ma szansę stać się symbolem kulinarnym Krakowa. Wierzmy, że tak będzie i już wkrótce restauracje nie tylko na A-B będą świecić wielkimi sztyldami „GŁĄBIK KRAKOWSKI!”. Byle tylko nie mylić głąbika z głąbem, który niczym perz potrafi się panoszyć w każdych czasach.



Rys. Piotr Błachut

Narodowe pożytki z gry w wista

Tadeusz Kościuszko – o czym pewnie nie każdy wie – w chwilach wolnych od ratowania ojczyzny oddawał się dość niezwykłym jak na wojaka pasjom. Na przykład haftował, robił tabakierki, konstruował ołtarzyki. Skomponował też sporą liczbę polonezów. Ale miał również słabości. Lubił przysiąść do partyjki wista na pieniądze, co zresztą w jego czasach nie było niczym niezwy-

kłym. I chwala mu za to, bo dzięki temu zbiory Muzeum Zamku Królewskiego na Wawelu wzbogaciły się o prawdziwą relikwię. Jest nią należąca do Naczelnika mone-ta o nominale „1 krajcar”, wybita w 1813 roku, która za sprawą karcianej gry znalazła się w posiadaniu Seweryna Drohojowskiego, porucznika w armii napoleońskiej. Pan porucznik wygrał ją od Kościusz-

ki 28 września 1817 roku i zabrał ze sobą do Paryża, gdzie zastała go wiadomość o śmierci wodza. Zdając sobie sprawę z wagi pamiątki, kazał ją oprawić w złotą ramę i wyryć stosowną inskrypcję od kogo i kiedy monetę zdobył. I choć nie pochwalamy hazardu w jakiegokolwiek formie, to dobrze się stało, że tamtego dnia przywódca powstania karta nie szła.



Beata Pałach, *Wild life - Oyster*, akwarela

Klub przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Andrzej X., Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Marek Borkowski, Kraków

Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Robert Barański, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
Jacek Purchla, Kraków
Gwidon Dziwoki, Kraków
Artur Wolski, Warszawa
Kazimierz Sumera, Zawoja
Lidia Hanusiak, Kraków
Andrzej Gaworski, Warszawa
Tomasz Janowski, Kraków
Józef Opalski, Kraków

Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków;
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczuk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Praczy, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kra-ków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIE-LE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy or-ganizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z oso-bistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uni-katowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Czarno-zielony pelikan

Tekst: Jerzy Pilch

Pakuję się powoli, opuszczam Hożą. Jak idzie o osobne przedmioty do zabrania, najwięcej jest książek i okazuje się – ubrań. Niby jestem zaskoczony – niby nie.

Biblioteka i garderoba łączą się ze sobą nie-rozerwalnie i wielorako.

Faulkner bez tweedowej marynarki – trudny do przyjęcia – tak jak Hemingway bez golfu o grubym splocie, Nabokov bez za dużego białego kołnierzyka, Bellow bez kapelusza, Roth bez wystającego podkoszulka? Płatonow bez żółtego szalika?

Czy pisanie uwrażliwia na ubranie? Tego nie wiem. Ale wrażliwość na słowo odgrywa w tym fachu pewną rolę. Od słowa do słowa i garnitur leży jak ulał na Marianie Stali. Słowo na słowo. Słowo na materiał. Materiał na fakturę. Faktura na kolor. Potem tylko jeden krok do statusu kolekcjonera cienkich czarnych szalików, grubych dżinsowych i sztruksowych koszul, wełnianych kapeluszy. Potem tylko krok do posiadania większej liczby butów niż posiada twoja kobieta. Malarze często pracują w szortach, w przegrzanych mieszkaniach – idzie o to, aby zminimalizować zabrudzenie rzeczywistości. O pisarzu piszącym w slipach nie słyszałem, a przecież też idzie o czystość obrazu. Rzeczywistość nie brudzi? Samobójcze zdanie – dajmy pokój. Marquez pracował w specjalnie zaprojektowanym kombinezonie – szata ta miała chronić go przed dekoncentracją. Miała nie przeszkadzać pracującemu w warunkach tropikalnych geniuszowi. Jako uznany przyodziewek pisarski nie sprawdziła się jednak. Bardzo ciekawe – tyle że jak przychodzi koncentracja rzeczywista, nic jej nie rozproszy. Zostawiam ten wątek definitywnie – tym bardziej że jedyny mi znany rzeczywisty mundur pisarski to peleryna młodopolska. Faktycznie – gorzej nie ma.

Czy kiedy postanowiłem zostać pisarzem, kupiłem całe naręcze „pisarskich” atrybutów? Czy zacząłem kreować swój *image*? Nie. Po pierwsze, słowo *image* nie było wtedy znane. OK, nie było tak znane jak dziś. Nie było wtedy takiej tradycji, po drugie – nie było wtedy takich możliwości. Po trzecie, nigdy nie „postanowiłem zostać pisarzem”. Do głowy mi to nie przyszło. Może wiedziałem za mało? Może gdybym wiedział więcej? Może gdybym na ten przykład wtedy wiedział, co to jest fular i jak powinno się fular

Malarze często pracują w szortach, w przegrzanych mieszkaniach – idzie o to, aby zminimalizować zabrudzenie rzeczywistości. O pisarzu piszącym w slipach nie słyszałem, a przecież też idzie o czystość obrazu.

wiązać, kupiłbym fular, ale niestety na Śląsku Cieszyńskim nikt wtedy fularu nie nosił, a tym bardziej nie wiązał. W szkole powszechnej pisałem żaczką, poręcznym, kolorowym czeskim piórem dla młodzieży. Wątpię, żebym miał wtedy długopis w dłoni. Znajomi rodziców z NRD rozpalili we mnie tylko miłość do pióra – dali mi w prezencie piórniki. Orgia barw, kolorowa gumka, ołówki, pióro, strugaczka. Cuda. Miałem do tego stosunek nabożny, nie nosiłem do szkoły. Dziadek Czyż zwożąc mi zeszyty z Cieszyna, podsycał we mnie gorące uczucie do galanterii piórnicy. Po epoce chińskich piór z Długiej i Zwierzynieckiej, za pierwsze poważne honorarium kupiłem pelikana. Poważne spełnienie, czysty szpan – od tego czasu piszę piórem Pelikan, czasem Mont Blanc.

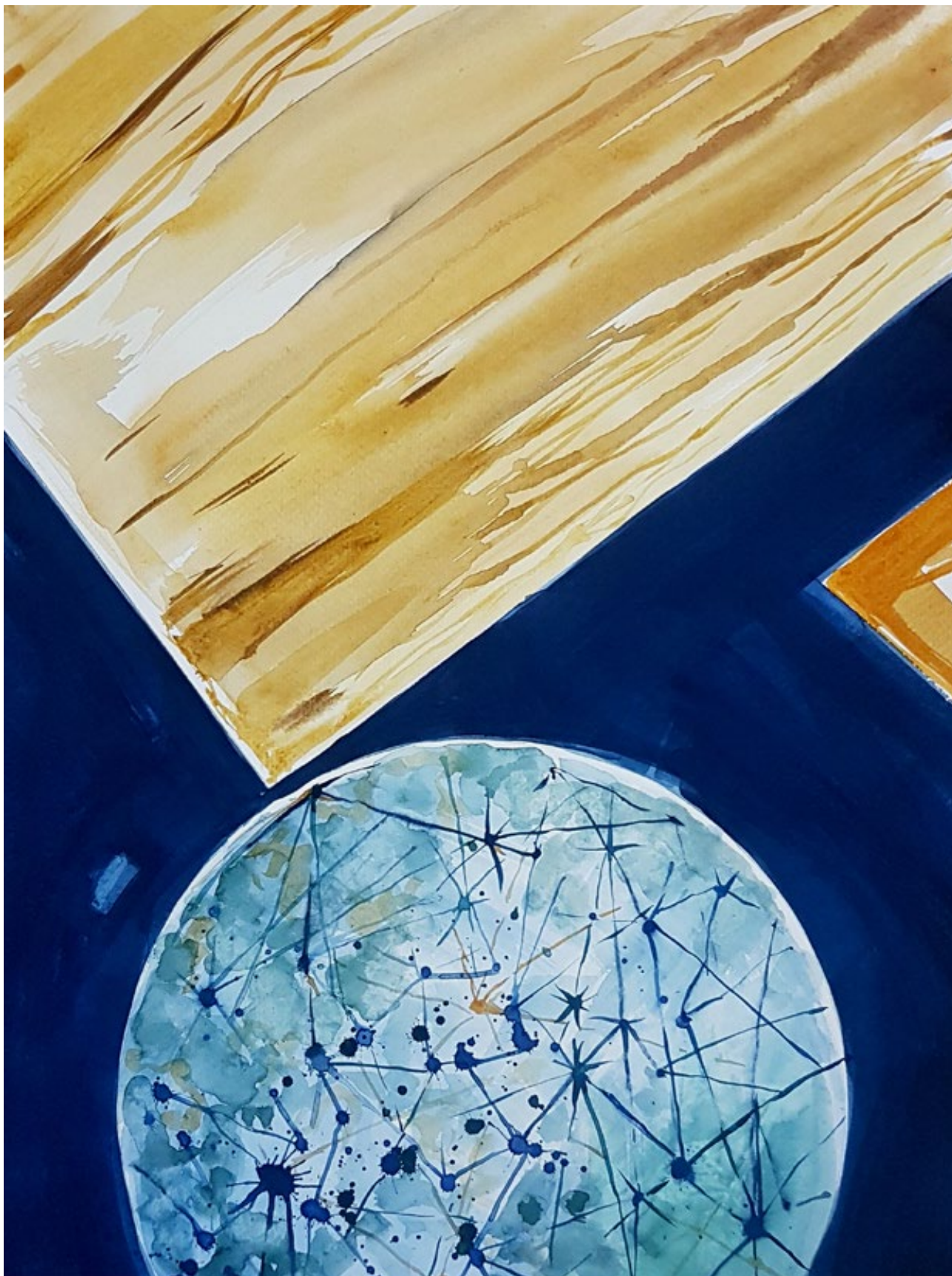
Teraz folią bąbelkową owijam dokładnie każdą butelkę atramentu.

K. przed snem coraz częściej patrzy na Pałac Kultury tak, jakby go tam nie było przez ostatnie dwa lata i teraz wyrósł spod ziemi, żeby ją zadziwić.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.





Beata Pałach, *Światy III*, akwarela